SIEDMIU PRZED TEBAMI,

TRAGEDYA

ESCHYLA,

przekład

Kazimierza Kaszewskiego.

Otwierając księgę tragedyi Eschyla, stajemy w obec pierwszego rozkwitu poezyi dramatycznéj. Przed nim tragedya była tylko pieśnią na cześć jakiego boga lub bohatéra, któréj wrotkom odpowiadał chór; a Tespis, jego poprzednik, zaledwie wprowadził początek akcyi zamieniając dytyramb na monolog, tak iż ze śpiewaka uczynił aktora. Wszyscy starożytni krytycy zgadzają się na to, że pierwszy Eschyl wprowadził na scenę drugiego działacza i zawiązał pomiędzy niemi dyalog dramatyczny. Tragedya więc Eschyla, o dwóch rozmówcach i chórze, stanowi rodzaj sam w sobie, będący podstawą i zawiązkiem całego dalszego rozwoju.

W piérwszém tém swojém stadyum ogranicza się ona do środków bardzo prostych tak pod względem intrygi jako i akcyi. Sytuacye w niéj są stałe, prawie nieruchome; każda rola wyobraża jedno tylko uczucie, jednę ideję, jednę namiętność; ilekolwiek osób wchodzi do gry, wszystkie one idą w swych uczuciach i idejach jakby po liniach równoległych, mających za wspólne tło jeden tylko temat. Ten rozdział uczuć i idei w osobach, niezwiązanych wspólnością akcyi tak jak w tragedyach dzisiejszych, nie przeszkadza jednak rozwiązaniu, które wynika, jeśli nie z charakterów, to z fatum. Brak wszakże ruchu dramatycznego i perypetyi nie odejmuje zajęcia widowisku i wzruszeń widzowi; gdyż same te wielkie opowiadania, jakie Eschyl kładzie w usta swych bohatérów, zawiérają w sobie już istną dramatyczność, zastępującą niejako naoczny widok samychże zdarzeń: życie w nich płynie rzeczywiste i potężne.

Eschyl, jako pierwszy twórca rodzaju, jest zapewne przedewszystkiém poetą lirycznym: czuć jeszcze w jego tragedyi tchnienie dawnego dytyrambu, który go na nią naprowadził; a największą zaletę jego dramatu stanowi zapał liryczny, wspaniałość stylu, wielkość obrazów, oryginalność dykcyi. Lecz nie na tém się ogranicza zasługa jego twórczości. Jeżeli z jego przedstawień, pomimo braku ruchu dramatycznego, mógł powstać rzeczywisty dramat w znaczeniu jakie dziś do niego przywiązujemy, to dla tego, iż w każdéj z jego sztuk spoczywa zarzewie tragiczne, w postaci pewnych położeń bez wyjścia, wytworzonych czy to przez namiętność fatalistyczną, czy przez jakiś wyłączny sposób pojmowania rzeczy, czy wreszcie przez zrządzenie sił wyższych łamiących wolę człowieka. Na takie to głównie położenia zwracał uwagę następca jego Sofokles, i temu co u jego poprzednika było mało lub wcale nierozwiniętém, zaledwie zaznaczoném, nadawał znaczenie naczelne, stawiał jako oś około któréj skupiała się akcya i tym sposobem jasno uwydatnił ten istotny żywioł, nadający charakterystyczną cechę rodzajowi poetyckiemu, który nazywamy dramatem, względnie tragedyą.

W niniejszym utworze z trudnością jeszcze doszukać się można tego żywiołu; każdy jednak łatwo, choćby na tym jednym przykładzie, rozpozna tę przepaść różnicy jaka dzieli nowy rodzaj, stworzony przez Eschyla, od poprzedniéj epopei lub dytyrambu opisowego z przyśpiewem chóru. Tu już jest scena, na któréj występują aktorowie, przybiérający postać osób i działaczy rzeczywistych. Zdarzenia zawarte we wspomnieniach ojczystych odbywają się przed oczami widza, upostaciowane w tylu osobach, ile ich potrzeba do utworzenia całkowitego obrazu treści: chór tłómaczy jéj znaczenie moralne, psychiczne, obywatelskie. Jest to więc zgoła nowy wynalazek, nowy rodzaj, niebywały przedtém. Poezya nie cierpi nic na tym wynalazku, zyskuje owszem przez urozmaicenie. Złudzenie, naśladujące rzeczywistość co do czasu i miejsca akcyi, jako téż co do osób, dopomaga do spotęgowania wrażeń. Oto dzieło Eschyla, założyciela teatru w Grecyi, a przez Grecyę przekazanego dalszéj Europie.

Utwór niniejszy wybraliśmy do przekładu dla tego, iż on właśnie z pomiędzy pozostałych po tym mistrzu przedstawia, zdaniem naszém, formę tragedyi najpierwotniejszą ze znanych. Pomimo swéj prostoty w układzie, zawiéra on jednak w sobie wszystkie te żywioły i formy estetyczne, które w sposób więcéj skomplikowany i urozmaicony zajaśnieć mają w tragedyi, przy dalszym jéj rozwoju wświecie starożytnym i nowożytnym. Zadanie wielkie, powaga, uczucie wzniosłe, styl szeroki, gracya w konturach, żywotność interesu ludzkiego: oto są przymioty rodzaju, i zarazem w stopniu najwyższym przymio-

ty twórczości Eschyla, wydatniejące tu równie jak gdzieindziéj, wbrew prostocie środków wykonania; przymioty, w których go nikt nigdzie nie przewyższył.

Treścią jest owa złowroga zawiść dwóch synów Edypowych, Eteoklesa i Polinika, jakoby dalszy ciąg przekleństwa, które ojciec ich ściągnął na ród przez ożenienie się z własną matką. Ci dwaj bracia wrogowie, po śmierci ojca, wydzierają sobie władzę nad Tebami; Eteokl, silniejszy poparciem ludu, wypędza brata, który dla dopięcia swych celów śmie na kraj sprowadzać pomoc cudzoziemską i wojskiem, przybyłém z Argos pod wodzą króla Adrasta, obsadza siedm bram tebańskiego grodu. Na wieść o ojczyznie zagrożonéj, Eteokl i lud nie posiadają się z oburzenia przeciwko zdrajcy i najezdcom. Potężny wybuch patryotyzmu zagrzewa pierś wodza, który, ufny w dobrą sprawę i siły rycerstwa, wszystkim dodaje otuchy, gromi trwożliwość kobiét, a sam pierwszy życie za wolność kraju gotów ponieść w ofierze.

I któż wreszcie lepiéj mógłby wyśpiewać ten hymn na chwałę wolności, kto dosadniéj wygłosić hasła bojowe, kto w bardziéj malowniczy sposób opisać grozę wojny i do niéj przygotowania, niż ten poeta, który trzykroć przyjmował udział w świętéj sprawie obrony kraju, pod Maratonem, pod Salaminą i Plateami (1). Pełna chwały i płodna w następstwa dla całego świata kampania Greków przeciw Persom i Medom natchnęła wszystkie serca uniesieniami, które ześrodkowały się w piersi wielkiego poety Hellady. Jego Eteokles, wzywający pospolite ruszenie na mury dla obrony Teb, zda się być obrazem Milcyadesa, którego komendy słuchał poeta—żołnierz na wiekopomnych polach Maratonu. To wielkie, szlachetne uczucie miłości dla kraju, rzecz godna uwagi, wszędzie łączy się u niego i u ludu ze czcią bogów ojczystych w węzeł nierozerwany, a modlitwa i nadzieja w opiece bóstw umacnia serce i uzbraja ramię.

Przeciwko sześciu wodzom nieprzyjacielskim u sześciu bram, znajduje Eteokl odpowiednich bohatérów w Tebach; przeciwko siódmemu, najstraszniejszemu, nie wybiéra nikogo: on sam przeciw niemu stanie, bo to jego brat. Zrywa się związek krwi, gdzie rozdzieliła ojczyzna: niechaj wiedzą obywatele, że ten, komu oddali przodownictwo, w każdym wrogu kraju widzi tylko wroga i nie cofnie się nawet przed klątwą, by spełnić obowiązek wspólny, dział jego najcięższy przyjmując na siebie.

---

(1) Napis nagrobny Eschyla w Gela (w Sycylii) brzmi tak:
„Pomnik ten okrywa Eschyla, syna Euforiona. Urodzony w Atenach, umarł w Gela. Tak słynny gaj Maratonu i Med o długiéj czuprynie powiedzą ażali był mężnym: widzieli oni go dobrze.“

Eteokl pod podwójném zostaje wrażeniem, równą boleścią duszę jego przejmującém. Oburza go niegodziwość Polinika, jako obywatela i brata, a z drugiéj strony czuje on, że są to skutki klątwy ciążącéj na całém kazirodném gronie familijném, i pod wpływem tego bolesnego uczucia radby przyśpieszyć skutki przekleństwa, ażeby raz się wszystko skończyło.

Chór kobiét próbuje go zmitygować i przypomina mu związek, jaki go łączy z Polinikiem:

„....Krew, którą mają przelewać Kadmeje
W bitwie z Argami, ta zmazaną będzie,
Lecz bratobójcza krew się nie starzeje.

Ale Eteokl nie widzi sposobu uniknienia tego okropnego starcia, na które naraziła go zdrada brata. Gdyby temu się udało zwyciężyć, a Eteokl pozostał przy życiu, walcząc na innym punkcie dla oszczędzenia sobie wyrzutów, życie stałoby mu się sromotą; nie ma wreszcie nikogo komuby więcéj ufał niż sobie, by tego mianowicie wroga powstrzymać i skarcić. Jemu wreszcie wstyd mieć takiego brata. On najwinniejszy i najniebezpieczniejszy, on powinien mieć przeciw sobie najsilniejszego przeciwnika; inaczéj, Eteokl nie spełni powinności swéj do dna. Odpowiada téż ostatecznie Chórowi:

„Krom hańby, wszystko złe znlosę na ziemi,
Bo cześć najdroższa między umarłemi;
A cierpiéć bóle wraz z hańbą na świecie,
Tego chwalebném przecież nie nazwiecie."

W tém wystąpieniu brata przeciw bratu, w ten sposób umotywowaném, konieczném ze wzgledów i psychicznych i obywatelskich, czyż nie widzimy już motywu wysoko tragicznego? Podjął go téż w dwa tysiące blizko lat późniéj Racine, w swojéj „Tebaidzie," i rozwinął szeroko, choć pod względem sztuki niepomyślnie.

Drugi tu podobnyż motyw, a raczéj sam zawiązek tragiczny, mieści się w końcu sztuki, kiedy po śmierci obu braci, siostry ich, Antygona i Ismena, wysłuchują, zbolałe, wyroku starszyzny co do ich pogrzebu. Eteokl, jako obrońca, ma być pochowany ze czcią należną bohatérom; Polinik, jako zdrajca, ma być wyrzucon na pastwę psom. Ismena, powolna, ulega posłusznie wyrokowi i idzie za zwłokami Eteokla; Antygona, czuła i wierna obowiązkom rodzinnym, idzie za opuszczonym i poniewieranym: ona, wbrew wyrokowi, sama jedna złoży go w ziemi uczciwie, bez względu na karę, jaka ją spotkać może. Jest to tylko zapowiedź tego starcia pomiędzy obowiązkiem rodzinnym a państwowym, które tak wspaniale rozwinął późniéj Sofokles w najcelniejszéj ze swych tragedyj „Antygonie".

OSOBY TRAGEDYI.

ETEOKLES
POSEŁ
CHÓR DZIEWIC
ISMENA
ANTYGONA
WOŹNY (Keryks).

Rzecz dzieje się w Tebach, podczas oblężenia.
Pierwsze przedstawienie 468 roku przed Chrystusem.

Eteokles. W słusznéj, Kadmeje! winien mówić mierze,
Kto przodem grodu spraw ogólnych strzeże,
Gdy powiek sen mu u steru nie morzy.
Pójdzie nam dobrze,—rzekną: to sąd boży;
Nuż źle,—Eteokl winien. Narzekanie;
Hałasu, jęków zaraz lud namnoży,
Z czego Wybawca—Zeus niechaj wybawi,
Gdy godzien nazwy, którą gród go sławi.
Więc kto żyw, bądź-li jeszcze nie porasta
W młodości kwiat, bądź wiek mu go ze skroni
Strząsnął, niech śpieszy ku obronie miasta
Według sił, wieku; niech czci bogów broni,
Ołtarzy; matkę ratuje i plemię
I drogą swoję karmicielkę, ziemię,
Która was wszystkich żywiła zamłodu,
Po jéj życzliwéj czołgających glebie,
Wszechtrud wychowu przyjmując na siebie,
O! tarczonośni, wierni męże grodu,
Byście, jak trzeba, stanęli w potrzebie.
Dotąd opieki nie zbrakło nam bożéj,
I, oblężeni, wojujem niezgorzéj;
Lecz dziś wróżbita, do uszu i głowy,

Biorący ptaków prorocze rozmowy,
Niemylne, chociaż bez ognia pomocy,
Mówił,—słuchajcie,—że dzisiejszéj nocy
Achaje radzą o napadzie, żeby
Ogromem siły uderzyć na Teby.
Daléj na basztę hurmem! na wieżyce!
Stanąć odważnie na murach, na wale,
U bram zamkowych, a w pełnéj zbroice,
I tłumnych wrogów nie lękać się wcale;
A bóg dokończy. Do obozu wroga
Jam wysłał szpiegów: nie próżna im droga,
Myślę; jak wrócą dam folgę rozmowie,
To mnie podstępem nie zajdą wrogowie.

Poseł. Eteoklesie, władco Kadmejowy!
Ja ci opowiem rzecz pewnemi słowy,
Jako świadek naoczny. Siedmiu męży
Zabili tura na czarnéj pawęży,
W krwi turzéj ręce umaczali zbrojne,
A przez Aresa przysięgli, przez Wojnę,
Oraz przez Grozę, rzezi lubownicę,
Że szturmem wezmą Kadmową dzielnicę,
Lub krwią śmiertelną zleją mury miasta.
Potém wieszali u wozu Adrasta (1)
Pamiątki różne dla krewnych do domu,
Łzy roniąc, ale na usta nikomu
Nie wyszła skarga. O! bo męże owi,
Żelaznych serc, dychają męztwem krwawém,
Jak lwy patrzące w ślepie Aresowi.
Prawda słów moich ziści się niebawem;
Bo gdym odchodził, garstka ich ciągnęła
Losy, któremu rzut kości wybierze
Bramę, gdzie swoje ma ściągnąć żołnierze.
Więc i ty rusz się czémprędzéj do dzieła!
Zbierz najdzielniejszych jakich gród ci wskaże
I u bram miasta porozstawiaj straże.
Argów orężny już zastęp nadchodzi,
Miecą kurzawę parskające konie,
Piana ich biała osrebrzyła błonie.
Wzmocnij gród, baczny sterowniku łodzi,
Nim się nań wściekły dech Aresa zwali!
Pieszego wojska czy słyszysz ryk fali?
Pora ci śpiesznym zawinąć się krokiem

Przeciw tej grozie; gdy ja wiernem okiem,
Świadomy kędy mierzą ich pochody,
W dzień czuwać będę, byś nie poniósł szkody.
Eteokles. O Zeusie! Ziemio! opiekuńcze bogi
Teb! i ty, klątwo ojcowska straszliwa!
Ze szczętem grodu nie niszczcież przez wrogi
Opasanego, który się odzywa
Mową helleńską, który w sobie mieści
Ogniska waszéj poświęcone cześci;
Niechaj niewoli nie zapada brzemię
Na gród Kadmowy i na wolną ziemię.
Bądźcie nam siłą: wspólną nasza sprawa,
Bo przy czci bogów gród szczęsny obstawa.
Parodos. *Chór.* Przeczuwam wielką, straszną niedolę!
Wojsko z obozów wyciąga w pole,
Na koniach pędzi lud mnogi.
Świadczy kurz co się wzbija nad drogi,
Świadek to niemy, pewny, prawdziwy.
Śród szczęku broni okrzyk straszliwy
Pędzi, o uszy moje potrąca,
Drżąc jako rzeka z gór spadająca.
Gwałtu! ah, gwałtu! Bogi! boginie!
Sprawcie niech złe nas wyminie.
Z okrzykiem, który
Wpada za mury,
O białych tarczach już chyży lud
Naciska gród.
Któż z bogów, bogiń, pomoże nam?
Kto zbawi nas?
Przed czyim klęknąć obrazem mam?
Szczęśni mieszkańce tych świątyń! Czas
Czepić się waszych posągów. Cóż
Stoim, wielkie zawodząc jęki?
Czy nie słyszycie? To tarczy szczęki!
Kiedyż, jeżeli nie teraz już
Pora do modłów wznieść ręce,
Ołtarze zdobić w kwefy i wieńce?...
I znowu hałas słyszę u bram....
Oj, to nie jednéj tarczy szczękanie...
O! starodawny ziemi téj panie,
Cóż dziś, Aresie, uczynisz nam?
Na łup li wydasz tę ziemię swoją?

Boże, złocistą okryty zbroją,
Spojrzyj na gród ten niegdyś ci drogi!
Zstąpcie i patrzcie, strażnicze bogi,
Na te dziewice w błagalném kole
Idące zakląć niewolę.
O skośnych kitach, wokoło miasta,
Fala rycerstwa huczy i wzrasta,
Tchem Aresowym wzdęta. O! panie,
Wszechmocny Zeusie! niech się wrogowi
Ojczyzna moja w moc nie dostanie!
Pod grodem Kadma stoją gotowi
Argiwscy męże;
Mnie te wojenne straszą oręże.
Uzdy zczepione z końskiemi szczęki
Żałosne mordu wydają jęki.
Siedmiu, co z wojskiem na przedzie idą,
Rozgłośni zbroją i rączą dzidą,
Stoją u siedmiu bram w gotowości,
Jak komu wskazał los rzutem kości.
Wojenna Pallas, boskiego rodu,
Bądź opiekunką naszego grodu!
O! Posejdonie, nasz konny królu,
Ty, co morskiemi rządzisz przestwory,
Władnąc trójzębem tnącym potwory,
Rozwiąż nas, rozwiąż z naszego bólu!
I ty, Aresie, gwałtu! Aresie!—
Nad grodem, który Kadmowym zwie się,
Czuwaj widocznie, Cyprydo, (2)
Od któréj nasze plemiona idą;
Odwróć nieszczęście, bośmy z krwi twojéj:
Lud w jękach, w modłach ku bogom stoi.
I ty, pogromco wilków wsławiony, (3)
Bądźże pogromcą naszego wroga,
Na jęk nasz. Dziewico droga,
Artemis, córko Latony,
Uzbrój się w łuk.
Ah! ah! wozami zatacza wróg
Wokoło miasta....
Hero wspaniała!...
Ah! pod ciężarem zbrojnego ciała
Aż skrzypi piasta.
Cna Artemido!...

W powietrzu drganie
Czuć od świstania dzidy nad dzidą.
Cóż gród wycierpi! co się z nim stanie!
Gdzie bóg co temu da rozwiązanie?
Biadaż! oh, biada!
Na szczyty wieżyc grad głazów pada,
O! Apollonie drogi! A tam
Miedziane tarcze dźwięczą u bram.
*Z Z*eusa poczęta,
Rozstrzygająca bitew królowo,
Ty, Onko! potęgo święta (4),
Która świątynię masz przedmieściową,
Ocal ziemicę siedmiobramową.
I wy, wszechbóstwa, przybądźcie też,
I wy, boginie, strażnice wież,
Nie dopuszczajcie, aby nasz gród
Obcojęzyczny ujarzmił lud.
Słuchajcie dziewic, niebianie!
Niech zadość proźbom się stanie,
Co płyną z podniesionemi
Rękami w górę.
O! bóstwa przyjazne, które
Strażą chodzicie po naszéj ziemi,
Niech się dziś przyjaźń wasza pokaże;
Strzegąc, obrońcie święte ołtarze
Na których tyle w świąteczne dni
Święcono objat ku waszéj czci!

Eteokl (powracający). Pytam się ciebie, ty nieznośny tłumie,
Tak to się dobro ojczyzny rozumie,
By wobec wojska co się broni w mieście,
Przed posągami padać na kolana,
Skargi i krzyki rozwodząc niewieście?
O! płci przez mądrych słusznie potępiana,
Niechajże nigdy, w szczęściu czy w niedoli,
Dom się mój z twoim domem nie zespoli!
W dobrém, niewiasta nad miarę zuchwała,
W złém, i rodziny i kraju zakała.
Wasze popłochy krzykliwe toż mogą
Wszystkich bezduszną pozarażać trwogą;
Służycie sprawie tych co za bramami:
Tak przez się, zewnątrz, niszczymy się sami.
Oto masz wespółpożycie niewieście.

Kto méj powagi nie usłucha w mieście,
Mąż czy niewiasta, czy nawet kto z młodzi,
Niechybny wyrok śmierci weń ugodzi,
Ukamienowan będzie ręką ludu.
Mężczyzna mistrzem zewnętrznego trudu,
Nie zaś kobiéta: niechaj siedzi w domu,
Bacząc, by krzywdy nie zrządzić nikomu.
Czyście słyszały, czyście nie słyszały?
Do głuchych mówięż?

Chór. Lęk mnie zdjął niemały,
Synu Edypa, gdy mi wpadł do słuchu
Turkot co powstał przy wozowym ruchu
I kiedy osie u kół zaskrzypiały,
Przy szczęku uzd, co w ogniu wyrobione,
Końmi u szczęki szarpią w każdą stronę,

Eteokles. Czyż to się majtek ratuje śród trwogi
Przez to, że z przodu przebiega na tyły,
Gdy okręt fale wzburzone zmęczyły?

Chór. Ja ufna w bogi,
Ku dawnym posągom szłam,
Kiedy u bram
Wszczęło się drżenie, jakoby grad
Z burzliwéj chmury na ziemię spadł.
Więc się do modłów wzniosłam od trwogi,
By miastu dały opiekę bogi.

Eteokles. Proście ich, żeby o wieżę
Dzida strzaskała się wrogów.

Chór. Iście to w mocy jest bogów.

Eteokles. Mówią, że kiedy wróg miasto bierze
To zeń odchodzą niebianie.

Chór. O! mojeż niedoczekanie,
Aby odeszły ztąd bogi!
Niechaj nie patrzę na to, by wrogi
Zdobywszy gród,
Ogniem spalili nasz zbrojny lud.

Eteokles. Módl się, lecz zważaj by przez twe pienia
Nie ucierpiało nam miasto:
Bo posłuszeństwo jest, o! niewiasto,
Matką zbawienia.

Chór. Lecz nad to wyższą jest boska władza.
Ona w niedoli bezratunkowéj

Odciąga zwisłą od ludzkiéj głowy
Chmurę, co klęski sprowadza.

Eteokles. Czynić objaty i pytać bogi
Rzeczą jest mężów, gdy najdą wrogi.
Wy zasię macie
Milczéć i siedziéć w komnacie.

Chór. My dotąd, dzięki wybawczym bogom,
W nieujarzmionym grodzie mieszkamy,
Którego wieża i bramy
Opiérają się wrogom...
Czyż gniew tym słowom moim należy?

Eteokles. Ja ci nie bronię czcić bogi;
Lecz, by nie płoszyć serca żołnierzy,
Radzęć spokoju więcéj niż trwogi.

Chór. Słysząc huk nagły, ja przerażona,
Pobiegłam z drżącym przestrachem
Pod tego zamku schronić się dachem;
Miłaż to schrona!

Eteokles. Ranni, zabici, — nie twoja to sprawa:
Nie mów nic o tém na mieście, — nie żalej;
Bo trwogi ludzkie to Aresa strawa.

Chór. Znów słyszę rżenie koni.

Eteokles. Słuchaj daléj,
Lecz nie zbyt jawnie.

Chór. Podziemny jęk grodu,
Jakby go chciano podważyć z pod spodu.

Eteokles. Mnież to niedosyć ku opiece miasta?

Chór. Boję się: znowu wrzawa u bram wzrasta.

Eteokles. Nie waż się o tém wspominać na mieście.

Chór. Bogi! w opiekę szańce nasze weźcie!

Eteokles. Znieść-że nie możesz w milczeniu, co boli?

Chór. Niechże nie pójdę w niewolę, o! bogi.

Eteokles. Siebie, mnie, miasto wiedziesz do niewoli.

Chór. Zeusie wszechmocny, zwróć piorun na wrogi!

Eteokles. Cożeś nam, Zeusie, dał w rodzie kobiéty!

Chór. Który nieszczęsnym równie jest, niestety,
Jak i ród męzki, jeśli kraj się stanie
Zdobyczą wroga.

Eteokles. W uściech twych szemranie,
Nawet w posągach gdy dotykasz bogi?

Chór. Bezduszne język chwytają mi trwogi.

Eteokles. Czy mogę od was prosić łaski, małéj?

Chór. Powiedz!
Eteokles. Abyście, nieszczęsne, milczały,
Nie trwożąc ziomków.
Chór. Milczę; i z innémi
Ulegam losom wyrocznym téj ziemi.
Eteokles. Wolę to słowo. A teraz cię proszę,
Od tych posągów odstąp jak najdaléj
I błagaj bogów, aby nas wspierali;
To będzie lepiéj. Ja śluby wygłoszę;
A ty zawtóruj mi świętemi słowy
Pean błagalny, w ów rytm narodowy
Helleński, który okrzykiem wybucha
W objatach, zbawia przed wrogiem od trwogi,
A wszéj drużynie umié dodać ducha. —
Ja przez méj ziemi opiekuńcze bogi,
Przez te co chodzą wśród pola naszego
I te co rynku ludowego strzegą,
Przez źródła Dyrki i Ismenu fale,
Przysięgam, że — gdy gród Kadma ocalę
I sprawy nasze pójdą jak przystoi, —
Krew jagniąt, ciołków, ołtarze ich zleje,
A w ich świątyniach zawiesim trofeje
Z broni po wrogach i zdartéj z nich zbroi. —
O to proś bogów. Nie szaléj, nie boléj,
Nie jęcz daremno: nie odmienisz doli.
Ja w sześciu mężów, sam siódmy, z wyzwaniem
Naprzeciw wrogom dzielnym trybem staniem
U siedmiu wyjść, i nimby szybkie posły
A prędkie słowa wieść klęski rozniosły (odchodzi).
Chór. *Strofa 1.* Bacznie słucham rady twojéj,
Ale serce się nie koi:
Na myśl o tym ludzie, który
Dziś otoczył nasze mury,
Odżywiają w nim tęsknicę
Troski, duszy komornice.
Ah! o gród mój ja się boję,
Jak gołąbka w gnieździe tkliwa,
Trwożna drży o dzieci swoje
Kiedy wąż się ku nim zrywa.
Do wież wszyscy tłumną falą
Pędzą, ah! cóż ze mną będzie?
I w obrońców partych wszędzie

Gradem ostrych głazów palą.
O! bogowie, Zeusa syny,
Wszelakiemi sprawcie czyny
By gród Kadma i kadmowy
Lud walczący wytrwał zdrowy.

Antystrofa 1. Gdzież znajdziecie lepszą ziemię,
Gdy w téj obce siędzie plemie.
I Dyrekejskie zajmie zdroje?
Toż najzdrowsze to napoje
Pośród wszystkich tych jakiemi
Trysł Posejdon w okrąg ziemi
I Tetydy z nim synowie (5).
Stróże ziemi téj, bogowie!
Spuśćcie takie złe na wrogi
Zgromadzone pod wieżami,
By im broń upadła z trwogi
Albo śmiercią padli sami:
Pzyczyniając ziomkom chwały
Za zwycięztwo nad wrogami,
Chroniąc miasto od zawały,
Silniéj wy staniecie sami
W swych świątyniach, dokąd modły
I żałości nas przywiodły.

Strofa 2. Boć to widok okropny jest — gdyby
Starożytny gród runął w otchłanie:
Lekki popiół powieje z siedziby,
Która jeńczą zdobyczą zostanie
Dzidy wrogów; a z wolą w niéj bożą
Achejczyki sromotnie zasrożą.
Co za dola, niestety! niestety!
Aby młode i stare kobiéty,
Niby konie, za włosy ciągnione
Szły w niewolę rozdarłszy zasłonę.
Wtedy miasto się zmienia w pustynię:
Zdobycz krzyczy, aż w krzyku tym zginie.

Antystrofa 2. Ciężkich nieszczęść obawiam się z góry!
Ledwie jare dziewczęta los srogi
W zamian za dom na straszne prze drogi,
Nim je prawy uświęci ślub, który
Zrywa owoc zielony. Oh! błożéj
Takim, które śmierć wczesna położy.
Gdy się miasto w moc wroga dostanie,

Siła pada okropnych klęsk na nie:
Tu mąż męża powali, przebodzie,
Owdzie pali; dym kłębi po grodzie;
Ares, ludów niszczyciel, się wścieka,
Dmąc, wszechlitość wymiata z człowieka.

Strofa 3. Huk nad miastem. Z boków, z przodu,
Legły szańce koło grodu
Przeciw szańcom. Wrogi idą:
Mąż przeszywa męża dzidą;
Tam, tam, krwawo coś się żali...
To u piersi niemowlęta
Która krwawi; a tam, daléj,
Bieganina jakaś kręta,
Brat rabunek u jéj boku.
Tu łupieżce objuczeni
Dotrzymują sobie kroku;
Owdzie luźni na przestrzeni
Towarzyszów obyczajem
Nawołują siebie wzajem;
Lecz przy działach żądzą główną;
By mieć nie mniéj ani równo.
Cóż się potém stanie z krajem?

Antystrofa 3. A owoców wszelkich gromada,
Aż bolesno! na ziemię upada.
Gospodynie oczyma gorzkiemi
Spoglądają na dary swéj ziemi,
Które kupą bezładną a mnogą
Bez pożytku marnieją pod nogą.
Młode sługi znów inne złe czeka:
Oto łoże służebne u człeka
Szczęśliwego, co w boju silniejszy.
Mnie otucha jedyna, — że wreszcie
Noc zalegnie z pomroką na mieście,
I te klęski bolesne umniejszy.

Półchór 1. Przyjaciółki! Jeżeli oko mnie nie myli,
To szpieg z wieśćmi od wojska podchodzi w téj chwili,
Gorliwie wyciągając nóg sprężyste stawy.

Półchór 2. A oto syn Edypa, król, również przybywa
Z nowych u bram wypadków by posłuchać sprawy;
I jego, widzę, noga także nieleniwa.

Poseł. Wiem i opowiem co tam u wrogów się dzieje,
Jakie rzut losu u bram urządził koleje....

Przed bramą Preta stoi Tydej w szale (6),
Lecz mu przejść wzbrania przez Ismenu fale
Wieszcz, bo nie poszły wróżby należycie.
Tydej się złości, a żądny zdobyczy,
Jak smok sykaniem południowém syczy;
W mądrego wieszcza, Eklejowe dziecię (7),
Ciosami obelg za nikczemność miecie,
Że się umizga Losowi i Wojnie.
Tak wykrzykując, wstrząsa niespokojnie
Potrójną kitą na hełmie; pod tarczą
Miedziane dzwonki przeraźliwie warczą.
Na tarczy jego symbol przezuchwały,
Niebo: jasnością gwiazdy je oblały,
A w środku gwiazda najzacniejsza stoi;
To oko nocy, — księżyc w chwale swojéj.
Na Ismenowém tak czekając brzegu,
Krzyczy i miota się w swym pysznym stroju,
Jak koń dyszący w uzdę, żądny boju,
Gdy na głos surmy zrywa się do biegu.
Kogoż ty jemu przeciwstawisz w bramie?
Kto bronić zdolny jéj z twego szeregu,
Gdy się zapora dla Tydeja złamie?

Eteokles. Mnie zbroje, stroje, nie straszą niczyje:
Godło nie zrani, kita nie zabije,
Ani sto dzwonków, — bez dzidy. Noc zasię
Na jego tarczy, jak mówisz, iskrząca
Gwiazdami nieba, — to szaleństwo zda się
Wróżbą dla kogoś być smutnego końca.
Bo gdy przy śmierci tego bohatéra,
Co sobie godła tak pyszne przybiéra,
Na jego oczy noc się czarna zwali,
Słusznie go *nocnym* będą nazywali,
I on sam sobie wywróży tę srogą
Obelgę. Przeciw Tydeja wiem kogo
W obronie bramy Pretowéj słać przodem:
To syn roztropny Astaka, cny rodem,
Tronu Skromności wielbiciel to wielki,
Nienawidzący pysznéj mowy wszelkiéj;
Gardząc sromotą, złém on się nie zbrudzi.
To człowiek, słowem, pochodzący z ludzi
Najpierwszéj siejby, o ile ich zbrojna (8),
Zaoszczędziła po zasiewie wojna:

To Melanippos, istny syn téj ziemi.
Ares się zajmie kośćmi wojennemi;
Lecz po krwi jemu się prawo należy,
By oręż wroga odparł od macierzy.

Chór. Strofa 1. Szczęściem niech darzą
Bogi rycerza,
Co grodu strażą
Stać się zamierza.
Lecz strach niezmierny,
Gdyby miał krwawie
Zginąć w rozprawie
Obrońca wierny.

Poseł. Zaprawdę, niech go błogosławią bogi!...
Brama Elektry losem się dostała
Kapanejowi. Jest to olbrzym srogi,
Sroższy niż tamten. Chełpliwość zuchwała
Nie rozumuje po ludzku. On wróży
Wieżycom naszym straszliwych klęsk siła,
Czego bodajby Dola nie spełniła!
Bóg chce czy nie chce, — powiada — on zburzy
Cały gród nasz ze szczętem. Choćby brzemię
Gniewów Zeusowych upadło na ziemię,
On nie ustąpi: błyski dlań Zeusowe,
Gromy, — to tylko ciepło południowe.
Godłem więc jego, człowiek nagi wcale;
Którego ręka zbrojna jest pochodnią
Wybuchającą płomieniem, a pod nią
W złocistych głoskach napis: *Miasto spalę*.
Kogoż ty wyślesz nań z drużyny swojéj?
Kto się przed takiém zuchwalstwem ostoi?

Eteokles. Siła na siłę znajdzie się i u mnie.
Ktokolwiek myśli wskróś pusto a dumnie,
Niebawem własne oskarżą go mowy.
Kapanej grozi, do czynu gotowy,
Gardzi bogami, ustom puszcza wodze,
Prosty śmiertelnik raduje się srodze,
W niebo słowami burzliwemi zieje,
Które Zeus słyszy? Mam téż ja nadzieję,
Że słuszny piorun padnie w jego głowę,
Ognistszy niżli ciepło południowe.
Lecz mimo szumne jego rokowanie
Znajdzie się ktoś co przeciw niemu stanie:

Dzielny Polifon; starczy jego siła
Ku naszéj straży, byle poszczęściła
Nam opiekuńcza Artemis. Mów daléj,
Pod inną bramę kogo nam wysłali?

Chór. Antystrofa 1. Bodaj zginął ów, który
Groźby w nasze śle mury;
Niech zatrzyma go grom
Nim się rzuci w mój dom,
By mnie siłą swéj broni
Wziąć z dziewiczéj ustroni.

Poseł. A teraz tego z kolei wymienię
Kogo ku bramom zsyła przeznaczenie.
Za trzecim rzutem hełmu z dobréj miedzi
Eteokl trzeci wypadł w odpowiedzi,
By ciągnął z wojskiem pod Neissy bramę.
Dzielnie zawodzi końmi, które same
Rwą się z uprzęży pod nasze wieżyce.
Dzikim poświstem świszczą uździenice
Pod tchem ich nozdrzy gorącym od szału.
Tarcza téż jego zdobna niepomału:
Oto mąż zbrojny stąpa po drabinie
Na wieżę, iżby ją zwalić; a daléj
Z ust jego napis niby okrzyk płynie:
Że go i Ares z murów tych nie zwali.
Kogóż postawisz zdolnego w téj doli
Od kraju jarzmo oddalić niewoli?

Eteokles. Jest ktoś co tego szczęśliwie dokona:
Z dawnego szczepu, zacny syn Kreona (9),
Megarej. On tam nie nosi przy sobie
Nic służącego chełpliwéj ozdobie;
Lecz gdy za bramę wyjdzie ku obronie,
To go nie spłoszą parskające konie;
Lecz, albo śmiercią zapłaci dług ziemi,
Lub obu mężów, wraz z wieżą na tarczy,
Wziąwszy, ojcowski dom ustroi niemi.
Chwal-że mi innych: mnie spokoju starczy.

Chór. Strofa 2. Niech ci się szczęści, obrońco drogi
Naszego domu, niech padną wrogi.
A jako oni w umysłu szale
Tebom rzucają groźby zuchwale,
Tak Zeus niech na nich rzuci wzrok srogi.

Poseł. Przy bramie, która sąsiaduje blizko
Z Onką-Atene, czwarty stanął butnie:
To Hippomedon, ogromne człeczysko
Wzrostem i ciałem, a krzyczy okrutnie;
Kiedy zaś tarczą zawinął nad ciałem,
Nie, — rzec nie mogę inaczéj, — zadrżałem.
Bo też to tarcza niezwykle rzeźbiona:
Mistrz wyrył na niéj olbrzyma Tyfona (10),
Z którego wrzących ust, godło zniszczenia,
Dym bucha czarny, lotny syn płomienia;
A po wklęsłości, dokoła pawęży,
Snuje się pierścień posplatanych węży.
On zasię, żądzą przepełniony boju,
Przed bitwą dostać nie może w spokoju;
Z krzykiem wojennym pod szańce przypada,
Miota się, wzrokiem iskrzy jak Tyada (11).
Ty nie lekceważ tego wodza siły:
Już jego krzyki strach u bram wznieciły.

Etcokles. Onka, od grodu i bram niedaleka,
Przez gniew na takie zuchwalstwo człowieka,
Ród swój ustrzeże odeń jak od węża.
Ja przeciw niemu Hyperba wybrałem,
Dzielny Enopsa syn pragnie z zapałem
W potrzebie kraju doświadczyć oręża,
Nie niższy w sile, odwadze i broni,
Co świetnie wyszła z Hermesowéj dłoni.
Wrogami sobie są obydwaj męże,
I wrogie bóstwa wprawili w pawęże:
Tamten Tyfona co się ogniem wzdyma,
Ten ojca Zeusa ma na swéj pawęży
Co stoi silnie, w ręku piorun trzyma;
A gdzie przeciwnik co Zeusa zwycięży?
Oto wzajemne tych dwóch bóstw kochanie.
Tam zwyciężony, tu zwycięzca stanie:
By się i ludziom podobnież powiodło!
Bo jeśli Zeus nasz pokonał Tyfona,
To ten co Zeusa ma w tarczy za godło,
Zapewne wroga swojego pokona.

Chór. Antys. 2. Ja mam nadzieję: u czyjéj zbroi
Ohydny Zeusa przedrzeźniacz stoi,
Ziemski bóg w ciele, ów obraz, który
Jako w umyśle śmiertelnych ludzi

Tak w nieśmiertelnych wstręt tylko budzi,
Rozbije głowę o nasze mury.

Poseł. Niech się tak stanie. Piąty wódz z kolei
Losem przeznaczon pod bramę Borei,
A nieopodal grobu Amfijona.
Klnie się na oręż, który czci nad bogi,
Który nad oczy bardziéj mu jest drogi,
Że wbrew Zeusowi zguby Teb dokona.
Tak mówi młodzik o wytworném czole.
Syn nimfy górskiéj, niby mąż-pacholę.
Zaledwie puszek ma na licu świeży
Co z wiekiem rośnie na wargach młodzieży.
On męztwem dzikiém i grozą w spojrzeniu
Kłam dziewiczemu zadaje imieniu (12).
Jak on zuchwale rzuca się na wały!
Tarczą dokoła otoczył się cały,
Na niéj przybity gwoździmi kunsztownemi
Sfinks człekożerny, plaga naszéj ziemi (13);
Potwór ma w szponach Tebanina, żeby
Ciosy mordercze rzucały weń Teby.
Z dalekich stron on przybył tu nie po to
By szczędząc zdrowie cel okryć sromotą:
To Partenopej Arkadyjczk, który
Choć obcy w Argos, przez wdzięczność zaiste
Za chleb i dom śle groźby w nasze mury.
Niech je odwrócą bogi wiekuiste.

Eteokles. O! gdyby bóstwa odprawę im dały
Według ich myśli i bezbożnéj chwały,
To źleby wyszli pyszałkowie owi!
Jest ktoś przeciwko Arkadyjczykowi:
Aktor, brat tego, któregom poprzednio
Wymienił; rękę ma on niepowszednią,
A próżen chwalby. Aktor nie pozwoli
Na to by język rozwiozły, złowrogi,
Bezkarnie naszéj urągał niedoli,
I by przed oczy migały nam wrogi
Tarczą z obrazem owéj bestyi srogiéj
Co jest przedmiotem naszéj nienawiści.
My ją przeszyjem tylą ciosów, że się
Zgryzotą stanie temu co ją niesie.
Gdy zechcą bogi, wróżba ma się ziści.

Chór. Strofa 3. Włosy mi wstają na głowie,
Pęka mi serce,
Gdy słyszę jak ci śmiałkowie,
Jak ci bluźnierce
Warczą słowy bezbożnemi.
Niech zginą z ziemi!

Poseł. Powiem o szóstym. Mędrzec to nielada,
Wróżbita, w bitwie dobrze też dostoi:
To Amfijaréj; z losu mu przypada
Miejsce pod bramą zająć Homoloi (14).
Lży on Tydeja słowy okropnemi:
To mężobójca i wichrzyciel miasta,
To sprawca wszystkich klęsk Argiwskiéj ziemi,
Doradca zguby króla jéj Adrasta,
Wyzywacz zemsty i wszechmordu goniec.
Do brata twego zwraca się nakoniec,
Nazwisko jego, Polynik, rozrywa (15),
Dzieli na dwoje i tak się odzywa:
—„Dzieło to miłe, zaprawdę, dla bogów,
Lube posłuchem i wspomnieniem lube
Dla potomności, żeś sprowadził wrogów
Na zgubę ziemi ojczystéj, na zgubę
Bogów rodzinnych. Gdzież sąd co ukoi
Łzy tryskające z oczu matki twojéj?
Ziemię oddając na łup obcéj broni,
Jakież mieć odtąd możesz prawo do niéj?
Ja zaś tę ziemię użyznię mym trupem,
Obcy wieszcz, w obcéj ukryty ustroni.
Walczmy: niesławy nie stanę się łupem.“
Tak mówił wieszcz. Miedziana go obwiodła
Tarcza okrągła, tęga, lecz bez godła;
Bo sycąc w myśli swéj brózdę głęboką,
Na któréj wschodzą rozumne wyniki,
On chce być dzielnym w gruncie, nie na oko.
Dzielne a mądre staw mu przeciwniki;
Ten co czci bogi straszną jest opoką.

Eteokles. O! dziwny losie, co łączysz na ziemi
Sprawiedliwego z najbezbożniejszemi!
W każdéj bo sprawie co najbardziéj szkodzi,
To złych wspólnictwo; owoc tam nie zrodzi:
To grunt Nieszczęścia, gdzie Śmierć gospodarzy.
Niech człowiek zacny na okręcie płynie

Ze zgrają niecnych, zbrodniczych żeglarzy,
A razem z rodem tym przeklętym zginie.
Człowiek uczciwy gdy się na mieszkanie
Wśród niegodziwych, niewiernych, dostanie,
Słusznie ulega złemu co ich czeka:
Spadnie bicz boży, i nie ma człowieka.
Tak i Ojkleja syn, z szlachetną duszą,
Mądry, pobożny, prawy, prorok wielki,
Wtrącon w tłum ludzi odartych z czci wszelkiéj,
Którzy zkąd przyszli tam i odejść muszą,
Wtrącon niechętnie, podzieli ich dolę,
Jeżeli taką Zeus objawił wolę.
Nie sądzę, iżby szedł ku bramie z kuszą,
Nie przez brak męztwa lub niepewność siebie,
Lecz wié, iż zginąć musi w téj potrzebie,
Jeśli wyroczniom Feba wierzyć mamy,
Co lubi milczéć lub prawdę wyrzeka.
Gdyby jednakże szturmował do bramy,
My przeciw niemu postawim człowieka
Odpowiedniego: dowódca załogi
W téj bramie, Lasten, obcym ludziom wrogi,
Sędziwy myślą, ale zawsze hoży
Młodością ciała; ręka nieleniwa
Żwawo z pod tarczy oręża dobywa.
Lecz powodzenie ludzkie, — to dar boży.

Chór. Antystrofa 3. O! bogi, co nasze modlitwy,
Co nasze słyszycie nadzieje,
Wy sprawcie niech gród ocaleje,
I klęski téj bitwy
Upadną na plemię
Co naszło tę ziemię.
Zeus niechaj swym gromem
Przed naszym zabije ich domem!

Poseł. Siódmego wspomnę, co szereg zamyka
Przy bramie siódméj; a więc Polinika,
Twojego brata. Jakiemiż, jakiemi
Miota on groźby przeciwko téj ziemi!
Zdobędzie wieżę i stanie na szczycie,
Tam pieśń zwycięzką zanuci, — słyszycie?
Królem się kraju ogłosi; a potém
Spotka się z tobą, przeszyje cię grotem,
I zginie. Jeśli daruje ci życie,

To, jako przez cię wygnan, zbezczeszczony,
Tak ciebie wygna precz z ojczystéj strony.
Takiemi słowy ów Polinik srogi
Woła i w pomoc zwie ojczyste bogi.
Ma téż on tarczę ukowaną znowa,
Z podwójném godłem, — kunsztowna robota:
To mąż rycerski, rzeźbiony ze złota,
Którego lekko wiedzie białogłowa;
To Sprawiedliwość, jak świadczą jéj słowa:
—„Ja tego męża do grodu sprowadzę,
Zwrócę mu dworce ojcowskie i władzę."—
Takie zamiary są więc tych rycerzy;
Kogo mu stawić, do ciebie należy.
Na moje wieści nie możesz się żalić,
Sam myśl jak okręt ojczyzny ocalić.

Eteokles. O! mój zaślepły rodzie Edypowy,
Nędzny przedmiocie bożéj nienawiści!
Ah! już to klątwa ojcowska się iści?...
Lecz po co płakać i wszczynać jęk nowy!
Cicho! by gorszéj nie zadawać rany.
Oj! Poliniku, ty, dobrze nazwany!
Zobaczym na co te godła się zdadzą,
I czy na tarczy twéj złocista mowa
W myśli szalonéj, obdarzy cię władzą.—
Tak, — Sprawiedliwość, ta córa Zeusowa,
Gdyby przytomną była jego myśli
I czynom, może mybyśmy źle wyszli.
Lecz go spojrzeniem nie uczciła ona
Gdy wyszedł z ciemnic matczynego łona,
Nie była kiedy karmiono go mlékiem,
Ani w dzieciństwie, ani kiedy z wiekiem
Zarost mu na twarz wystąpił puszysto;
Témbardziéj teraz nie stanie z człowiekiem
Co przyszedł gnębić swą ziemię ojczystą.
Tak, — Sprawiedliwość skłamałaby srodze
Imieniu swemu, gdyby szła po drodze
Z śmiertelnym, który wszem prawem pomiata.
Tę mając ufność, jesteśmy gotowi;
Ja sam wystąpię: wódz przeciw wodzowi,
Wróg przeciw wroga, brat naprzeciw brata;
Niczyje prawo wyższém jest nad moje.

Podaj mi prędzéj golenice, zbroję,
W niéj ja ni dzidy, ni strzał się nie boję.

Chór. Najmilszy z ludzi, synu Edypowy!
Nie bądź podobny temu, który słowy
Najstraszniejszemi gromiony jest wszędzie.
Krew, którą mają przelewać Kadmeje
W bitwie z Argami, ta zmazaną będzie,
Lecz plama z bratniéj krwi się nie starzcje.

Eteokles. Krom hańby, wszystko złe zniosę na ziemi,
Bo cześć najdroższa między umarłemi;
A cierpiéć bóle wraz z hańbą na świecie,
Tego chwalebném przecież nie nazwiecie.

Chór. O! synu nasz,
Czemu w zamiarze téj walki trwasz?
Nie folguj żądzy bojowéj,
Zaród złéj myśli odpędź od głowy.

Eteokles. Owszem, gdy bóg sam pomaga ruinie,
Znienawidzony przez Feba Lajowy
Ród pędem wichru niech w Kocycie zginie.

Chór. Jakaś ciebie żądza zła
Do żywego w serce żga;
Ale twe zabójstwo, zważ,
Gorzki owoc kiedyś zrodzi,
Bo krwi, którą toczyć masz,
Tobie przelać się nie godzi.

Eteokles. Ojciec nas drogi przeklął. Więc daremno!
Klątwa złowroga stoi wciąż przedemną,
I z okiem bez łzy, suchém, mówić zda się:
Lepsza śmierć wczesna niż w dalekim czasie.

Chór. Po co ci przyspieszać bieg?
Choćbyś życia pilniéj strzegł,
Nie wykroczysz. Czarna Jędza
W te się domy nie zapędza
Gdzie bogowie objat sporo
Z rąk mieszkańców chętnie biorą.

Eteokles. Już my nie boży: im objata miła
Ta, któraby nas śmiercią powaliła.
Cóż schlebiać doli, która nas uciska?

Chór. Teraz właśnie, kiedy blizka.
Bóg co dziś nienawiść sieje,
Może z czasem wolę zmieni,

Łagodniejszym tchem powieje:
Dziś on cały wśród płomieni.
Eteokles. Klątwa Edypa pali mnie, niestety!
I prawdą staje się senne widziadło,
Co z bogactw ojca nam w podziale padło.
Chór. Lubo niechętny, posłuchaj kobiéty.
Eteokles. Mówcież, — lecz krótko, — co czynić wypada.
Chór. Nie iść pod bramę, — oto moja rada.
Eteokles. Rozjątrzonego nie zmiękczycie słowy.
Chór. I złe zwycięztwo bóg za chlubę bierze.
Eteokles. Zdania takiego nie lubią rycerze.
Chór. Więc krew braterską tyś zebrać gotowy?
Eteokles. Jeśli mi bogi dopomogą w czynie,
To go z rąk moich zguba nie ominie.
Mezodos. Chór. Strofa 1. Drżę. Ta Erynna, straszna bogini
Co spustoszenia w rodzinach czyni,
Tak niepodobna z bóstwy innemi,
Ta nieomylna klęsk prorokini,
Znęcona klątwy Edypowemi
Teraz istotnie ziścić gotowa
Starego ojca szalone słowa:
A braci na się zawziętych zwada
Spieszniejszą zgubę im zapowiada.
Antystrofa 1. Żelazo, gość ów niemiły,
Straszny, od Scytów przybyły,
Spełni wyroki:
On zrobi dział między niemi,
Kraj im zabierze szeroki
I tyle wydzieli ziemi
By martwe przykryć ich zwłoki.
Strofa 2. Gdy pod ciosy wzajemnemi
Legną śmiercią, a proch ziemi
Ich zaskrzepłą krew wypije,
Kto ich ze krwi téj obmyje,
I uczyni zadość winie?
Klęska nowa
Dziś przyłączyć się gotowa
Do klęsk starych w téj rodzinie!
Antystrofa 2. Klęską starą ja zaś mienię
Ów grzech Laja, który lubo
Ukarany już, — tchnie zgubą
Jeszcze w trzecie pokolenie.

Z Pityjskiego chramu Feb,
Leżącego w środku ziemi,
Trzykroć słowy grożącemi
Mówił doń, że jeśli Teb
Chce skutecznym zbawcą być,
To bezdzietnym winien żyć.

Strofa 3. Błędnym przyjaciół radom wygodził,
I ojcobójcę Edypa spłodził;
A ten na matki przeczystéj glebie
Z któréj wyczerpał życie dla siebie,
Ten krwawy zagon zaorać śmiał.
O! tych małżonków połączył szał.

Antystrofa 3. Klęski, to niby fala za falą,
Z morza wzdętego na kraj nasz walą:
Jedna opadła, lecz druga wzrasta,
I najstraszniejsza, nad statkiem miasta.
Pomiędzy niemi i nami leży
Szczupłą zaporą objętość wieży.
Lękam się bardzo, lękam się, żeby
Razem z królami nie padły Teby.

Strofa 4. Oj! smutneż to pojednanie,
Gdy wreszcie zadość się stanie
Staréj téj klątwie: bo kiedy
Poczną gromadzić się biedy,
Nie ma im końca i miary.
Daremnie chciwość na statek
Zbytni ładuje dostatek:
Przyjdzie czas zrzucać ciężary.

Antystrofa 4. Ktoż z ludzi więcéj uczczon przez bogi,
Kto przez współobywateli,
Przez Czas dający posiłek błogi,
Więcéj uwielbion niżeli
Edyp, gdy od plagi srogiéj
Co żarła ludzi przez długi czas
Uwolnił nas.

Strofa 5. Lecz gdy się, nędzny, ku swojéj zgubie
O swym okropnym dowiedział ślubie,
Szaleje z bólu, rozpacz go toczy,
Sam sobie klęski zadaje dwie:
Droższe nad dzieci on własne oczy
Ojcobójczemi rękami rwie.

Antystrofa 5. I rozdrażniony, — gorzkiemi słowy
Rzuca przekleństwo na synów głowy,
Klnie wychowanie, które im dał,
Życząc by ręka zbrojna żelazem
Dóbr między niemi zrobiła dział.
I ja się lękam azaż tym razem
Erynna giętkie puściwszy nogi
Już nie spełniła klątwy złowrogiéj.

Poseł. Cieszcie się córki, wychowanki matek!
Już z Teb opadło niewolnicze brzemię,
Buta zuchwalców runęła na ziemię,
Powrócił spokój; a grodowy statek,
Chociaż nim liczne bałwany miotały,
Nie nabrał wody. U wieży szczyt cały;
U bram téż miejskich myśmy z każdéj strony
Stawili mężów sprawnych do obrony.
I szło u sześciu wszystko doskonale;
Tylko przed siódmą w swojéj boskiéj chwale
Stanął Apollo, by Edypa syny
Spłacili ciężar staréj Laja winy.

Chór. Jakież do miasta nowe wieści?
Poseł. Oni
Z morderczéj wzajem poginęli dłoni.

Chór. Kto? Co ty mówisz! Słowa twoje srodze
Mnie przerażają, od zmysłów odchodzę.
Poseł. Słuchaj przytomna: — to Edypa plemię.
Chór. Nieszczęsna! Wróżbę nowych nieszczęść głoszę!
Poseł. I niewątpliwie obaj gryzą ziemię.
Chór. Choć ciężko słuchać, opowiadaj, proszę.
Poseł. Z rąk bratnich wzajem legli w jednéj chwili.
Chór. Obaj wspólnego więc losu zażyli.
Poseł. Los unicestwił to nieszczęsne plemię;
Nam się radować, lecz i boleć srodze;
Bo gród ocalon, gdy jego dwaj wodze,
Dwaj króle, własną rozdzielili ziemię
Żelazem na miecz kowaném u Scyty.
Stało się zadość klątwie niespożytéj
Ojcowskiéj: każdy posiadł ziemi tyle
Ile potrzeba, by się skryć w mogile.
Gród ocalony; ale ziemia chłonie
Krew tych dwóch królów, którzy w jedném łonie

Wzięli początek, a dziś w jednéj chwili
Wzajemnym mordem życie utracili.

Chór. O! wielki Zeusie, i wy, bogowie,
Kadmowych szańców opiekunowie!
Czy mam się cieszyć, radości głosem
Z tak ochronionéj całości grodu,
Czy ubolewać nad smutnym losem
Królów, co legli bezdzietni zmłodu?
Godni nazwiska, oj! Poliniki,
Przez myśl bezbożną giną kłótniki.

Strofa. Czarna klątwa, niespożyta,
Padła na ten biédny ród.
Zły mnie mróz za serce chwyta!
Jak bachantka, z tęsknych nut
Nadgrobowy składam śpiew,
Skoro mnie doleciał słuch
O tych nędznych trupach dwóch
Z których bratnia sączy krew.
Według wróżby, te ich ciała
Dzida śmiercią pojednała.

Antystrofa. Nie omieszkała klątwa straszliwa
Rodzica rzucona słowy,
Wzeszedł niewierny upór Lajowy,
Gród się żałobą okrywa,
Wróżby nie zczezły. Biedniż królowie!
Wyście zbłądzili ciężko niewiarą;
Ciężkie złe na was padło téż karą,
I już nie w słowie.

Epodos. Toć oczywista. Prawdziwe wieści
Przynosi poseł. Dwie są ofiary
Wspólnego mordu, i dwie boleści
Dopełnić przyszły nieszczęścia miary.
Cóż więcéj powiem?.. W domu tym długo
Snuły się klęski jedna za drugą.
Więc, przyjaciołki! za moją sprawą
Obu rękami nad głową, żwawo,
Wiosłujcie z wiatrem po szybkiéj fali
Łez, prowadzącéj daléj a daléj
Łódkę umarłych czarnożaglową
A pełną jęków, na Acheronie, (16)
Płynącą wiecznie ku owéj stronie
Kędy nie widać słońca nad głową,

Kędy nie słychać o Apollonie,
Ku okolicy mrocznéj, w żałobie,
A która wszystkich wabi ku sobie.

Przodownica chóru. Lecz Antygonę widzę zdaleka,
Idzie z Ismeną. Gorzka je czeka
Powinność,—braci opłakać zgon;
I niewątpliwie z ich lubych łon
Ukrytych w szaty grubofałdziste
Wybuchnie rozpacz, słuszna zaiste!
Ale nim one wyrzekną słowo,
Nam to wypada pieśń Erynnową (17)
O dzikiéj nucie począć i wznieść
Ohydny pean w Hadesa cześć.

Kommos. Chór. Najnieszczęśliwsze, o! siostry dwie,
Śród wszystkich, którym pasek dziewiczy
Obciąga kibić. Płaczę z goryczy,
I nie obłudą skarga ma tchnie,
Istotną dusza boleścią krzyczy.

Półchór 1. Strofa 1. Ah! ah! szalone, nieszczęsne głowy!
Coście przyjaciół nie posłuchali,
A klęski dawne prowadząc daléj,
Stracili w boju spadek ojcowy.

Półchór 2. Antystrofa 1. Nieszczęśni iście! Znaleźli przecie
I śmierć nieszczęsną, która rozmiecie
Dom ich zarazem.

Półchór 1. O! burzyciele własnéj dzielnicy!
Patrzyli w smutny tron zazdrośnicy,
Dziś pojednani żelazem.

Półchór 2. Zacna Erynna ziściła żywo
Klątwę ojcowską prawdziwą.

Półchór 1. Pchnięci w bok lewy.....

Półchór 2. Strofa 2. Tak, pchnięci w ciało,
Które z wnętrzności jednych powstało.

Półchór 1. Nieszczęśni! zmarłych klątwa straszliwa
Ten mord wzajemny braci wyzywa.

Półchór 2. Cios, mówisz, nawskróś przebił?...

Półchór 1. Antystrofa 2. To grom,
Mówię, co zwalił ciało i dom.

Półchór 2. Szał niesłychany, złowroga zwada!
A wszystko z klątwy ojcowskiéj spada.

Chór. Epodos. W grodzie się szerzy jęków niemało:
Jęczy tam wszystko co ich kochało,

Ziemia i szańce i wieże.
A spadkobierca jakiś zabierze
Włości dla których wybuchła zwada,
Dla których życie obu przepada.
I podzielili się w gniewnym szale
Dziedzictwem: dział ich równy jest; ale
Na pojednawcę Aresa wiele
Skarżyć się mogą ich przyjaciele. (18)

Półchór 1. Żelazem nawskróś pierś ich przebita.
Żelazem także przebite, k'sobie (19)
Wabi ich.... „A co?"‥.. ktoś spyta;
Miejsce spoczynku w ojcowskim grobie.

Półchór 2. Echo ze dworców za niemi bieży,
Skarga bolesna, smutna bez końca,
Płaczem serdecznym rozdzierająca:
Tak i ja płaczę tych dwóch rycerzy.
Lecz o nieszczęsnych rzec można śmiele...

Półchór 1. Że względem ziomków zgrzeszyli wiele;
I sprzymierzonym téż się dostało,
Bo ich tam w boju padło niemało.

Półchór 2. Z tych co matkami słyną na ziemi
Najnieszczęśliwsza między wszystkiemi
Matka tych dzieci. Smutnaż rodzina!
Matka za męża pojmuje syna
I rodzi nowe syny, by oni
Dziś z bratniéj wzajem zginęli dłoni.

Ismena. Bracia! bracia nieszczęśliwi!
Zwadę wszczęli przy podziale
I zamknęli w strasznym szale.
Już się nigdy nie odżywi
Ich nienawiść. Krew rumieni
Ziemię, która rzeź wypiła;
Wspólnym domem im mogiła,
Gdzie krwią znowu połączeni.

Chór. Gorzkim sędzią bratnich zwad
Przybysz jest z zamorskiéj strony,
Który z ognia umkął w świat;
To żeleziec zaostrzony.
A z nim Ares, ów ponury,
Srogi bogactw szafarz, który
Sprawił to, że na nich siła
Klątw ojcowskich się ziściła.

Antygona. O! nieszczęśni, znieśli oni
Ile spadło z Zeusa dłoni
Bólu na nich. Dziś mogiła,
Która ciała ich pokryła,
To bogata i jedyna
A bezdennna ich kraina.

Ismena. Otóż dom nasz, co na świecie
Stanął w pełnym nieszczęść kwiecie!
Aż gdy wreszcie ród zwalczony
Rozpierzchł się na wszystkie strony,
Jędze straszną pieśń swéj chwały
W pogoń za nim zaryczały.
Troféj śmierci u bram grodu
Legł, gdzie bracia legli społem,
I zwycięzki Demon rodu
Ze spokojném odszedł czołem.

Antygona. Pchnięty,—pchnąłeś w pierś u bram. (20)
Ismena. Śmierć zadawszy, padłeś sam.
Antygona. Ty zabiłeś dzidą brata.
Ismena. Tyś przez dzidę zszedł ze świata.
Antygona. Nieszczęśliwi, kiedy żyli.
Ismena. Nieszczęśliwi w zgonu chwili.
Antygona. Niechaj płyną żale moje.
Ismena. Niechaj płyną łez mych zdroje.
Antygona. Który zabił, pierwszy pada.
Ismena. Biada! Biada!
Antygona. Z żalu umysł traci wodze.
Ismena. Z żalu serce jęczy srodze.
Antygona. Oh! tyś godzien mojéj łzy.
Ismena. I tyś równy mu w niedoli.
Antygona. Swój cię zabił.
Ismena. Swego ty.
Antygona. Mówić o tém,—dwakroć boli.
Ismena. Widzieć,—dwakroć ból uciska.
Antygona. Ich niedoli nasza blizka.
Ismena. Siostry, braciom idziem w koléj.

Chór. Straszna Dolo, która nędzę
Rzucasz nam na głowy!
Groźny cieniu Edypowy!
I wy, czarne Jędze!
Tak, wasza potęga
Daleko zasięga.

Antygona. Biada! Biada!
Ismena. Strasznyż widok się odsłania (wskazując na Polinika),
Gdy ten wrócił tu z wygnania.
Antygona. Choć przeciwnik jego pada,
Już nie wrócił on do grodu.
Ismena. Ocalony,—stracił życie.
Antygona. Tak.
Ismena. I odjął.
Antygona. Dola rodu!
Ismena. Ród nieszczęsnny! W jego bycie
Opłakane klęski, mianem
Dlań się stały opłakaném.
Antygona. A podobne do źródliska
Co z potrójną mocą tryska
I rozkrapla się we łzach. (21)
Ismena. To strach mówić!
Antygona. Widzieć strach!
Chór. Straszna Dolo, która nędze
Rzucasz nam na głowy!
Groźny cieniu Edypowy!
I wy, czarne Jędze!
Tak, wasza potęga
Daleko zasięga.
Ismena (ku Polinikowi). Tyś ją poznał za powrotem.
Antygona (ku Eteoklesowi). I tyś poznał wkrótce potém.
Ismena. Podstępując pod ten gmach.
Antygona. Przeciw niemu stając dzidą.
Ismena. Straszno mówić!
Antygona. Widzieć strach!
Ismena. Oh! boleściż na nas idą!
Antygona. Oh! nieszczęściaż na ten dom.
Ismena. Na kraj cały; ale grom
Przed wszystkimi na mnie spada.
Antygona. Na mnie cięźéj. Biada! biada!
Ismena. Tego co my cierpim obie,
Eteoklu, źródło w tobie.
Antygona. O! najnieszczęśliwsi z ludzi.
Ismena. Demon złego szał w nich budzi.
Antygona. Gdzież ich obu złożym w grobie?
Ismena. W najcelniejszém z miejsc krainy.
Antygona. Niech przy ojcu spoczną syny.

Woźny. Mam wam ogłosić co przedni w téj chwili
Wiecowi męże w grodzie uchwalili.
Eteoklesa, że kochał kraj, ciało
Pogrześć się w ziemi ukochanéj zdało.
Bo zginął w mieście płosząc jego wrogów,
Bez zmazy względem swych ojczystych bogów,
Umarł tą śmiercią jaką się należy
Umrzéć, by pięknie umierać, młodzieży.
Tyle słów o nim. Ale z drugiéj strony,
Trup Polinika ma być wyrzucony
Precz, bez pogrzebu, jak dla psów padlina,
Bo, gdyby nie był się jakiś bóg zjawił
I dzidom jego tarczą się postawił,
Już z grodu Kadma byłaby ruina.
Ni on się śmiercią z téj zbrodni oczyszcza,
Którą znieważyć śmiał ojczyste bogi,
Huf cudzoziemski prowadząc pod progi
Grodu, gdzie one mają swe siedliszcza.
Więc złożon będzie bezeczci na szlaki;
Pogrzeb niech sprawią mu drapieżne ptaki,
Jako zasłużył. Nie pójdzie mu przodem
Pieśń co żałośnym jęczy chorowodem,
Ni go przyjaciół poniosą ramiona,
Ni ruchy będą mu towarzyszyły
Rąk, które ziemię sypią na mogiły:
Taki jest rozkaz Kadmowego grona.

Antygona. Ja zaś starszyznie powiadam od siebie,
Że choćby wszystko opuścić mnie miało,
W niebezpieczeństwo ja rzucę się śmiało,
I sama brata uczciwie pogrzebię;
A pogrzebawszy nie zawstydzęś wcale
Tego oporu grodowéj uchwale.
Bo wielką dźwignią jest ta wspólność łona
W którém jam z bracią moją urodzona
Z ojca i matki wsławionych niedolą....
O! duszo moja, łącz się dobrą wolą
Z tym co występnym stał się mimowoli;
Żywa z umarłym idź w braterską koléj.
Żarłocznym wilkom, jak się komuś zdało,
Nie będzie wcale pastwą jego ciało:
Ja, mdła dziewczyna, grób jemu wyżłobię,
W fałdach zaniosę go téj szaty lnianéj,

Z ziemi mogiłę usypię na grobie,
Który go skryje. Więc, bracie kochany,
Bądź mi spokojnym. Wykonam to szczerze.
Niechaj nikt tego w wątpliwość nie bierze.
Woźny. Wzywam cię, nie czyń czego gród zabrania.
Antygona. Wzywam cię, nie głoś czczego rozkazania.
Woźny. Lud jest gwałtownym po ciężkiéj przeprawie.
Antygona. Gwałt nie gwałt,—bratu pogrzeb jednak wyprawię.
Woźny. Grobem czcić będziesz, komu gród tak wrogi?
Antygona. Dawno go bez czci zostawiają bogi.
Woźny. Miał, nim kraj zdradził, poważanie boże.
Antygona. Złego doznawszy, złém za nie odmierzył.
Woźny. Za złe jednego na wszystkich uderzył.
Antygona. Bogów ostatniém jest słowo w tym sporze:
Nie mów tak długo. Ja złożę go w grobie.
Woźny. Czyń według woli: ja zabraniam tobie.
Epodos. Chór. Przebóg! przebóg! Złowrogie boginie!
Dumne Jędze, rodzin niszczycielki!
Zgnębiłyście ród Edypów wielki.
Co się zemną stanie? co uczynię? (*ku Polinikowi*)
—Ośmieleż się nie opłakać ciebie,
Mogęż nie być na twoim pogrzebie?
Lecz choć chętna,—czyż nie onieśmieli
Mnie ten groźny gniew obywateli? (*ku Eteoklesowi*)
—Ty mieć będziesz płaczek tłum gromadny...
Lecz nieszczęsny ten, bezełzy żadnéj
Pójdzie spocząć, jęk mając za sobą
Jednéj siostry dźwięczący żałobą....
Któż z gromady puści się w jéj ślady?
Półchór 1. Czy gród potępi tego lub nie,
Kto Polinika opłakać śmie,
My z siostrą pójdziem złożyć go w grobie.
Wszystkim tu wreszcie drogi ten ród,
A Sprawiedliwość,—prawa jéj sobie
Tak, to inaczéj, tłómaczy lud.
Półchór 2. My z Eteoklem ruszymy przodem,
By w zgodzie zostać z prawem i z grodem.
Bo po potędze bóstw i Zeusowéj,
Jego to sprawił najwięcéj trud
Że się nie zwalił ten gród Kadmowy,
I że go obcy nie zalał lud.

PRZYPISKI.

1. *Adrastes*, król Argos, do którego schronił się Polinik po wygnaniu go z Teb przez brata, i którego zjednał sobie pomoc przeciwko bratu: naczelny wódz całéj wyprawy przeciw Tebom.
2. *Cypryda*, od wyspy Cypru, słynnéj z miłostek,—jeden z epitetów Wenery.
3. Dosłownie: *wilczy król* (lykei anax), przydomek Apollina. Niektórzy wyprowadzają ten przydomek także od *Lycyi*, prowincyi w Azyi Mniejszéj; ale i ta zapewne nie od czego innego nazwę swą wzięła tylko od mnóstwa wilków.
4. *Onka*, jest podobno nazwą fenicką Ateny (łac. Minerwy), któréj świątynię wzniósł Kadmus po za miastem: zkąd nawet jedna z bram tebańskich zwała się Onkais.
5. *Tethys*, mitologiczna córka Uranusa i Westy, siostra Saturna, żona Neptuna, matka rzek i nimf.
6. *Pretos*, starożytny bohater Teb, którego pamięć uczczono nazwą bramy. *Tydeus*, zięć Adrasta, ożeniony z córką jego Deifilą.
7. Ma to być *Amfiaréj*, wróżbita, syn także wróżbity Ojkleja, a szwagier Adrasta.
8. Dosłownie: *ludzi zasianych*, z posiewu zębów smoczych, dokonanego według mitologii, przez Kadmusa, a z którego to mieli powstać piérwsi ludzie Tebańscy. Wybili się oni następnie wzajem, tak iż pięciu tylko pozostało na dalsze pokolenia: ród to tedy najarystokratyczniejszy.
9. Ten sam to Kreon, brat Jokasty, który zawładnął tronem tebańskim po śmierci Eteokla i Polinika.
10. Jeden z tych, którzy wystąpili przeciw Zeusowi, zaprzeczając mu władzy, nad światem, i których Zeus pobił piorunami: podanie podobne temu, które w innéj sferze religijnéj opiewa o aniołach strąconych. Symbol emancypacyi ducha ludzkiego, przechodzącéj po za granice właściwe, do zarozumiałości i pychy.
11. Rozogniona Bachantka.
12. *Partenopais*, (syn dziewicy),—syn Arkadyjskiéj Atalanty; różny od Partenopaja, synowca Adrastesa.

13. Mityczny potwór, nakształt smoka Krakusowego,—któremu Tebanie musieli opłacać daninę z ludzi, póki Edyp nie uwolnił ich od téj plagi.
14. Od Homolois, córki skamieniałéj Nioby. Jest téż góra Homole w Tessalii, w pobliżu cudnie pięknéj doliny Tempe.
15. Przy rozkładzie imienia *Polineikos* na dwie części, wypada znaczenie człowieka *wielce zwadliwego*. Taż sama alluzya powtarza się i stosuje do obu braci, w 1 strofie późniejszego Chóru. „Godni nazwiska, oj! Polyniki!"
16. *Acheron*, rzeka, mitycznie przeniesiona do Piekieł, czyli krain pośmiertnych.
17. *Erynny*, czyli Jędze, wyobrażenie przekleństw, namiętności złych, mściwych, często zgryzot sumienia, jeżeli zwłaszcza skutkiem czyjegoś czynu nastąpiła śmierć. Erynny używane są zwykle przez poetów jako konsekwencya moralna nieunikniona złamania pewnych zasad, dążąca przez ekspijacyą bolesną do oczyszczenia jednostki i pogodzenia zwichniętych przez nią interesów moralnych. Tu dla tego Chór łączy Erynny z Hadesem w zamierzonéj pieśni, że śmierć nad którą panuje Hades (rządca Piekieł) wynikła skutkiem działania Jędz.
18. Tu zdaje się, że razem z przybyciem sióstr, wnoszą na scenę zwłoki zabitych braci.
19. To powtórzenie wyrazu: *żelazo*, sprawia effekt poetyczny. Jak ono bowiem przebiło pierś walczących w postaci kopii; tak ono też przebije ziemię na ich grób, w postaci rydla.
20. Odtąd aż do końca tego ustępu lirycznego widoczną jest lekka insynuacya, że Antygona przemawia więcéj na stronę Polinika, a Ismena na stronę Eteokla.
21. Tekst tego wyrażenia Antygony, równie jak poprzedniego Ismeny, musiał zmienionym być nieco w tłómaczeniu pod względem dosłowności. Nie wiem czyśmy je dobrze zrozumieli w duchu i figurze poetycznéj, ale nie mogliśmy innéj interpretacyi znaléść na wyrażenia, które tu podajemy dosłownie, zacząwszy od poprzedniego wyrażenia Ismeny.

Ismena: „Wycierpiał (ten ród) klęski (kédea) jednoimienne, nieszczęśliwe, opłakane."

Antygona: „(klęski) mokre niedolą tryskającą z mocą potrójną (tripálton)".

STOSUNKI GMINNE

W GALICYI.

(Dokończenie.)

IV.

Poznaliśmy dotychczas gminę galicyjską, jako po większéj części małą gromadę wioskową, nie liczącą 1.000 ludności, pozbawioną inteligencyi i zarządzaną przez zwierzchność nie mogącą mieć ani znajomości ustaw, ani zrozumienia interesu i potrzeb społecznych. Obok téj zwierzchności stoją pomocnicy również niewykształceni, często złéj woli, którzy do nieznajomości rzeczy przynoszą jedynie zamiłowanie własnego interesu, tak, że gmina zamiast byćześrodkowaniem życia miejscowego, staje się areną lichych i nieczystych zabiegów. Do takiéj gminy nie można rościć wielkich pretensyj, zakres jéj działania winien być odpowiedni drobnym zasobom moralnym i materyalnym. Tymczasem ustawa gminna galicyjska z r. 1866 była obowiązaną trzymać się ram ustawy państwowéj austryackiéj 25 Marca r. 1862, która nadała gminie nader szeroki zakres działania.

Ustawa krajowa podobnie jak ustawa państwowa austryacka z r. 1862 odróżnia własny i poruczony zakres działania. Rozróżnienie to przejęły obie ustawy z ustawy tymczasowéj z r. 1848, a ta ostatnia szła za wzorem ustawodawstwa francuskiego, gdzie jeszcze pierwsza ustawa gminna z r. 1789 oparła się na różnicy dwóch zakresów działania. Różnica ta da się uzasadnić historycznie. W gminie średniowiecznéj panuje *immunitas* to jest zupełna niezależność gminy, która sięga tak daleko, że urzędnikom publicznym niedozwolona jest żadna władza w obrębie gminy (1). Kiedy następnie upadała samodzielność gminy, władza centralna przywłaszczyła sobie prawo bezpośredniéj ingerencyi we wszystkich sprawach, na wzór

(1) Maurer Dorfverfassung I. 353. II. 169.

rzymskiéj korporacyi, uznała gminy za małoletnie i podała każdą ich czynność najściślejszéj z zewnątrz kontroli. Gmina podporządkowana państwu stała się organem wykonawczym wyższych poleceń, a zbyła się wszelkiéj samodzielności. Rozróżnienie własnego i poruczonego zakresu w ustawie gminnéj z r. 1789 było częściowym powrotem do samodzielności gminy. Państwo nowożytne, jakie inaugurowała wielka rewolucya francuska, wszystkie funkcye publiczne uważa za swą wyłączną atrybucyą i powierza tylko gminie wykonanie pewnych spraw, przyczém odróżnia czynności w których przeważa charakter miejscowy od tych, w których przewaga jest po stronie interesu szerszéj powszechności. Pierwsze sprawy o miejscowym charakterze są powierzone gminie do samoistnego traktowania, chociaż pod kontrolą i nadzorem państwa, i to jest tak zwany własny zakres gminy; drugie sprawy wykonywają organa gminy jako pomocnicze organa władz państwa, a więc nie pod nadzorem, ale pod kierunkiem tych władz centralnych. Są to zatém sprawy obce gminie, tylko poruczone do wykonania władzom gminnym, działającym w zastępstwie organów państwowych. Jako delegat władzy centralnéj, powiada Batbie, mer działa pod odpowiedzialnością prefekta *(agit sous l'autorité du préfet)* jako zarządca gminy jest postawiony pod kontrolą i nadzorem prefekta *(sous la surveillance et l'inspection* art. 50 ust. z r. 1789) (1).

Mężowie wielkiéj rewolucyi francuskiéj, którzy dokładne odróżnienie różnych odcieni władzy uważali za główną podstawę wolności, przywiązywali wielką wagę do nacechowania i w tym razie dwóch punktów widzenia (2). Za nimi poszły ustawodawstwa innych krajów, a nawet wielu teoretyków; rozróżnienie jakie postawiła rewolucya francuska przyjęło się powszechnie i stanowi tło organizacyi gminnéj całego XIX wieku. Wszędzie téż spotykamy mniéj lub więcéj wyraźny podział zakresu gminnego na własny i poruczony. Ustawodawstwo nasze zachowuje go także, ale zarazem zakreśla nader szerokie koło dla własnego zakresu działania, gdyż podaje bardzo ogólnikowe jego określenie. Według §. 27 ust. gm. do własnego zakresu gminy należy wszystko, co bezpośrednio dotyczy interesu gminy, i w jéj granicach, własnemi jéj siłami załatwionem i przeprowadzoném być może. Ustawa wprawdzie w dalszym ciągu tego paragrafu wylicza wiele spraw, ale stosownie do niewątpliwego życzenia ustawodawcy, wyrażonego w rozprawach nad tym przedmiotem

---

(1) Batbie Traité IV. 292.

(2) Unatrin et Batbie Lois administratives françaises p. 106, 112, 124.

przy uchwalaniu ustawy państwowéj gminnéj z r. 1862, wyliczenie to ma jedynie wskazać, że sprawy specyalnie tu przytoczone nie mogą być w żadnym razie odjęte gminie, ale nie jest wyczerpującém w tém znaczeniu, aby te tylko sprawy wyliczone stanowiły własny zakres działania gminy (1).

Nieokreślony bliżéj zakres gminy wskazuje, że prawodawca chciał w niéj mieć instytucyą powszechną, do sprawowania wszystkich funkcyj publicznego życia, a ograniczył jéj działalność jedynie względami na możność wykonania o własnych siłach; w tak obszernéni pojęciu samorząd gminy galicyjskiéj obejmuje cały zarząd administracyjny miejscowy, wraz z policyą w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu, gospodarstwo finansowe gminy, sprawy kultury i wreszcie oświatę. Oprócz tego gmina w poruczonym zakresie bierze udział w administracyi państwowéj przy poborze rekrutów, zbieraniu podatków, w sprawach sądowych, a wreszcie w sprawach wewnętrznego zarządu i policyi państwowéj.

Jeżeli weźmiemy na uwagę ustawodawstwa różnych krajów, spostrzeżemy, że wszystkie przyznają gminie zarząd majątku oraz prawo posiadania i zarządu zakładów dobra publicznego, nawet powierzają gminom gospodarstwo gminne wraz z prawem opodatkowania się na cele ustawą dozwolone. Jakkolwiek istnieją ogromne różnice pod względem swobody postępowania, jaką ustawy zwykły przyznawać działaniu reprezentantów gminy, to przecież ta strona gospodarcza zadania gminy wszędzie jest jéj pozostawiona; natomiast główną różnicę w pojmowaniu obowiązków gminy, stanowi jéj udział w sprawach policyjnych. We Francyi jednak ustawa r. 1789 oddawała gminie sprawowanie policyi, kiedy wszystkie inne nie dają samodzielności gminie w tym względzie. W Belgii równie jak w Austryi policya należy do samorządu gminy, ale nigdzie może tak jak w Austryi nie jest powierzoną gminie w całéj rozciągłości. Samorząd nasz gminny obejmuje całą policyą miejscową w najobszerniejszém znaczeniu. Utrzymanie porządku i bezpieczeństwa należy do najpierwszych zadań gminy, a w téj mierze czuwania nad bezpieczeństwem osób i mienia, wykonywa policyą ogniową i budowniczą, policyą polową; a nadto obowiązaną jest wykonywać policyą zdrowia i obyczajności publicznéj. W zastosowaniu tego prawa gmina może wydawać rozporządzenia ogólne, wszystkich obowiązujące w obrębie jéj granic, i może wykraczających zagrozić i karać grzywną do wysokości 15 złr., lub aresztem do 5 dni (§. 32 ust. gm.)

---

(1) Dowody zebrałem w rozprawie: O zakresie działania gminy w „Przeglądzie sąd. i admin.“ z r. 1878. Nr. 16 i 17.

Nie samo jednak tylko zapobiegawcze działanie jest gminie dozwolone, gmina bowiem obok przestrzegania porządku, ma jeszcze prawo przedsiębrania środków celem wywarcia pożądanego wpływu na rozwój stosunków publicznych, i w tym względzie posiada również samodzielność, ograniczoną jedynie obowiązkiem odwołania się do władz wyższych, w razie gdyby należało wymagać od członków gminy znacznych ofiar pieniężnych do osiągnięcia zamierzonego celu.

Zakres działania gminy staje się jeszcze bardziéj znaczącym przez to, że gmina w Galicyi uzyskała wykonywanie policyi miejscowéj zupełnie niepodzielnie, cały zakres policyi jest powierzony wyłącznie gminie. Przy dualistycznym ustroju nie ma zaś władzy wyższéj, któraby skuteczny na gminę wpływ wywrzéć mogła; władze wyższe tak autonomiczne jak polityczne czyli państwowe, powołane są tylko do powstrzymania nadużyć, do powściągnięcia naruszenia, lub przekroczenia ustawy, ale wykonanie samo pozostaje wyłączną atrybucyą gminy. W skutek tego wykonanie policyi miejscowéj zależy od dobréj woli i zrozumienia interesu ze strony zwierzchności gminy i jéj reprezentantów. Wpływa tu jeszcze okoliczność, że nasze ustawodastwo administracyjne jest dopiéro w zawiązku, nie ma prawie ustaw, któreby regulowały stosunki i były wydane ze względu na dzisiejszą organizacyą; istnieją tylko dawne rozporządzenia władz politycznych, wydawane w miarę potrzeby, nieraz sprzeczne lub wątpliwe, albo do nowych stosunków życia i ustroju administracyjnego nie dające się wprost zastosować. Przepisy te, nigdzie urzędowo niezebrane, są tylko znane dobrze wyćwiczonym urzędnikom administracyjnym, gminy zaledwie w praktyce mogą nabywać potrzebnych wiadomości, a u zwierzchności gminnéj wybieranéj co trzy lata, zaledwie pod koniec urzędowania można przypuszczać pewną znajomość najważniejszych postanowień. Ponieważ jednak policya jest poruczona samorządowi, władze więc rządowe nie troszczą się wcale o wykonywanie przepisów, i w każdéj gminie dzieje się tak jak się komu podoba.

Nie lepiéj jednak bywa i wówczas kiedy istnieją ustawy, jak np. ustawa polowa, ponieważ tylko gmina ma władzę wykonawczą a nadzór władz wyższych nie jest w stanie dostatecznie zapobiedz niedbalstwu.

Powszechne też są narzekania, że w gminach naszych mianowicie wiejskich nie bywają wcale wykonywane przepisy policyi ogniowéj, budowniczéj, policyi zdrowia, obyczajności i tp. Wszelkie karne postanowienia przeciw pijaństwu, przeciw szkodom polnym, przeciw nieostrożności z ogniem, przeciw czystości i tp. nie wchodzą zupełnie w życie, gdyż jedynie kompetentne do działania władze poli-

cyjne są w ręku gmin, które wcale nie rozumieją doniosłości przepisów, a tém samém nie mają żadnéj chęci ścisłego stosowania się do zawartych w nich postanowień.

Podobnie jak z przepisami policyi, w znacznéj części ma się rzecz z drogami i szkołami. Drogi gminne spoczywają również na dobréj woli gmin, a te nie znają prawie korzyści ulepszonych komunikacyj, to téż usprawiedliwione są narzekania, że drogi gminne są zaniedbane, i że koniecznie potrzeba ująć obowiązek gmin w pewne stalsze formy, aby mniéj pozostawiać naprawę dróg dobréj ich woli, o któréj niestety wątpić należy. Pod względem szkół ludowych, ustawy szkolne przepisują daleko ściśléj określony obowiązek przyczyniania się do utrzymania szkół, a chociaż gminy nie mogą i tu wywierać wpływu takiego jaki ustawa im powierza, to przecież wyższe władze szkolne mają możność użycia środków zaradczych, co przyczynia się do szybszego rozwoju oświaty ludowéj w gminach galicyjskich.

O niedostateczném wykonywaniu policyi w gminach galicyjskich, przekonywa brak organów policyjnych. Okazuje się bowiem, że z pomiędzy gmin wiejskich tylko 13% jest takich, które utrzymują stałą służbę policyjną, a prócz tego mają polowych lub leśnych; dalszych 31.5% gmin posiada samę służbę policyjną, nie utrzymując polowych lub leśnych, 14.5% ma już tylko polowych, kiedy pozostałych 41% gmin nie posiada żadnéj stałéj służby policyjnéj. W obec obszernego zakresu spraw policyjnych powierzonych gminom, uderza również nizka kwota wydatków na ten cel łożonych, które w gminach wiejskich wynoszą wszystkiego około stotysięcy złotych reńskich. Już z tego zestawienia widać jak niedostatecznie gminy wiejskie mogą zadość czynić potrzebie wykonywania policyi miejscowéj. Policya na wsi ogranicza się do czuwania nad bezpieczeństwem osób i mienia; policyant bywa też najczęściéj zarazem pachołkiem, listonoszem, sługą gminy, łącząc w jednéj osobie obowiązki policyanta, woźnego i posługacza. Policyant podobny nie ma żadnego wyobrażenia o swoich obowiązkach, słucha bezwarunkowo tylko wójta, a ten ostatni sam pozbawiony inicyatywy najczęściéj nie jest dość wykształconym, aby był w stanie zrozumiéć potrzeby i interesa ogólniejszéj natury.

Do pewnego stopnia zapewne lepiéj dzieje się w gminach miejskich, które posiadają znacznie większy zasób sił intelektualnych. Przypatrując się wydatkom miast, przekonywamy się, że bezpieczeństwo publiczne pociąga dość znaczne wydatki, do których obok służby bezpieczeństwa zaliczyć wypada tak ważne wydatki na utrzymanie straży ogniowych. Razem wydatki te w miastach wynoszą

przeszło trzykroć sto tysięcy złotych reńskich, albo 8.7% ogółu wydatków miast. Obok nich istnieją jeszcze wydatki na administracyą, na utrzymanie porządku i zdrowia, które w znacznéj części są policyjnéj natury. Jednakże i w miastach naszych wykonywanie policyi pozostawia wiele do życzenia, w braku bowiem wyższego nadzoru, gminy mają zupełną swobodę w stosowaniu przepisów policyjnych i postępują ze zbytnią oszczędnością, która bardzo popłaca w gminie, ale najgorsze sprowadza skutki. Tylko w obu stolicach kraju, i w kilku może jeszcze większych miastach posiadających reprezentacye więcéj inteligentne, wykonanie przepisów policyi odpowiada potrzebie; zresztą zaś zaspakajane bywają tylko najprostsze postanowienia, a zaniedbywane wszystkie, wymagające głębszego zrozumienia interesów i potrzeb ogólnych; a można tu zastosować do całego kraju dosłownie to, co na innem miejscu powiedzieliśmy o gminach wiejskich, że „wykonywanie przepisów policyi miejscowéj bywa sporadyczne, nie przedstawia ciągłości i konsekwencyi, a szczególniéj nie dąży wcale do wykorzenienia tych wad i przyzwyczajeń, które przez niechlujstwo, zanieczyszczanie powietrza lub nieostrożność, wywierają najgorszy wpływ na zdrowie i bezpieczeństwo publiczne. W tym ostatnim względzie nie widać żadnego postępu w naszych gminach, a niedostateczne wykonywanie przepisów policyjnych bywa najczęstszym powodem do skarg na samorząd gminy.“ Mianowicie też w gminach wiejskich okazuje się, że zwierzchność gminna często nie ma odwagi ścigania przestępców i winnych, a w skutek tego toleruje wszelkie nadużycia. Natomiast w gminach miejskich, liczne smutne przykłady wskazują, że samorząd niejednokrotnie dostaje się w ręce kliki związanéj wspólnym interesem, która opanowuje cały zarząd miasta, aby go wyzyskać na swą korzyść; w takim zaś razie postępowanie władz gminnych będzie stronne, niekiedy za surowe, innym razem za pobłażliwe, ale w ogóle za mało sprężyste, gdyż działa ono nie ze względu na dobro publiczne, ale na interes prywatny.

Te nadużycia wprowadzają nas na tor, treściwego przeglądu działania gminy w drugim kierunku, stanowiącym podstawę jéj samodzielnego życia, kiedy gmina występuje jako gospodarz, jako zarządca majątku i spraw finansowych.

Przedewszystkiém należy ściśle wyróżnić zarząd majątku gminnego od gospodarstwa gminy. Zarząd majątku jest sprawą gminy prywatną, w któréj ona występuje jako właścicielka; kiedy w zarządzie skarbowym gmina działa ze stanowiska publicznego gospodarstwa. W zarządzie też majątku gminnego wysuwa się na pierwszy plan zachowania całości mienia i racyonalne zużytkowanie przedmiotu własności; kiedy w zarządzie skarbowym idzie najpierwéj o za-

spokojenie publicznych potrzeb, stosownie do środków i zasobów, do jakich ciężary mieszkańców stosowane być muszą.

Gminy galicyjskie chociaż przeważnie dopiéro od lat zaledwie 30, bo od czasu usamowolnienia włościan, prowadzą samodzielne życie, posiadają jednak znaczne majątki, gdyż w zamian za zniesione służebności przyznawano gminom własność pól, lasów, lub obligacyj indemnizacyjnych. Grunta posiadane przez 5.996 gmin w Galicyi (z pozostałych 238 gmin brak inwentarzy majątku gminnego) wynoszą z górą 589.000 morgów; prócz tego gminy posiadają 6.816.000 złr. w kapitałach i wierzytelnościach. Z pomiędzy gruntów stanowiących majątek gminny 61,5% zajmują pastwiska, 22,5% lasy, a wszystkiego 3,5% role i ogrody, kiedy nieużytki czynią przeszło 12% ogółu ziemi stanowiącéj majątek gminny. Widzimy ztąd, że w gminnéj własności przeważają niższe rodzaje uprawy pastwiska i lasy oraz nieużytki, kiedy role i łąki zajmują bardzo nieznaczne przestrzenie.

Sposób użytkowania z własności ziemskiéj również znamionuje pierwotny stan gospodarstwa. Pole, ogrody i łąki, niekiedy bywają wydzierżawiane, ale częściéj służą do uzupełnienia dotacyi wójtów, nauczycieli ludowych lub diaków. Pastwiska i lasy w największéj części gmin służą do bezpłatnego użytku członków gminy, albo téż są przez członków gminy użytkowane za opłatą, która ma służyć jedynie na uiszczenie należnych podatków rządowych (1). Okazuje się zatém, że ziemska własność gmin w Galicyi, chociaż znacznych rozmiarów, obraca się prawie wyłącznie na korzyść prywatną członków gminy, a prawie w niczém nie przysparza użytku publicznemu interesowi gminy. Własność ta przeważnie skupia się w niewielkiéj liczbie gmin, które posiadają większe przestrzenie, kiedy pozostała wielka liczba gmin posiada tak drobne parcele gruntów, że z nich nie może mieć nawet wielkiego pożytku. W takiém położeniu własność ziemska gmin w niczém nie przyczynia się do ich zamożności, a nawet dla ludności komunistycznie użytkującéj z własności, korzyść istotna jest bardzo mała. Dla tego téż wydaje się zupełnie uzasadnioném mniemanie, że gminy galicyjskie bez szkody mogłyby się pozbyć własności ziemskiéj, i że jeśli nie w całym kraju, to w przeważnéj jego części nadszedł już czas stosowny do rozdziału pastwisk gminnych pomiędzy uprawnionych do ich użytkowania członków gminy. Z pomiędzy własności ziemskiéj gmin należałoby jedynie pozostawić we wspólnéj własności tę część lasów gminnych, które

---

(1) Szczegóły bliższe dotyczące tego przedmiotu w pracy Dr. Ochenkowskiego „Ziemska własność gmin w Galicyi.“ Wiadomości Statystyczne Rocznik I. str. 37 do 46.

obejmują przestrzenie większe, zdolne do zaprowadzenia na nich racyonalnego gospodarstwa.

Taki sposób użytkowania własności ziemskiéj w gminach pochodzi głównie ztąd, że włościanie nasi nie umieją ocenić korzyści innego obrotu własnością ziemską, a przytém własność ta najczęściéj nie stanowi *majątku* gminnego, tylko jest *dobrem* gminy, to znaczy, nie należy do gminy jako takiéj, jako do osoby moralnéj, ale należy do pewnéj liczby uprawnionych członków gminy (*eine Realgemeinde im gegensatz zur Einwohnergemeinde*). Gmina w ostatnim razie zarządza jedynie własnością wspólną pewnéj liczby swych członków.

Zupełnie odmienny charakter mają kapitały gminne: te stanowią zawsze majątek gminy i są użytkowane na cele publiczne gminne. Majątek gmin w kapitałach wynosi 6.816.000 złr. dla 5.996 gmin, a więc niezawodnie około 7 milionów złr. w całéj Galicyi. Kwota powyższa licząc po 5 od sta przynosi rocznie około 350.000 złr. dochodu, obracanego przeważnie na pokrycie bieżących potrzeb gmin. Według ustawy, dochodu z majątku gminnego, w pierwszym rzędzie służy na pokrycie wydatków gminnych (§. 72), a dopiéro jeśli nie wystarcza mogą być nakładane prestacye, pod któremi ustawa rozumié tak dodatki do podatków rządowych, jak inne opłaty oraz posługi i roboty na potrzeby gminy (§. 77). Przepis ten ustawy zamierza powstrzymać kapitalizowanie majątku gminnego, kosztem nakładania ciężarów publicznych na potrzeby bieżące. To téż spotykamy 505 z pomiędzy gmin wiejskich czyli 8,5% gmin takich, którym dochód z majątku wystarcza na opędzenie wydatków, a prócz tego jest jeszcze 120 gmin miejskich, które nie pobierają wcale podatków stałych na potrzeby gminne.

Część znaczna kapitałów gminnych jest obrócona na założenie kas pożyczkowych, które ciągle powstają, a liczba ich po koniec Lipca r. 1878 wynosiła 1.617 kas z kapitałem 1.317.220 złr. Kasy te służą do udzielania pożyczek członkom gminy i mogłyby oddać znakomite usługi dla kredytu włościańskiego, gdyby były dobrze administrowane. Niestety jednak, brakuje na wsiach, gdzie takie kasy wyłącznie powstają, dostatecznych sił intelektualnych do prowadzenia dokładnego rachunków kasowych. Piéniądz zwykle doznaje bardzo powolnego obrotu, a przez to korzyści z kas są o wiele mniejsze, jakby się po nich spodziewać można. Piéniądze najczęściéj rozpożyczają się raz na rok, a po roku zwykle następuje przedłużenie pożyczki, tak iż piéniądze raz rozdane z trudnością do kasy wracają i trzeba ścisłéj z zewnątrz kontroli, aby nie przepadły, gdy najczęściéj pożyczka służy dla krewnych i przyjaciół zwierzchności gminnéj. Zła administracya kas pożyczkowych jest powodem coraz szersze

koła obejmującéj opinii przeciwnéj powstawaniu kas, jako przynoszących mało korzyści, a nawet nie dających rękojmi bezpieczeństwa kapitałom gminnym.

Zarząd majątku gminnego stanowi tylko jednę gałąź pospodarstwa gminnego, które właściwie obejmuje zarząd skarbowy dochodów i wydatków kasy gminnéj (1). W gospodarstwie gminném naszém znaczną rolę odgrywa pierwotny sposób naturalnego gospodarstwa; pewna część funkcyj publicznych spełnia się za darmo lub wynagradza się w naturze użytkowaniem z gruntu, uwolnieniem od prestacyj i ciężarów; albo wreszcie bywa nadgradzaną przejęciem obowiązków i ciężarów przywiązanych do osoby, lub do gruntu należącego do osoby mającéj być obdarowaną, np. opłata podatków rządowych. Niektóre obowiązki gminne bywają wykonane przez prestacyą w naturze, czyli przez żądanie posług osobistych jak np. stróża nocna, naprawa dróg i t. p. Takie osobiste prestacye zdarzają się bardzo często, a ustawa sama sprzyja im, skoro nie ogranicza prawa nakładania prestacyj (§. 82), jak to czyni z prawem nakładania podatków (§. 80). Podczas rozpraw nad tym przedmiotem stawiano wniosek ograniczenia wysokości prestacyj w naturze, ale go izba odrzuciła, stosując się do istniejących zwyczajów (2).

Prestacye opierają się na powszechnym obowiązku służby publicznéj i na jednakiéj korzyści, jaką wszyscy czerpią z instytucyj publicznych. Obowiązek spada na tych, co są zdolni do jego wykonania, a więc opiéra się głównie na sile roboczéj, niedostatecznie uwzględniając siłę majątkową (np. przy obowiązku dostarczania podwód) w gminie, w któréj faktycznie istnieje równość majątkowa, prestacye w naturze będą słuszne, przy większych różnicach majątkowych wypadnie stosować się do stanu zamożności i prestacya z osobistéj przemienia się na majątkową, aby następnie przy większym rozwoju ekonomicznym zamienić się na podatek. W Galicyi, gdzie wydzielenie z gminy obszarów dworskich sprowadza wewnątrz gminy wiejskiéj pewną jednostajność majątkową, prestacye w naturze nie są sprzeczne ze stanem ekonomicznym ludności. Brak zamiłowania do pracy, a mianowicie mało wyrobiony zmysł oszczędności sprawia, że dla włościanina naszego prestacya będzie zawsze mniéj uciążliwą od podatku, ponieważ włościanin nasz rozporządza dość znaczną ilością czasu, który bezużytecznie strwoniony w niczém nie

---

(1) Stein. Die vollziehende Gewalt II. 328, trafnie orzeka, iż wolny zarząd gospodarczy rozpoczyna się w gminie dopiéro od prawa opodatkowania się, a nie od zarządu majątkiem gminy.

(2) Sprawozdanie stenograficzne sejmowe r. 1864—1866 str. 1169 do 1171.

przyczyni się do bogactwa kraju, a użyty na cele publiczne mianowicie miejscowe jak budowa komunikacyi, przysporzyć winien sił i zasobów do dalszego rozwoju. Tymczasem włościanie nasi w ogóle nie sympatyzują z prestacyą osobistą i często domagają się zastąpienia jéj podatkami. Przyczyny tego zjawiska szukać należy nie w braku zmysłu rachunkowego u włościan, ale leży ona głębiéj w stosunkach naszych, i tak samo jak jest powodem wstrętu włościan do prestacyi, podobnie zachęca ich do przenoszenia ciężarów z gminy na kraj. Przyczyną tą jest rozdział gmin od obszarów dworskich, który sprawia, że każdy ciężar osobisty dotyka najbiedniejszego członka gminy, a nie dotyka najbogatszego sąsiada z obszaru noszącego tytuł właściciela większéj posiadłości i z tego właśnie tytułu zwolnionego od prestacyi i od wszelkich ciężarów gminnych.

Ważniejsze od prestacyj w naturze stanowisko zajmują prestacye piénięźne, będące główną podstawą działalności gminy, ani bowiem dochód z majątku, ani prestacye w naturze nie są w stanie zaspokoić potrzeb życia miejscowego, i prestacya piénięźna stanowi zawsze główne źródło dochodów gminnych. Na 5.933 gmin wiejskich w Galicyi tylko 505, albo 8,5% obchodzi się bez prestacyi piéniężnéj, wszystkie zaś inne pobierają podatki i opłaty na cele publiczne. W miastach zaś prawie wszystkie bez wyjątku gminy pobierają prestacye piéniężne.

Prestacya piéniężna bywa dwojaka: może to być podatek, albo opłata. Podatek może być znowu albo samodzielnym podatkiem gminnym, albo dodatkiem do podatków rządowych. Wreszcie podatek może być albo bezpośrednim, któryby słuszniéj nazwać było dochodowym, albo téż podatkiem konsumcyjnym. W przeważnéj większości gmin galicyjskich pobiérane bywają dodatki do podatków i to głównie dodatki do podatków bezpośrednich, a rzadko kiedy dodatki do podatków konsumcyjnych. Dodatki do podatków bezpośrednich pobiéra przeszło $^3/_4$ gmin wiejskich (przeszło 4.500 gmin) i więcéj jak połowa gmin miejskich (około 160 gmin miejskich). Dodatki do podatków mogą być nakładane przez same gminy tylko do wysokości 20%, po nad tę kwotę do 50% uchwała rady gminnéj potrzebuje zatwierdzenia wydziału powiatowego, a po nad 50% uchwały sejmowéj i zezwolenia cesarskiego (§. 80 ust. gm.). Dodatki do podatków konsumcyjnych podlegają tym samym zasadom, ale rzadko zdarzają się na wsiach. W miastach natomiast podatki konsumcyjne stanowią ważne bardzo źródło dochodu, gdyż przynoszą około szóstéj części ogólnych dochodów miast, kiedy dodatki do podatków bezpośrednich czynią mało co po nad 3% tychże dochodów.

Co się tyczy samodzielnych podatków gminnych, to *w 3 miastach* Lwowie, Krakowie i Białéj istnieje podatek czynszowy od powierzchni (przynosi razem do 70.000 złr.) a w dwóch pierwszych miastach podatek zbytkowy od psów oraz akcyza miejska na różne przedmioty pożywienia i opału. Wziąwszy na uwagę same gminy wiejskie, spotykamy tam podatki rozłożone w różny sposób i nałożone na rozliczne przedmioty, a szczególniéj często znajdujemy podatki od morgów, od domów, od pól, od ról i t. p. a nawet od dawnych dni pańszczyźnianych itp., co wskazuje na potrzebę samodzielnych podatków gminnych. Podatki te w gminach wiejskich nie są jednak prawidłowo nakładane, gdyż gminy zwykły je nakładać, nie trzymając się postanowień ustawy, lub nawet wprost z celem obejścia ustawy. Kiedy bowiem ustawa w §. 81 dozwala na zaprowadzenie podatków i opłat samodzielnych, jedynie na mocy ustawy przez sejm krajowy uchwalonéj, te wszystkie podatki czy opłaty istnieją jedynie na mocy uchwał Rad gminnych, które o ustawę się nie troszczą. Jednolity skład społeczeństwa w gminach wiejskich sprawia, że przeciw tym nielegalnym uchwałom nie bywa żadnych protestów, a tak prawie w siódméj części ogółu gmin kraju, pobierane bywają prawem niedozwolone podatki. Kwoty tych podatków nie dadzą się ściśle obliczyć, jednakże będą znaczne, skoro sprawdzony z nich dochód w 16 powiatach dochodzi do 30.000 złr.

Obok tych nielegalnych podatków, bywają bardzo częste wypadki nielegalnego poboru dodatków do podatków rządowych. Według ustawy, Rada gminna powinna uchwalić budżet na miesiąc przed rozpoczęciem roku (§. 70), tymczasem na wsiach dzieje się zwykle inaczéj. Budżet uchwala się pozorny, aby zadość uczynić literze prawa, zwierzchność gminna jednak nie stosuje się do uchwalonego budżetu; tylko wydatkuje dochody gminy na wydatki w miarę jak się wydarzają, a w razie niedostatku zwołuje Radę gminną i ta uchwala dodatki do podatków, lub inne opłaty na zaspokojenie pewnéj bieżącéj potrzeby, i za każdą razą gdy jakakolwiek potrzeba dopomina się zaspokojenia. W ten sposób o postanowienia i przepisy ustawy nikt nie dba i gmina wiejska rządzi się sama swojém zwyczajowém prawem, rozkłada ciężary w znacznéj części wedle swego widzimi się. Podobne postępowanie jest bezprawném i często staje się źródłem nadużycia, gdyż zwierzchność gminna nieraz wybiera podatki w większéj ilości niż zostały uchwalone, lub część podatków obraca na swoje cele. Jednakże nielegalne postępowanie nie zawsze pokrywa nadużycia, przeciwnie, są wypadki gdzie zwierzchność postępuje z nadzwyczajną sumiennością, a nietrzymanie się ustawy pochodzi nie ze złéj woli, tylko z przekonania o samodzielności gminy wło-

ściańskiéj. Chłop nasz pojął samorząd w ten sposób, że dopóki on cesarskie podatki płaci i rekruta odstawia, czyli dopóki spełnia obowiązki względem państwa, nikt nie ma prawa mięszać się do jego spraw. Wyłączna atmosfera chłopska, jaka panuje w naszych gminach, przyucza włościan uważać gminę za swoję stanową instytucyą, a pogląd ten nie jest tak zupełnie niesłuszny w obec całego szeregu ustaw, które dają odrębne stanowisko obszarom dworskim czyli większéj własności, a w prawie wyborczém dzielą społeczeństwo na gminy wiejskie, miasta i większą własność. Samorząd gminny jest więc dla chłopa usamowolnieniem od pana i polega na tém, że on o swoich sprawach sam decyduje. W sprawach wymagających kosztów, chłop albo kosztów nie ponosi i sprawę zaniedbuje, albo pragnie pociągnąć do kosztów właściciela obszarów, w ten sposób, że stara się zrzucić obowiązek ponoszenia kosztów z gminy na kraj (jak w kosztach leczenia ubogich), lub rozłożyć te koszta na gminę i obszar w stosunku opłacanych podatków (np. ciężar budowy i utrzymania dróg).

Lepiéj znacznie uregulowane są stosunki w gminach miejskich. I tu wprawdzie spotkać się można z nielegalnym podatkiem, ale przecież daleko rzadziéj, a gospodarstwo już prowadzi się zwykle na podstawie budżetu. Nie chroni to miasta równie od nadużyć, i niestety zbyt częste bywają przykłady, że kilku związanych z sobą sojuszników opanowuje zarząd cały miasta, robi interesa kosztem publicznym; i przez lat wiele uchodzi kary, zanim przypadek nie wykaże potrzeby kontroli i nie wykryje matactw i oszustw, popełnianych przez zwierzchność i rady miasta. W ostatnich czasach tak wiele było smutnych pod tym względem przykładów, że nadużycie zaufania i grosza publicznego w zarządach gmin naszych w ogóle, a miast w szczególności, musimy uważać za klęskę powszechną, która przybrała groźne rozmiary.

Biorąc na uwagę ogólne cyfry dochodów miejskich, okazuje się, że w ogóle dochodu 3.655.693 złr. przypada na dochód z majątku 538.551, z propinacyi i opłat od napojów 1.253.096, z podatków konsumcyjnych 576.035 złr., z podatków bezpośrednich 120.233, z opłat gminnych 427.538, ze sprzedaży majątku lub z pożyczki 397.353, i z innych źródeł 342.887 złr. Wydatki zaś miast w tym samym czasie tak się rozkładają: na zarząd majątku 360.063, na koszta administracyjne 994.650, na koszta utrzymania bezpieczeństwa 306.559, na koszta utrzymania porządku i komunikacyi 822.864, wydatki na zdrowie i ubogich 190.965, wydatki szkolne i parafialne 464.281, nabytki majątkowe 115.331, długi 162.781, różne 120.803. Ogół wydatków 3.538.287 jest więc o 117.406 złr. niższy od dochodów,—z ogółu wy-

datków przypada więcéj niż trzecia część na płace i ósma część na wydatki nadzwyczajne.

Wielekrotnie wspominaliśmy o tém, że większa własność, wyłączona ze związku gminnego, stanowi odrębną całość i tworzy oddzielną jednostkę administracyjną pod nazwą obszaru dworskiego. Obszarów mamy 5.900, a ponieważ niekiedy kilka obszarów ma jednego przełożonego, więc liczba obszarów jako jednostek administracyjnych jest o połowę mniejsza i wynosi 2.829, o ile rozumié się rzecz zbadaną została, gdyż naprawdę nie ma w Galicyi nikogo, ktoby znał istotną liczbę obszarów. Same władze nadają prawa obszaru tam, gdzie według ścisłéj interpretacyi nie powinnyby dopuścić utworzenia jednostki administracyjnéj, np. przy podziale własności. Czémże jest obszar dworski? Ustawa o obszarach powiada: „Posiadłość ziemska niegdyś dominikalna obecnie do związku gminnego nie należąca... stanowi obszar dworski.“

Profesor Pilat daje zaś taki komentarz téj definicyi: za obszar dworski należy uważać taką posiadłość ziemską, która po 1-e była niegdyś dominikalną, po 2-ie w chwili wejścia w życie ustawy o obszarach, a więc w dniu 16 Listopada 1866 r. była wyłączoną ze związku gminnego i nie została późniéj wcieloną do gminy; po 3-cie w rzeczonym terminie istniała już jako odrębna posiadłość ziemska. Dość przeczytać tę definicyą i jéj komentarz, aby poznać, że mamy do czynienia z jakąś niejasną, nieokreśloną a przeżytą kreacyą. Widoczna, że obszar dworski jest utworem historycznym i jako taki pozostałością dawnéj epoki. Rzeczywiście, pominąwszy definicyą prawną, obszar dworski przedstawi nam się jako dawne dominium, piastujące władzę publiczną w obrębie swéj własności, ale pozbawione wpływu na posiadłości włościańskie i włościan, z władzą ograniczoną do wykonywania funkcyj policyjnych, na swojém własném terytoryum. Kiedy dawniéj dziedzic był właścicielem gruntów włościańskich i wykonywał nad włościanami władzę publiczną w połączeniu z władzą prywatną pana względem poddanych, dziś jego dawni włościanie zajmują samodzielne stanowisko w gminie, on zaś pozostał samodzielnym na swéj własności i spełnia w jéj obrębie podobne funkcye jak wójt w obrębie gminy. Niemała jednak zachodzi różnica pomiędzy obu stanowiskami. Wójt ma władzę z wyboru współobywateli, sprawuje ją pod kontrolą swoich wyborców; kiedy pan wioski jest sam przez się piastunem władzy, przywiązanéj do własności, a nie do osoby. Władza ta nie znosi żadnéj kontroli, ale téż jest bardzo ograniczoną.

Gmina wykonywa wiele rzeczy samodzielnie, których obszar wykonywać nie może; kiedy gmina ma prawo opodatkowania się,

obszar ma tylko obowiązek ponoszenia ciężarów publicznych, nie może zaś mieszkańców swoich obciążyć podatkiem lub prestacyą (§. 16). Obszar przedstawia jednak znakomity przywiléj dla właścicieli. Kiedy bowiem członkowie gminy są obowiązani do ponoszenia wszystkich ciężarów publicznych, obszary dworskie tylko w rzadkich wypadkach są pociągane do nich; dla obszaru dworskiego nawet specyalne ustawy tworzą wyjątki, jakieby nigdy nikomu przez myśl nie przeszły, gdyby uprzywilejowane stanowisko nie wprowadzało w błąd nawet zkąd inąd jasne głowy i szczere serca. Obszar dworski jest przez ustawę drogową uwolniony od prestacyi drogowéj, w zamian za obowiązek dostarczania materyału drzewnego na mosty, który to obowiązek przeważnie nie dorównywa wcale ciężarowi spoczywającemu na gminach. Obszar dworski do kosztów utrzymania szkół elementarnych przyczynia się tylko trzecią częścią tego ciężaru, jaki ponoszą gminy; a spotkać można nawet ludzi skądinąd postępowych, którzy bronią tego nierównego ciężaru, zapominając, że sam pomysł takiego przywileju byłby niemożliwym, gdyby nie wyłączenie z gminy obszaru dworskiego.

Funkcye publiczne, jakie spełnia właściciel obszaru dworskiego, najwięcéj są zbliżone i najlepiéj dadzą się przyrównać do stanowiska jakie w miastach w obec władz zachowuje właściciel kamienicy. Taki właściciel domu w mieście ma pewną władzę nad lokatorami, utrzymuje porządek wewnątrz zabudowania i może zmusić każdego do poddania się regulaminowi, o ile ten nie sprzeciwia się przepisom obowiązującym. Właściciel domu ma także obowiązki publiczne utrzymywania w porządku i skrapiania trotoaru lub ulicy, oświetlania schodów i sieni, utrzymywania wewnątrz czystości, porządku i bezpieczeństwa, chociaż nie ma ani prawa karania, ani opodatkowania swych lokatorów, chyba ma prywatne tytuły prawne do pociągnięcia ich do opłat lub prestacyj. Właściciel domu nieraz jest obowiązany być pomocnym władzy w czynnościach policyjnych, w ściąganiu należytości skarbowych: i pod wszystkiemi temi względami ma najzupełniejsze podobieństwo z właścicielem obszaru dworskiego. Ta ilość władzy publicznéj, jaką mają obaj jako właściciele, nie czyni z nich jednak samodzielnych organów publicznego życia, i samorząd cały byłby sprowadzony do zera, gdyby polegał na tych funkcyach, jakie posiada każdy w obrębie swéj własności. To téż jak funkcye publiczne właściciela kamienicy nie są żadną podstawą samodzielności publicznéj, podobnie wyłączne stanowisko obszaru dworskiego wcale nie wzmacnia samorządu; natomiast nadanie właścicielom obszarów stanowiska odrębnego zewnątrz gminy jest tak szkodliwe jakby było przyznanie w obec gmin miejskich samodziel-

ności każdemu właścicielowi kamienicy. To téż odrębność obszarów osłabia i podkopuje samorząd, gdyż pozbawia gminy sił intelektualnych i materyalnych większéj własności, wprowadza rozdwojenie w stosunki publiczne i odosabnia, a przez to oziębia poczucie wspólności interesów. Samorząd opiérać się może na harmonii społecznéj, do niéj winien dążyć i ją osiągnąć za pomocą sprawiedliwego i siłom ludności odpowiedniego rozkładu obowiązków, praw i ciężarów publicznych. Kiedy więc spotykamy z jednéj strony obowiązki, przechodzące miarę sił intelektualnych i zasobów gminy, z drugiéj prawa nieoparte na obowiązkach, kiedy widzimy nierównomierny do środków i potrzeby rozkład ciężarów; wówczas z góry przewidziéć możemy, że w społeczeństwie takiém nie może rozwijać się jednolity pogląd na potrzeby ogólne, i zamiast pożądanéj harmonii musi panować zarzewie niesnasek. Samorząd może być, prawda, tylko wśród zdrowéj organizacyi społecznéj i w silném ciele, w przeciwnym razie pozostaje martwą literą, a społeczeństwo zamiast błogich skutków autonomicznych rządów, uskarża się na niedbalstwo, na brak wykonania, traci zaufanie we własne siły, wpada w apatyą i w końcu gotowe spędzić całą winę na samorząd, bez obawy przypuszczając jego utratę.

V.

Smutny obraz stosunków gminnych, jaki w krótkości staraliśmy się zestawić w powyższym treściwym zarysie, zupełnie naturalnie wywołuje powszechne niezadowolnienie i naprawa stosunków gminnych od dość dawnego czasu jest hasłem ogólném ludzi wykształconych. Wyjątkowo tylko pomiędzy inteligencyą spotkać się można z obroną dzisiejszego rzeczy porządku, a zdanie, że stan obecny odpowiada potrzebie i reforma wylęga się jedynie w głowie niebezpiecznych nowatorów, należy do rzadkich wyjątków. Mimo tego reforma nie jest wcale bliską, gdyż musiałaby ona sięgnąć głęboko w stosunki społeczne, i z tego powodu ogólnemu narzekaniu na niedostatki obecne towarzyszy brak decyzyi co do środków zaradzenia złemu, i kiedy idzie o dodatnie wnioski, zawsze spotyka się z różnemi wątpliwościami i obawami.

Szczególniéj często podnoszą niechęć włościan do wszelkiéj zmiany obecnego stanu; jakby niezrozumienie korzyści reformy mogło być uważane za argument przeciw jéj potrzebie. Ważniejszy daleko wzgląd stanowią: wynikające z dzisiejszego stanu jednolitość gmin i brak wszelkiego antagonizmu klas wewnątrz gmin. Istotnie

gminy nasze wiejskie składają się z ludzi jeśli nie zrównanych pod względem majątkowym, to przynajmniéj zrównanych pod względem wykształcenia, życia towarzyskiego, potrzeb wzajemnych; a to zapewnia wewnątrz gminy spokój i zadowolenie. To téż zaniedbania o których mówiliśmy wywołują skargi nie w gminach a zewnątrz nich, a w ich łonie panuje zupełna zgoda, nie widać żadnych pragnień, prócz jednego, aby pozostawić wszystko in statu quo, aby nikt nie mięszał się do wewnętrznych spraw chłopskich. Włościanie stanowiący gminy są zadowoleni, że swoje sprawy bez niczyjéj mogą załatwiać interwencyi. Włościanin nasz dopiéro przed trzydziestoma laty usamowolniony, wraz z wolnością osobistą uzyskał własność ziemi i organizacyą gminną. Gromada w zamian za służebności uzyskała majątek, składający się zwykle z pastwiska lub kawałka lasu; i w umyśle nieoświeconym a do tego nieraz bałamuconym, prawo rozrządzania majątkiem gminnym, odrębność chłopskiéj gminy i jéj wyłączny charakter, łączone są z samą wolnością. Włościaninowi naszemu wydaje się, że zamiar połączenia gmin z obszarami dworskiemi nietylko ma służyć do zaprowadzenia lepszego porządku, ale nie bez obawy myśli on o tém, że odrębna własność gminy czyli gromady mogłaby znowu wyjść z jego zawiadywania, a może nawet mógłby utracić wyłączną własność na rzecz nowéj gminy. Kiedy dziś chłop stoi swobodny i niezależnie od byłego dziedzica, zdaje mu się, że ze zmianą położenia mogłaby wrócić przewaga panów, a z nią dawna zależność, kto wié może po pewnym czasie znowu utrata osobistéj własności i niewola. Byłoby rzeczą zbyteczną dowodzić bezpodstawności obaw tu wyrażonych, należy jednak brać je w rachubę, gdyż zakorzenione w masach stanowią jeden z ważnych czynników opinii publicznéj w kraju.

Z drugiéj strony zachwalone korzyści dzisiejszéj organizacyi okazują się raczéj pozorami, jeżeli im przypatrzymy się zbliska. Jednolitość gmin w teraźniejszym ich składzie oznacza wyłączne panowanie ciemnoty, ponieważ jest połączoną z wykluczeniem z gminy jedynego prawie na wsiach żywiołu wykształconego, to jest właścicieli większych posiadłości. Jeżeli zaś wewnątrz gmin panuje zgoda społeczna, to niemniéj antagonizm różnych klas nie zostaje przez to zupełnie usunięty. Przeciwnie, odosobnienie większéj własności osłabia wpływ korzystny, jakiby ona mogła wywiérać w gminie, gdyby powołaną była do wspólnego załatwiania różnych czynności publicznego życia; umysł chłopa przyzwyczaja się widzieć we dworze stan uprzywilejowany, a stąd z łatwością daje się uwodzić uczuciom zazdrości i zawiści. Spokój wprawdzie nie bywa zakłócony, ale częste objawy nieuzasadnionych obaw, uleganie fałszywym agitacyom,

wiara dawana w pogłoski najbardziéj niewiarogodne, wszystko to wskazuje, że wprawdzie interesa społeczne mianowicie na wsiach nie muszą dotychczas wywoływać znacznych sprzeczności, ale organizacya kraju, polegająca na odosobnieniu i podziale, zamiast jednoczyć i do harmonii doprowadzać różnorodne żywioły, wyradza pomiędzy niemi niedowierzanie i cichy antagonizm, którego skutki szkodliwie mogą się odbić w przyszłości.

Rozdział gmin i obszarów zobojętnia wzajemnie na potrzeby i interesa, nie pozwala widziéć wspólności zadań i celów, a więc rodzi egoizm, najgorszego doradzę w publiczném życiu. Niezawodnie nie należy zapoznawać tego co u nas uczyniono celem zaspokojenia potrzeb ludu, i wysoko cenić wypada inicyatywę sejmu galicyjskiego w sprawie ustaw przeciw lichwie i pijaństwu, które stanowią słusznie sławę Galicyi w całéj monarchii austro-węgierskiéj, a nawet po za jéj granicami. Znaczny postęp w oświacie ludu przypisać także należy gorliwości i powszechnemu zajęciu się tą ważną sprawą. W ostatnich czasach wzięto się do badania potrzeb kredytu ludowego i potrzeb szkół fachowych, mających podnieść przemysł domowy a powstające licznie towarzystwa zaliczkowe, szkoły koszykarstwa, garncarstwa i inne świadczą o skutecznéj działalności w tym kierunku. Nie można więc twierdzić, aby egoizm był jedyném hasłem naszego społeczeństwa, aby o interesach ludu zupełnie nie pamiętano; ale nie wolno jednak zapominać, że rozdział w gminie nie pozostaje bez wpływu na znajomość celów i środków pracy dla ogólnego dobrobytu. Niejednokrotnie okazywało się, że w sprawach ważnych nie umiemy wywrzéć na lud dostatecznego wpływu, gdyż pozbawieni jesteśmy ciągłéj styczności z ludem, brakuje nam umiejętności wzięcia się do ludu. W kraju posiadającym nieograniczoną niemal wolność słowa i stowarzyszania się polska literatura ludowa prawie nie istnieje, nie jest zdolną lud zainteresować, a zupełnie braknie stowarzyszeń, któreby obejmowały rzeczywiście warstwy ludowe i wpływały na rozwój ludu moralny, lub na postępy jego w rolnictwie, rzemiosłach i w zaspakajaniu potrzeb codziennego życia. Ale nawet samo poczucie wspólności powoli zacierać się zdaje. Klasy społeczne stoją naprzeciw siebie, w sprzeczności z sobą, pilnują jedynie własnych interesów, bez umiejętności wzniesienia się na wyższe stanowisko powszechnego dobra. Temu to przypisać należy powstawanie ustaw, opartych wyłącznie na interesie klas zamożnych, tak zwanéj większéj własności. Już wyżéj wskazaliśmy na ten zgubny kierunek ustawodastwa, jaki objawił się w ustawach szkolnéj i drogowéj, a który także powołał do życia ustawę propinacyjną.

Prąd ten wszelako daleko silniéj występuje w sposób negatywny, nie dopuszczając reform, jako przeciwnych interesom większéj własności, dziś wolnéj od ponoszenia ciężarów publicznych w gminie. Nierzadko po za odrębność obszaru dworskiego kryje się egoizm, aby na każdym kroku wskazywać potrzeby publiczne miejscowego życia jako wcale obojętne dla właścicieli obszarów i za takie o które troszczyć się nie mają oni ani obowiązku, ani dobréj racyi.

Wyradza się stąd pewna obojętność dla spraw publicznych, pewna niechęć dla instytucyj miejscowego życia, połączona z utratą idei samorządu gminnego. W takich warunkach centralizowanie poczytywane jest za jedyny ratunek przeciw zupełnemu rozprzężeniu; a nieoświecone warstwy widzą w niém również środek pociągnięcia ludzi zamożnych do kosztów, gdyż przenosząc obowiązek z gminy na kraj poddaje się go podatkowi równo dosięgającemu wszystkich kraju mieszkańców.

Znany powszechnie prąd ogólny naszego wieku atomizowania społeczeństwa pozwala jednostce wziąć górę, i w skutek tego jednostka rozwinęła się samodzielnie w sposób nigdy przedtém niepraktykowany. Jednostka, a wraz z nią pogląd egoistyczny wszędzie nadaje kierunek nowożytnéj organizacyi. Upadają więc wszelkie instytucye, oparte na harmonii społecznych związków, a przeciw rozbiciu społeczeństwo szuka ratunku, skupiając się w państwie, nadając państwu silną władzę, centralizując wszelkie funkcye publiczne w silnéj organizacyi państwowego bytu. Parlamentaryzm nowoczesny podtrzymuje ten kierunek, albowiem we wszechwładzy swojéj, chcąc podporządkować wszystkie sprawy swéj woli, poddaje wszystkie instytucye pod bezpośredni zarząd jemu tylko odpowiedzialnego rządu. Na téj saméj zasadzie sejm galicyjski radby zcentralizować samorząd w organach kraju i nieraz w sejmie dają się słyszeć głosy: że nie ma dwóch rodzajów samorządu, wszystko więc jedno czy w obrębie kraju pewna funkcya publiczna polegać będzie na gminie, lub téż będzie powierzoną powiatowi, albo krajowi. Twierdzenie to tém więcéj staje się popularném, im bardziéj doświadczenie dowodzi jak dalece niedostateczną jest obecna organizacya gminna do wykonania powierzonych jéj obowiązków. Poddanie gminy najściślejszéj kontroli, wywieranie na nią w każdéj rzeczy przymusu, używanie środków zaradczych przeciw niedołęztwu funkcyonaryuszów gminnych, lub przeciw złéj woli zwierzchności i sług gminy, tłómaczy się smutnym stanem bezrządu, który odejmuje zaufanie w możność samę prawidłowego postępowania w obrębie gminy. O ile jednak stan dzisiejszy usprawiedliwiać może tendencyą do centralizacyi samorządu krajowego, o tyle należy jasno ocenić ten prąd

opinii. Samorząd polega na bezpośredniém wykonywaniu zarządu przez samych obywateli; władza więc wykonawcza musi wyjść z grona interesowanych i musi być zbliżoną do miejsca, tak aby bezpośrednio działać mogła. Wówczas samorząd staje się szkołą życia publicznego, jak tego wymagają po nim znakomici pisarze Gneist, Lieber, Mill, Odillon Barrot Supiński lub Rembowski. Ale téż tylko wtedy może on spełnić to szczytne zadanie, jeżeli istotnie przyucza ludność do zajmowania się publicznemi sprawami, jeżeli ją bezpośrednio powołuje do działania. Samorząd oparty na organizacyi władzy chociażby pochodzącéj z wyboru, ale nauczonéj tylko wydawać rozkazy na piśmie, przybiéra wszystkie wady centralizmu, a jest pozbawiony zalet téj formy rządu. Takie bowiem ześrodkowanie władzy odzwyczaja ludność od samodzielnego postępowania, oducza ją od samoistnego myślenia i każe jéj spuszczać się we wszystkiém na władzę u góry postawioną. Władza ta jednak zwykle pochodząc z wyborów społeczeństwa, nieumiejącego samemu rządzić się, nie umié także znaléść w sobie energii i sprężystości, lecz popada w bezwładność biurokratycznych instytucyj.

Dążność do centralizowania władz samorządu w organach krajowych jest naturalném następstwem z jednéj strony bezradności i bezwładności naszych gmin i powiatów, a z drugiéj—niechęci łączenia się gmin i obszarów do wspólnéj pracy w życiu miejscowém. Przez taką centralizacyą mogłoby zwolna zginąć znaczenie gmin i powiatów, stawałyby się one instytucyami podrzędnemi, podporządkowanemi rozporządzeniom i rozkazom władz krajowych. Z niechęcią wówczas poświęcaliby się służbie autonomicznéj ludzie niezawiśli, i autonomia miejscowa schodziłaby w ręce osób zajmujących drugorzędne stanowiska społeczne, którym zawisłość nie byłaby przeszkodą do urzędowania, albowiem widzieliby w niém już tylko osobiste korzyści. Szlachetna ambicya służby publicznéj coraz téż mniéj ożywiałaby podobne władze, a nie znalazłyby one w sobie, ani w ludności dostatecznéj podniety do obrony praw powierzonych im instytucyj, gdyby powstał nowy zamiar ścieśnienia dalszego ich atrybucyi.

Nie możemy téż uważać za usprawiedliwioną tendencyą do centralizowania samorządu we władzy krajowéj, dla tego tylko, że jest to władza, która nie grozi nigdy zajęciem stanowiska nieprzyjaznego dla rozwoju interesów narodowych, a usiłowanie odjęcia samodzielności miejscowym instytucyom na rzecz samorządu krajowego mniemamy być niemal równie szkodliwém dla idei samorządu, jak są niemi wszelkie zamachy ścieśniające rozwój miejscowego życia.

Niezaprzeczenie jednak okazuje się, że stan obecny organizacyi gminnéj nie zadawalnia i nie odpowiada potrzebom cywilizowanego społeczeństwa gminy nasze małe i bezsilne nie mają żywotności; i potrzeb skupienia sił, dla stworzenia żywotnéj podwaliny organizacyi samorządnéj. Pomysł skupienia organicznego samorządu u dołu, jako punkt wyjścia do usunięcia wadliwości obecnego położenia, teoretycznie uznany, a idee reformy mają przeważnie dwojaki kierunek. Piérwszy dąży do utworzenia gminy zbiorowéj, drugi—do wzmocnienia powiatu przez rozwój obecnych instytucyj samorządu powiatowego. Oba kierunki w tém są zbliżone do siebie, że jednako uznają potrzebę stworzenia silniejszego organizmu i usiłują oprzéć samorząd na jednostkach administracyjnych większéj rozległości i ludności. Pomiędzy téż zwolennikami jednego lub drugiego systemu często zachodzą drobne zaledwie różnice w szczegółach, dotyczące więcéj nazwy, aniżeli istoty rzeczy. Zanadto ogólnikowe zajmowanie się tą sprawą jest powodem, że w umysłach nie widać dostatecznie jasnego wyobrażenia o celu i zasadach pożądanéj reformy. Jest to wszelako rzeczą naturalną, gdyż z chwilą, w któréj społeczeństwo zdoła zdać sobie dokładną sprawę z zasad organizacyi, nastąpić będzie musiała decyzya stanowcza i rozpocznie się proces przemiany stosunków.

Gmina zbiorowa, to jest idea połączenia zesobą kilku gmin i obszarów dworskich, celem wspólnego sprawowania zakresu działania gmin obecnych, zyskała znaczną liczbę zwolenników, mianowicie na zachodzie kraju i znalazła najwybitniejszy wyraz w „zarysie organizacyi władz administracyjnych w Galicyi", wydanym przed ośmioma laty w Krakowie. Zarys jest istotnie najznakomitszą pracą w kierunku reformy administracyi, jaką wydało nasze społeczeństwo. Praca to zbiorowa i owoc prawie dwuletnich narad, jakie odbywały się w Krakowie w zimie roku 1869 na 1870 i r. 1870 na 1871. Uczestniczyli w naradach ś. p. Adam Potocki, ś. p. Aleksander Kurtz, Julian Dunajewski, Wiktor Kopf, Henryk Wodzicki, Franciszek Paszkowski i Dyonizy Skarzyński, a rezultat ujęli w formę ustawy z dołączeniem motywów Juljan Dunajewski, Wiktor Kopf i Dyonizy Skarzyński (1).

Zasady ogólne z jakich wyszli autorowie tego projektu reformy polegały: najpiérw na zniesieniu dualizmu władz, tak w organizacyi

---

(1) Szczegóły powyższe po raz piérwszy ogłaszane, zawdzięczam uprzejmości p. Skarzyńskiego, niestety jednak nie mogłem korzystać z protokółu narad, gdyż na razie przynajmniéj nie dał się odszukać.

gminnéj, powiatowéj jak krajowéj; powtóre na utworzeniu instytucyj silnych i żywotnych, a więc rozległych i ludnych, któreby tém samém posiadać mogły dostateczne środki materyalne oraz moralne do wykonywania powierzonych im zadań. W organizacyi „zarysu,“ kilka gmin i obszarów dworskich mają tworzyć okrąg gminny, liczący od 6 do 10 tysięcy mieszkańców; a 74 powiatów galicyjskich ma być zastąpionych 20 obwodami, a więc znowu ciałami o wiele rozleglejszemi od dzisiejszych powiatów. Potrzecie, zniesienie dualizmu władz politycznych i autonomicznych w kraju i w powiecie miało się odbyć, z jednéj strony, kosztem pewnéj samodzielności dzisiejszych wydziałów powiatowych i wydziału krajowego; ale w zamian rady obwodowe miały uzyskać głos doradczy we wszystkich sprawach obwodu, a wydziały obwodowe miały nawet brać udział w ogólnéj administracyi obwodu. Podobnie dzisiejszy wydział krajowy miałby wejść w skład namiestnictwa, zostawać pod kierunkiem namiestnika, ale za to byłby cząstką ogólnéj władzy krajowéj, brałby udział czynny w zarządzie każdéj gałęzi administracyi i byłby władzą, przygotowującą wszelkie prawodawcze do sejmu wnioski. Poczwarte, w całéj administracyi „Zarys“ jasno wyróżnił trzy czynniki. Kierownika władzy wykonawczéj, jako organ rządowy, zawsze mianowany i właściwą posiadający władzę; radę, jako organ uchwalający, kontrolujący i doradczy; a wreszcie wydział wykonawczy, który pochodząc z wyboru bierze udział w administracyi i jest żywiołem autonomicznym w wykonaniu.

Obok tych zasad ogólnych należy jeszcze specyalnie podnieść zasady organizacyi gminnéj. Za główną podstawę służy połączenie gmin i obszarów w okręgu gminnym w taki sposób, aby w dalszéj organizacyi różnica ta stanowa zupełnie znikła. Obok tego jednak zachowuje się byt samoistny gminie chłopiéj jako gromadzie wioskowéj, a to celem zarządu majątkiem gminy i dla dania zarazem okręgowi gminnemu miejscowych wykonawców. Zarząd okręgu sprawują: rada, naczelnik i wydział. Rada jest wybieralną, przyczém wyżéj opodatkowani mają zapewnioną trzecią część członków rady. Bez wyboru wchodzą do rady duchowni każdego obrządku, a to celem wzmocnienia w niéj żywiołu inteligencyi. Naczelnik mianuje rząd z 3 kandydatów podanych przez radę gminną, lub w razie przedstawienia niestosownych kandydatów—z terna przedstawionego przez wydział obwodowy. Wydział gminny stanowią dwaj ławnicy, wybrani z grona rady.

Całą administracyą sprawuje naczelnik okręgu, mianowicie do niego należy wykonywanie policyi miejscowéj. Wydział bierze udział w zarządzie majątkiem i instytucyami gminnemi, ale na spra-

wy administracyi publicznéj i policyi mały może mieć wpływ. Rada również jest organem uchwalającym i kontrolującym.

Projekt powyższy organizacyi władz administracyjnych w Galicyi odznacza się gruntownem opracowaniem, znać w nim pracę ścisłą, zamiar jasno sformułowany i konsekwentnie przeprowadzony. „Zarys“ rzec można ulany jest z jednolitego kruszcu, a odnosi się do całości stosunków krajowych, gdyż nie ma na oku saméj gminy, ale przedsiębierze organizacyą wszystkich władz administracyjnych w kraju. Za wzór służyło autorom ustawodawstwo francuskie ze zmianami jakie przyjęte zostały w Belglii. Patrząc na stosunki nasze, autorowie widocznie zwrócili przedewszystkiém uwagę na brak wykonania i na wielką stratę czasu, jaką za sobą pociąga system ciągłego radzenia i mięszania się do wszystkiego. To téż system przez nich stworzony w obu kierunkach podaje skuteczną pomoc. Władza, jaką chce „Zarys“ zaprowadzić w okręgu, a daléj w powiecie i kraju powinna się odznaczać szybkością w działaniu, sprężystością i ścisłością; albowiem postawioną jest zupełnie niezależnie od ludności miejscowéj, nic jéj nie może stawiać przeszkód w wykonaniu zamiaru, posiada dostateczne środki dokładnego poznania sprawy każdéj w urzędnikach dodanych do pomocy i w wydziałach reprezentujących interesa miejscowe, a przytém wszędzie zaprowadzono system kontroli wyższych jednostek administracyjnych nad niższemi. Ciała doradcze, ograniczone wyłącznie do rady i kontroli, mają być nieliczne i mają zgromadzać się w ogóle bardzo rzadko; w ten sposób mniemano uniknąć próżnych rozpraw, długiéj gadaniny, a nie bez słuszności zauważono, że w kraju biednym liczne i częste zebrania są zanadto kosztownym zbytkiem, nadto wiele marnują czasu. Oszczędność więc w słowach, zaufanie w postępowanie władzy i wybranych wydziałów, oparte na ścisłéj kontroli rachunków, sprężystość w wykonaniu, są to nietylko zdrowe zasady dobréj administracyi, ale również znamiona jędrności, siły i zdrowia organizmu społecznego. Nadać mu te warunki silnéj organizacyi a przez to moralnie ożywić, spotęgować ducha i przejąć poczuciem porządku, ładu, prawa; oto piękny cel, jaki przebija z każdego słowa „Zarysu“ i który nadaje pracy saméj wyższe znaczenie. Praca ta tak jednolita, a tak głęboko pojęta i przeprowadzona, nie dziw, że w społeczeństwie rozbitém, mało myślącém i pozbawionem wszelkiego programu wywarła potężne wrażenie, które musiało być bardzo znakomitém, kiedy po latach kilku poseł Dunajewski z wieloma towarzyszami postawić mógł w sejmie „Zarys“, jako wniosek do organizacyi kraju. Myśl „Zarysu“, mianowicie zaś pomysł gminy zbiorowéj, ma wszelako daleko więcéj zwolenników w zachodniéj aniżeli we wschodniéj

stronie Galicyi, na co wpływają odmienne stosunki społeczne. Wsie zachodnie są gęsto położone, obszary dworskie dość rozdrobnione; to téż ku zachodowi do okręgu gminnego czyli do gminy zbiorowéj weszłoby kilka różnych wiosek i właściciele obszarów nie czuliby się odosobnieni w téj nowéj organizacyi. Przeciwnie, na wschodzie większa odległość wsi od wsi utrudnia stosunki wzajemne, a majątki są wielkie, tak iż po większéj części w skład gminy wszedłby jeden tylko właściciel obszaru. Właściciel obszaru na wschodzie posiada téż mniéj punktów stycznych z ludnością gminy, najczęściéj odróżnia go mowa, obrządek, często we wpływowym na wsi parochu widzi niechętnego sobie agitatora; a dodajmy, że na wschodzie przeważnie spotykamy większe pańskie lub półpańskie majątki i narowy, a łatwo przyjdzie nam zrozumieć, że myśl wspólnéj pracy w gminie na podstawie równych zupełnie praw znajduje tu sporo przeciwników. Mimo téż tego, że wiele osób, korporacyj i wydziałów powiatowych ze wschodnich powiatów pojedyńczo lub w zbiorowych odezwach łączyło się z ideą zaprowadzenia gminy zbiorowéj, myśl ta przypisywaną jest wyłącznie partyi krakowskiéj.

Partya ta, posiadająca w swém gronie najznakomitszych mężów nauki, rzeczywiście wyobraża dążenie do całkowitego przeobrażenia stosunków, opiérając reformę na podstawie równych praw dla wszystkich i na harmonii społecznéj interesów. Te idee są tu w znacznéj części powodem niepopularności krakowskiego stronnictwa na wschodzie. Z drugiéj strony partya krakowska przedewszystkiém trzyma się zasad powolnego, stopniowego rozwoju, skoków nie lubi i zna ich szkodliwość; idea ładu, porządku, karności, która wystąpiła w „Zarysie“ na pierwszy plan, stanowi istotnie główne hasło całego obozu. Niesforność i szlachecka buta są dla krakowian na równi ze zbrodnią stanu, tak głęboko są przekonani, że te wady prowadziły zawsze do zguby; przeciw nim walczyć stanowi więc pierwszy i kardynalny artykuł politycznych ich przekonań. Łatwo pojąć, że z takiemi zasadami partya krakowska staje jako przeciwieństwo wszelkich gorączkowych objawów i mimo reformistycznych poglądów jest przedstawicielką konserwatywnych pojęć. Obok wielu wysokich przymiotów ludziom kierującym stronnictwa tego brak jednéj zalety nieodzownéj do stworzenia czegoś dodatniego — nie umieją oni pragnąć stanowczo, boją się inicyatywy, są zanadto leniwi do politycznego działania i za mało przedsiębiorczy, czyli innemi słowy — dotychczas okazali się ludźmi teoryi, nie czynu.

„Zarys“ jeden podał całkowity i wykończony plan organizacyi gminy zbiorowéj, jednakże idea takiéj gminy nie koniecznie da się

urzeczywistnić na podanych przezeń zasadach; gmina zbiorowa oznacza tylko pojęcie gminy silnéj, rozległéj i ludnéj, powstałéj z połączenia kilku dzisiejszych gmin i obszarów dworskich. W tém ogólném pojęciu myśl utworzenia gminy zbiorowéj posiada wielu zwolenników i przeciwników. Ci ostatni różnią się często bardzo pod względem przekonań i zgodni są głównie tylko w negacyi gminy zbiorowéj, a rozchodzą się w pojęciach, kiedy idzie o postawienie dodatnich żądań. Najliczniejsza, należąca tu frakcya nie ma chęci połączenia obszarów z gminami, upatruje w tém trudności techniczne, że tak powiem, a zarazem uważa, iż skoro społeczeństwo dawniéj było więcéj jak dziś rozbite, kiedy więc stępiły się ostrza nieporozumień, nie należy rozbudzać na nowo antagonizmów, co według nich nastąpi przez połączenie obu żywiołów wiejskich w gminie. Uznając wszelako niepodobieństwo pozostawienia nadal społeczeństwa w stanie zupełnego bezrządu, starają się oni ograniczać samorząd gminny, poddawać go ścisłéj kontroli i czynić wykonawcą poleceń przez władzę samorządną, krajową wydawanych. Kierunek ten centralistyczny o którym już wyżéj była mowa nieraz zyskuje poparcie krakowiaków; ostatni bowiem, słabą mając nadzieję przeprowadzenia idei „Zarysu" i gminy zbiorowéj, chcieliby przynajmniéj zaprowadzić większą sprężystość w administracyi i z tego powodu nakłaniają się do popierania podobnych tendencyj. W skutek tego w sejmie najłatwiéj jeszcze o zmianę w kierunku centralizacyi samorządu.

Druga dość liczna frakcya przeciwników gminy zbiorowéj pragnie, aby stosunki zwolna wytwarzały się same ze siebie, bez żadnego z zewnątrz nacisku. Wyrobiwszy sobie o samorządzie pojęcie, jakoby on polegał na zupełném usamowolnieniu miejscowego życia od wszelkiego z zewnątrz nacisku, zdaje im się, że reforma jeśli będzie potrzebną przyjdzie sama za pomocą zastosowania zasady *laissez faire laissez aller*. Ludzie tych przekonań szczególniéj obawiają się wpływu rządu; ztąd połączenie władz rządowych z autonomicznemi poczytują za klęskę samorządu, za wyrzeczenie się osiągniętych na tém poluzdobyczy. Wolą oni nawet bezrząd, jak naruszenie zasady samodzielności bezwarunkowéj gminy. Reforma naszych stosunków zyskuje przeciwników w tych obrońcach wrzekoméj wolności gminy, i dla tego kierunek ten pojęć sprzęga z sobą ludzi przedstawiających głębokie polityczne przekonanie, oraz takich co powodują się nieraz marnemi i drobnemi względami. Koncentrują się tu wszelkie niesforne żywioły i nagradzają niechęć wewnętrznych reform, nic nie kosztującym na zewnątrz liberalizmem i śmiałemi, niekiedy zuchwałemi poglądami politycznemi.

Po za tém wszystkiém istnieje jeszcze inna grupa pragnąca szczerze reformy; uznaje ona stosunki obecne za niepodobne do utrzymania, widzi słabość gmin i ubolewa nad rozdwojeniem, ale chce zaradzić złemu nie przez gminę zbiorową, tylko przez wzmocnienie organizacyi powiatowéj. Stanowi to drugi kierunek reformy, który jednak nie znalazł dotychczas takiego opracowania, jakie w „Zarysie“ uzyskał pomysł gminy zbiorowéj. Utworzenie silnéj organizacyi powiatowéj, którąby objęła z pomiędzy zadań gminy wszystkie funkcye policyjne, stanowi podstawę tego planu. Jest on więc w zasadzie zbliżony do poprzedniego; gminie obecnéj odejmuje te same czynności co pierwszy pomysł, również te same sprawy pozostawia do wykonania gromadzie wioskowéj: podobnie we wnioskach Dunajewskiego i tu obszar dworski pozostaje być czémś odrębném, a razem z gminą traci niezależne stanowisko i staje się podległym wyższéj autonomicznéj władzy.

Podstawą organizacyi samorządu ma być powiat, bądź to dorównywający rozległością dzisiejszemu, bądź téż dwa do trzech razy mniejszy, gdyż władza powiatowa jako bezpośrednio działająca ma być więcéj zbliżoną do wykonania, a ztąd zbyt rozległe powiaty nie są poczytywane za korzystne. Pomysł ten, chociaż często z nim można się spotkać, nie został nigdzie jasno sformułowany, i trzeba brać podobne instytucye zagraniczne, aby można zrozumiéć zarysy organizacyi powiatowéj proponowanéj dla Galicyi. W tym względzie najpierwéj nastręczają się do porównania: hrabstwo w Anglii, komitat węgierski i okrąg pruski.

Podstawą organizacyi politycznéj Anglii jest zasada, że każda władza ma prawo wykonywać te tylko czynności, które jéj ustawa specyalnie do wykonania powierza. Nie ma więc w samorządzie angielskim żadnéj instytucyi, którąby na wzór naszéj gminy kontynentalnéj miała sobie powierzoną ogólną pieczę nad dobrem i rozwojem wszystkich stosunków publicznych. Przeciwnie, w Anglii funkcye władz są ściśle określone, ścieśnione wyłącznie do sfery przez ustawę przewidzianéj, nic nie ma pozostawionego domysłowi, dobréj woli lub rozporządzeniu, gdyż to, czego ustawa specyalnie nie wymienia, należy do sfery prywatnéj i tylko przez osobistą inicyatywę załatwioném być może. W skutek tego każda potrzeba społeczna wywołuje oddzielną organizacyą, jest powierzona osobnéj władzy, która wyłącznie ma sobie powierzoną opiekę nad biednymi, opiekę nad zdrowiem, drogami, kościołem lub szkołą. Hrabstwo bezpośrednio w tém wszystkiém nie ma udziału, ono w pierwszym rzędzie powołane jest do zarządu więzień, szpitalów dla obłąkanych, a przedewszystkiém do wykonywania sądownictwa mianowicie w sprawach przekroczeń

administracyjnych. Obok tego sądowego zadania w skutek którego wszystkie sprawy policyjne opiérają się o kwartalną sesyą sędziów pokoju, niektóre czynności policyjne wykonywają ciż sędziowie nie bezpośrednio w swoich mniejszych okręgach policyjnych, ale wspólnie na sesyach kwartalnych.

W Anglii zatém, wszystko czego specyalnie ustawa nie poleca nikomu wykonywać, pozostawione jest prywatnéj inicyatywie; natomiast sprawy powierzone rządom stanowią dla nich obowiązek, który bezwarunkowo spełnionym być musi, i którego spełnienie można wymusić na władzy opieszałéj lub nie chętnéj. Główne funkcye policyjne spoczywają albo na specyalnych urzędach działających w obrębie małych gmin miejscowych, lub też w obrębie gmin zbiorowych; albo na sędziach pokoju, bądź działających każdy oddzielnie w swoim małym okręgu, bądź działających w okręgach większych. Hrabstwo jest przeważnie instytucyą sądownictwa administracyjnego i w większéj części wypadków działa w drugiéj instancyi. Zastosowanie podobnéj organizacyi w naszych stosunkach byłoby dla tego niemożliwém, że u nas nie ma tak rozwiniętéj osobistéj inicyatywy, aby można było ograniczyć sferę działalności urzędów autonomicznych do spraw ściśle w ustawie przewidzianych. To zaś jedynie broni samorząd Anglii, sprawowany przez władze nominowane, od wszelkich nadużyć, że ma on ściśle określoną sferę działania i każde najlżejsze przestąpienie zakresu sprowadza proces o naruszenie kompetencyi, lub niewykonanie przepisu.

Na innéj zasadzie rozwinęła się organizacya samorządu w dwóch innych krajach, gdzie podstawę samorządu stanowią również jednostki administracyjne wyższego rzędu. Organizacya ta jest tém więcéj godną uwagi, że ustawy, które ją unormowały, powstały współcześnie i w ciągu bieżącego dziesięciolecia, należą więc do najświeższych prób w rozwoju samorządu.

Na Węgrzech samorząd od najdawniejszych istnieje czasów, teraz właśnie został zreformowany z zastosowaniem do nowszych potrzeb i pojęć. Samorząd węgierski spoczywa w municypium czyli komitacie, który od głównego urzędu nazwaćby można żupą czyli powiatem. Wielkie miasta, tak zwane wolne miasta królewskie, stanowią dla siebie komitat. Municypium czyli komitat posiada obszerną władzę, wydaje statuta do wewnętrznego zarządu, wybiera własnych urzędników, swobodnie rozrządza swemi dochodami i wydatkami (§. 2 ust. XLII. 1870). Ważniejsze jednak wydatki potrzebują zatwierdzenia ministeryalnego, równie jak uchwały dotyczące systemizowania posad lub uchylenia urzędnika (§. 3 j. w.). Municypium nie może wydawać rozporządzeń przeciwnych ustawom i pra-

wnym rozporządzeniom rządu, ani nie może naruszać samorządu gminnego (§. 5 j. w.). Municypium posiada nadto ważne prawo robienia piśmiennych przedstawień przeciw rozporządzeniom rządu; jednakże nakaz nieodwołany winien być ściśle wykonany, z wyjątkiem rozporządzenia dotyczącego poboru niezawotowanych przez parlament podatków i rekrutów (§§. 16 i 17 j. w.). Municypium w każdym razie służy prawo odwołania się do izby poselskiéj.

Zarząd municypium stanowi żupan, rada i wydział. Żupan jest dozorcą i kontrolerem działania municypium, on zwykł przewodniczyć zebraniom rady, on mianuje urzędników nie pochodzących z wyboru (§§. 41 i 53 j. w.); jest to człowiek zaufania, ma charakter komisarza rządowego, który stale nie działa, tylko prowadzi nadzór czynności municypium, a rząd może go nawet upoważnić do wykonania rozporządzenia wbrew woli municypium. Kiedy żupan wykonywa rozporządzenie, którego municypium spełnić nie chce, może wtedy oddalać lub zawieszać wszystkich urzędników (§§. 54 i 55 j. w.).

Władzą stale działającą w komitacie jest podżupan wybieralny (§. 70.); jest to pierwszy urzędnik komitatu, organ wykonawczy uchwał rady i obowiązków ciążących na municypium, który sprawuje administracyą publiczną (§. 58). Obok téj naczelnéj władzy podzielonéj w podobny sposób pomiędzy obu najwyższych urzędników, a przecież jednolitéj i podporządkowanéj rządowi, stoi rada czyli walne zebranie o szerokich atrybucyach, bezpośrednio wykonywające niektóre czynności zarządu, mające prawo uchwalenia statutów dla municypium, nakładania ciężarów oraz prowadzące kontrolę władzy swéj wykonawczéj (§. 43. j. w.). Tę ostatnią stanowi oprócz naczelnéj władzy żupana i wice-żupana wydział municypalny, w którego skład wchodzą częścią członkowie wybrani przez radę, a częścią urzędnicy, reprezentanci różnych ministeryów, będący referentami odpowiednich czynności w wydziale (§§. 1, 2 i 8 ust. VI. 1876). Jest to więc ciało kolegialne, mające trojakie zadanie: a) administracyjne, b) władzy dyscyplinarnéj i c) drugiéj instancyi w sporach administracyjnych (§. 12 ust. VI· 1876).

Municypia węgierskie są bardzo nierównéj rozległości a tém samém ludności, gdyż wytworzyły się z biegiem wieków, a początki téj organizacyi sięgają najodleglejszych czasów dziejów węgierskich; to też przeciętna cyfra nie da się tu zastosować z całą ścisłością, jednakże wskaże przynajmniéj na charakter instytucyi. Otóż przeciętna rozległość municypium węgierskiego wynosi około 60 mil kw. a ludność przeszło 150.000 mieszkańców. Jest to więc ciało wielkie, mające znaczne zasoby, któremu ustawa nadała niezależne życie.

Znaczniejsze miasta stanowią same dla siebie komitat. Organizacya komitatów czyli municypiów nie przeszkadza jednakże samodzielności innych jednostek miejscowych. Przeciwnie, na Węgrzech gminy zostały teraz na nowo uregulowane ustawami XVIII r. 1871 i V r. 1876. Ustawy rozróżniają gminy trojakiego rodzaju: wielkie, małe, oraz miasta z uregulowanemi magistratami (§. 1); a każdy rodzaj otrzymał organizacyą zastosowaną do potrzeb swoich (§. 64), przyczém przyznano miastom znacznie szerszy zakres działania aniżeli innym gminom, mianowicie we względzie policyi targowéj, polowéj, górniczéj, budowniczéj i zdrowia (§. 23 ust. XVIII. 1871). Gmina węgierska w ogóle posiada szerokie atrybucye, uchwala własne statuta, wybiera swą władzę, zarządza majątkiem i wydatkami, oraz sprawuje policyą ogniową, bezpieczeństwa i opieki nad ubogimi (§. 22).

Współcześnie z tą organizacyą samorządu na Węgrzech tworzyła się również w Prusiech nowa organizacya administracyi publicznéj. Spotykamy tu daleko większą rozmaitość nazw i stopni czyli podziałów administracyjnych, gdyż widzimy w Prusiech: prowincye, obwody, okręgi, urzęda powiatowe, gminy i obszary dworskie (1). Każda z tych jednostek administracyjnych ma swój udział w samorządzie, chociaż bez wątpienia najwybitniejsze stanowisko należy się okręgowi. Prowincya w Prusiech uważaną jest za zbiór okręgów i posiada wprawdzie sejm i wydział pochodzące z wyborów, lecz takowe nie mają bezpośredniego udziału w zarządzie prowincyą. Sejm prowincyonalny obraduje w sprawach mu przekazanych, ma zarząd majątku i wydatków oraz dochodów prowincyi i w tym względzie używa znacznéj swobody ruchów (§§. 34 do 44 ordyn. prowinc. 29 Czerwca 1875), miarkowanej w ważniejszych wypadkach potrzebą uzyskania zatwierdzenia panującego lub właściwego ministra (§. 119 i 120). Wydział prowincyonalny jest organem wykonawczym sejmu, a więc tém samém ograniczony jest także do zakresu sejmom przepisanego (§§. 58 do 61). Właściwy udział w zarządzie całéj prowincyi zyskuje ludność w radach prowincyonalnych i obwodowych. Obie rady składają się w części z wybranych osób, w części zaś — z urzędników rządowych i obradują pierwsza pod przewodnictwem prezydenta prowincyi, druga — prezydenta rządowego (§§. 62 i 67). Zadaniem obu ciał jest głównie czuwanie nad niższemi urzędami auto-

---

(1) Przyjmuję powyższe nazwy, ponieważ zdaniem mojém najlepiéj odpowiadają rzeczywistym stosunkom. *Bezirk* tłómaczę przez obwód, albowiem jest to wielki okrąg administracyjny, prowincye całe dzielą się na 2 do 4 Bezirków, więc istotnie ta nazwa najwięcéj odpowiada rzeczy. *Kreis* jest okręgiem, a *Amtsbezirk* urzędem powiatowym.

nomicznemi (§§. 63 i 68). Celem wykonywania sądownictwa administracyjnego w obwodzie utworzony został nadto oddzielny sąd administracyjny, złożony z 5 członków: dwóch urzędników, a 3 wybranych przez sejm prowincyonalny (§. 9 ust. o sądown. admin. z 3 Lipca 1875). Sąd ten jest sądem drugiéj instancyi (§. 4 j. w.).

Organizacya okręgowa jest z tego względu najznakomitszą, że okrąg ma wszystkie władze do pewnego stopnia złączone z okręgiem, a jest władzą wykonawczą powszechną tak do zarządu spraw miejscowych okręgu, jak do zarządu spraw państwa powierzonych okręgowi, a nadto w okręgu spotykamy pierwszą instancyą sądownictwa administracyjnego.

Okrąg pruski obejmuje zwykle od 30—70 tysięcy mieszkańców, przeciętnie niespełna 55.000 (1), jest więc okrąg pruski mniejszy od powiatu galicyjskiego. Na czele okręgu stoi mianowany przez króla radca ziemski (Landrath); jest on pierwszym urzędnikiem okręgu, mianowicie zaś czuwa nad wykonywaniem policyi w całym okręgu i ma prawo wydawać rozporządzenia policyjne, obowiązujące na cały okrąg (§§. 74—77 Kreisordnung 13 Grudnia 1872).

Rada okręgowa jest przedstawicielką okręgu; wybór jéj uskutecznia się w ten sposób, aby utrzymać równowagę pomiędzy miastami i wsią, a w reprezentacyi wiejskiéj ludności pomiędzy gminami i obszarami dworskiemi (§. 89 Kr. ordn.). Rada ma prawo wydawać statuta, winna obradować i uchwalać w sprawach dotyczących okręgu, o ile ustawy przekazują jéj pewne czynności (§. 115.) uchwala wszystko, co dotyczy zarządu majątkiem i potrzebami okręgu, wypełnia wszystko, co jéj poruczono specyalnie, a w innych sprawach okręgu może udzielać swego zdania (§. 116).

Wybrany przez radę wydział okręgowy, obradujący pod przewodnictwem radcy ziemskiego, składa się z 6 członków ustępujących w połowie co 3 lata (§§. 131 i 133); sprawuje zarząd okręgu o ile mu ten ustawy przekazują, wykonywa uchwały rady i przygotowuje jéj czynności (§. 134 Kr. ord.) oraz jest sądem administracyjnym pierwszéj instancyi.

Landrath pruski czuwa nad wykonywaniem policyi, ale właściwym urzędem policyjnym jest urząd powiatowy. Władza ta nowo utworzona zamiast policyi patrymonialnéj dawnych panów (§. 46 Kr. ord.) składa się z naczelnika urzędu powiatowego i z wydziału. Naczelnik jest mianowany na lat 6 przez prezydenta prowincyi (§. 56.)

---

(1) Cyfry te odnoszą się do tych prowincyj pruskich, w których zaprowadzono samorząd okręgowy.

i zarządza policyą, mianowicie policyą bezpieczeństwa, porządku, obyczajów, zdrowia, czeladzi, biednych, dróg, wód, polową, leśną, rybołóstwa, przemysłową, budowniczą, ogniową i t. d. (§. 59 Kr. ord.). Urząd jego jest honorowy, może bowiem tylko żądać odszkodowania strat (§. 69 Kr. ord.). Przełożeni gmin należących do powiatu i przełożeni obszarów są obowiązani wykonywać zlecenia jego (§. 65). Władzę swą dzieli naczelnik powiatu z wydziałem powiatowym, reprezentującym wszystkie gminy i obszary powiatu (§. 51 Kr. ord.). Ustawa nadaje wydziałowi pewien udział w wydawaniu rozporządzeń policyjnych, a zawsze decyduje on w sprawach kosztów i w innych sprawach dotyczących powiatu (§§. 52 i 62 Kr. ord.). Urząd powiatowy przejął tu głównie wykonywanie policyi miejscowéj o ile jéj oddzielne gminy i obszary sprawować nie mogły, jako urząd nominowany a honorowy naczelnik powiatu jest dalszym ciągiem jurysdykcyi patrymonialnéj, z wyłączeniem osobistości niemiłych rządowi. Urząd powiatowy, skupiając w sobie władzę policyjną nad kilkoma gminami i obszarami, nie jest czém innéni, jeno takim okręgiem gminnym, jaki tu niegdyś proponowano zaprowadzić celem zaradzenia niedostatkom wykonywania policyi po gminach. Nadto gminy mogą dobrowolnie wykonywanie pewnych spraw przelać na wydział powiatowy (§. 53 Kr. ord.).

Na dole téj organizacyi spotykamy gminę i obszar dworski, pierwszą z organami samorządnemi to jest wójtem i dwoma przysiężnymi. Władze te podległe rozkazom wyższym nie mają przecież samodzielnego życia.

Miasta pruskie, mające 25.000 ludności, zostały porównane z okręgami (§. 4 Kr. ord.), a w miastach mniéj ludnych i posiadających ordynacyą miejską, ustawa o kompetencyi z 26 Lipca r. 1876 stworzyła wydział miejski, który pod względem sądownictwa administracyjnego dla tych miast zastępować ma wydział okręgowy.

Powyższy treściwy przegląd postępu w ostatnich czasach ustawodastwa, dotyczącego samorządu u dwóch sąsiednich narodów, zdaje się wskazywać na następujące ważniejsze momenta:

1. Tak w municypium węgierskiém jak w okręgu pruskim istnieje jedna władza do wykonywania wszelkich czynności tak gospodarczych miejscowych, jak administracyjnych publicznego miejscowego i państwowego życia. Władza ta jednolita skupia w sobie tak zwany własny i poruczony zakres w gminach, lub polityczny i samorządny zakres w powiecie. Podstawą więc organizacyi jest wzajemna ufność rządzonych i rządzących, harmonia interesów miejscowych i państwowych; a łatwo dostrzedz, że prawdziwy samorząd dopiéro rozwinąć się może z usunięciem nieufności wzajemnéj, ze zniesieniem

dualizmu władz, który na to tylko istnieje, aby dwie władze stawały się przeszkodą wzajemną harmonijnego działania i nie dopuszcza wpływu miejscowych żywiołów na administracyą publiczną.

2. Obie organizacye samorządu, węgierska i pruska, uznały za potrzebne oprzéć samorząd na większych jednostkach administracyjnych, aby jednak nie utrudnić przez to sprężystości w działaniu i koniecznego zbliżenia władzy wykonawczéj do miejscowości, przyjęto tu i tam podwójną skalę władz, w Węgrzech — municypium i gminę w Prusiech — okrąg i gminę, a w jéj zastępstwie urząd powiatowy.

3. Ponieważ komitat jest bardzo wielki, bo ma do 60 mil kw., więc obok niego dała się pomieścić gmina o szerokich atrybucyach i pewnéj samodzielności. Okrąg pruski o wiele mniejszy, a gminy i obszary przez rozdwojenie pozbawione wszelkiéj żywotnéj siły, nie pozostawało więc nic innego jak potworzyć w urzędach powiatowych rodzaj gmin zbiorowych i przelać na nie obowiązki policyjne, które w okręgu nie mogły się skupiać, jako w jednostce zanadto odległéj, a na gminę także nie mogły być przelane, ze względów, że nie można administracyą publiczną pozostawiać na łasce żywiołów, pozbawionych zrozumienia potrzeb publicznych.

Organizacya węgierska zbliża się do ram postawionych w „Zarysie,“ stawia bowiem dwa stopnie podziału administracyjnego kraju, tworząc w municypiach rodzaj obwodu jaki proponuje „Zarys,“ a u dołu pozostawiając organizacyą gminną; kiedy jednak wnioskodawcy projektu galicyjskiego główny nacisk położyli na sprężystość działania, prawodawca węgierski przeciwnie usiłuje najmocniéj zabezpieczyć niezależność swoich ciał autonomicznych i daje szerokie rękojmie niezawisłości municypium od nacisku władz rządowych. Gmina téż węgierska jest także o wiele bardziéj żywotną od okręgu gminnego postawionego w „Zarysie,“ a stopień jéj działalności zastosowany do środków jakiemi rozporządzać jest w stanie.

Organizacya pruska opiéra się na okręgach, które mogą być porównane z naszemi tutaj powiatami, chociaż są od nich nieco mniejsze. Rada okręgowa podobnie jak nasza rada powiatowa składa się z przedstawicieli interesów, a ustawa usiłuje za pomocą z góry obmyślonych formuł utrzymać równowagę w reprezentacyi tych interesów. U dołu gminy równie rozbite na gminy i obszary jak u nas, i równie pozbawione żywotności z powodu panującego rozdwojenia i z powodu szczupłych rozmiarów, z tą jednak różnicą, że kiedy nasze gminy prawnie powołane są do największych zadań; gminy i obszary pruskie posiadają nader podrzędne stanowisko, więcéj odpowiednie ich, w naturze rzeczy leżącéj, bezwładności. Natomiast w urzędzie po-

wiatowym spotykamy coś wcale zbliżonego do pomysłu okręgu gminnego, lecz gdy urząd powiatowy ograniczony jest do wykonywania za gminy policyi miejscowéj, to okrąg gminny w „Zarysie“ ma za zadanie zastępować niedostateczną organizacyą gminną. „Zarys“ nadaje więcéj samodzielności swéj kreacyi.

Idea opierająca samorząd na organizacyi powiatowéj mogłaby więc znaléźć wzór nie na Węgrzech, ale w Prusiech, mianowicie w organizacyi okręgu pruskiego. Należy jednak pamiętać, że tworząc samodzielny zarząd powiatu i powierzając mu zadania ogólnéj administracyi, utworzylibyśmy władzę pod względem swego zakresu zupełnie równorzędną z dzisiejszém starostwem; otóż jest rzeczą niewątpliwą, że dwie władze niezależne od siebie o równych atrybucyach istnieć wcale nie mogą, i dla tego nasz samorząd powiatowy dotychczas nie może uzyskać egzekutywy, ani na przyszłość jéj nie uzyska, dopóki nie nastąpi w powiecie połączenie obu dziś rozdzielonych władz, rządowéj i autonomicznéj, w jednę. Powiat nasz większy od okręgu pruskiego, jeszcze bardziéj jak tamten nie mógłby obejść się bez władzy pośredniéj, i albo znalazłby ją w podporządkowanym mu urzędzie policyjnym (jak w Prusiech w urzędzie powiatowym, lub u nas w okręgu gminnym), albo musiałby oprzéć się na zorganizowanéj gminie, świadoméj swych celów czyli na gminie zbiorowéj.

Według dzisiejszego stanu rzeczy nie można twierdzić, aby sposób przeprowadzenia reformy administracyi krajowéj przedstawiał się ogółowi jako sprawa zamknięta. Pomysł oparcia reformy na wzmocnieniu powiatu, dotychczas jest tylko w zawiązku, nigdzie i przez nikogo nie został sformułowany ani bliżéj określony; a pomysł „Zarysu,“ chociaż nawet stoi w protokułach sejmu galicyjskiego jako wniosek Dunajewskiego i towarzyszy, to przecież posiada nie dość popleczników, aby mógł zamienić się w ustawę. Przytém największy szkopuł stanowić będzie przez czas zapewne długi ta okoliczność, że sejm galicyjski jest wprawdzie mocen zmienić dowolnie ustawę gminną, ale organizacya władz powiatowych i prowincyonalnych należy do kompetencyi rady państwa; jedna reforma bez drugiéj obejść się nie może, a tak sejm jak rada państwa zazdrosném okiem patrzą na prawa, szczególniéj zaś rada państwa w danéj chwili nigdyby nie przystała na rozszerzenie zakresu samorządu, w duchu oddania mu w ręce całéj publicznéj administracyi.

Zdaje się, że ten wzgląd na kierunek wiedeńskiego parlamentaryzmu także mieli na oku autorowie „Zarysu,“ ścieśniając samodzielność tworzonych organów samorządu; a gdyby dyskusya u nas zbywszy się wszelkich uprzedzeń chciała w każdéj sprawie docierać do jądra rzeczy, toby niezawodnie powinna doprowadzić do znaczne-

go zbliżenia i wyrównania pojęć pomiędzy obu kierunkami reformy, i dałyby się może wynaléźć wspólne zasady, na któreby powszechna nastąpiła zgoda.

Jako pierwszą z tych zasad zdaje się przyjąć można potrzebę zorganizowania dwóch stopni władz w samorządzie. Potrzebę tę wskazuje doświadczenie wszystkich narodów. Widzieliśmy w jaki sposób zaradzili jéj Węgrzy i Prusacy, ale nietylko oni uznali konieczném zaprowadzenie dwóch stopni władz. Spotykamy je we Francyi, Belgii, we wszystkich krajach niemieckich, a nawet w Anglii, gdzie obok hrabstwa, istnieją gminy specyalne, i do spraw policyjnych okręgi działania sędziów pokoju bądź pojedyńczo, bądź po dwóch razem. Wynika to z natury rzeczy. Samorząd jeśli ma kwitnąć potrzebuje szerokiéj podstawy, którą znaléźć może dopiéro w dość wielkich organizmach. Z drugiéj strony zbytnie oddalenie od wykonania odbiera samorządowi dokładną znajomość stosunków i potrzeb miejscowych. Aby pogodzić te dwa przeciwne wymagania, należy zorganizować dwa stopnie władz samorządu, z których każda byłaby powszechną i skupiałaby te liczne zadania, jakie wskazaliśmy we wstępie niniejszéj pracy. Stosunek wzajemny obu władz winien być taki, aby obie przedstawiały samodzielne organa samorządu, ale aby obie stały w stosunku hierarchicznym, to jest iżby władza niższa była podporządkowaną wyższéj w sprawach administracyi publicznéj. Przez to właśnie główna waga samorządu spoczywałaby w wyższéj jednostce administracyjnéj, która posiadając dość środków i zasobów mogłaby istotnie stać się podstawą nietylko społecznego, lecz razem i publicznego, a nawet politycznego życia.

Taka organizacya samorządu byłaby prostą fikcyą na podobieństwo dzisiejszego stanu, gdyby po za samorządem istniała zupełnie odrębna władza polityczna. W takim razie ta ostatnia wykonywałaby na prawdę zadania administracyjne, a samorząd grałby jedynie podrzędną rolę.

Przyjęcie zasady podwójnego stopnia w organizacyi samorządu i zniesienie dualizmu władz prowadzi za sobą jednolitość w organizacyi. Stosunek zarządu miejscowego do państwa nie pozwala wprawdzie na zupełną samodzielność jednostek samorządu w znaczeniu średniowiecznéj *immunitas*, władza samorządu czerpie swe źródło w publicznéj potrzebie, a więc musi być podporządkowaną władzy państwowéj, jako wyobrazicielki powszechnéj publicznego interesu i publicznych potrzeb. Władza wszelako państwowa nie jest odmiennéj jakiéjś natury i dla tego w organach gminy i samorządu uzyskuje miejscowy byt i miejscowe życie.

Poniekąd związek z jednolitością ma zasadę równomiernego rozkładu ciężarów publicznych, bez któréj żaden samorząd istniéć nie może, a przynajmniej nie może rozwijać się i pożądanych wydawać owoców. Przywileje wyłączne dopóty nie są przeszkodą samorządu, dopóki opiérają się na naturze stosunków; i dla tego zwykle przywilej w początkach swego istnienia mniéj razi, gdyż wynika przeważnie z chwilowéj potrzeby i przez to mniéj narusza uczucie sprawiedliwości. Wyjątkowe stanowisko w gminie jakkolwiek téż nie da się na zawsze utrwalić, to jednak ani nie razi, ani nie wywołuje trudności, kiedy nierówność rozkładu ciężarów staje się przyczyną wielkich nieporozumień i wielkich szkód dla samorządu: ale bo téż wyjątkowe stanowisko często odpowiada wyjątkowemu położeniu majątkowemu i wyjątkowemu społecznemu stanowisku, kiedy uwolnienie od pewnych obowiązków nie da się niczém usprawiedliwić.

Przez ześrodkowanie wszelkich funkcyj publicznych w jednolitéj władzy powierzonéj organom samorządu, zarówno jak przez utworzenie dwóch stopni w tychże organach, daje się sposobność zastosowania zakresu władz niższych do stanu i stosunków miejscowego bytu. Jakkolwiek dążeniem dobréj organizacyi gminnéj być musi utworzenie jednostek dość silnych do spełniania zadań publicznych, to przecież należy uwzględniać różnice wynikające z natury rzeczy. Wielkie miasta, będące ogniskami nauk, przemysłu i handlu, w których ześrodkowuje się życie całych okolic kraju, mają prawo do zupełnéj samodzielności i do zakresu działania przyznawanego instytucyom wyższym samorządu. Organizacya takich miast z czasem oprze się niezawodnie na czynnikach składowych społeczeństwa, zanim jednak lepsza organizacya społeczna umożliwi zaprowadzenie organicznego związku różnych żywiołów miejskiego życia, tymczasem dla zachowania harmonii najbardziéj zdaje się odpowiadać zastosowanie równych praw dla wszystkich na podstawie umiarkowanego cenzu wyborczego. Ponieważ reprezentacya musi być dość liczną, aby każdy odcień stosunków mógł w niéj znaléźć swój wyraz, przeto powinny być zaprowadzone okręgi wyborcze terytoryalne. Władza wykonawcza powierzonąby została stałym organom (magistratom), któreby w składzie swoim objęły urzędników stałych i wybieralnych, czyli członków wydziału miejskiego.

Wszelkie inne gminy nie będące centrami ruchu umysłowego nie mogą rościć prawa do zakresu wyższych jednostek samorządu. Należy jednak pomiędzy niemi odróżnić gminy o rozwiniętym przemyśle lub handlu, które mając nieco ścieśniony zakres działania zachowują organizacyą taką samę jaką posiadają większe miasta; kiedy gminy przeważnie rolnicze będą miały organizacyą zastosowaną

do składu społeczeństwa na wsi. Tu więc da się zachować pewne wyłączne stanowisko dla większych posiadaczy, a obok głosów wirylnych reprezentacya miejscowa nie potrzebuje być liczną, i nawet lepiéj jeśli nie zużywa zbyt wiele sił na zaspokojenie mniéj rozwiniętych czynności administracyjnych. Z tego samego powodu zarząd może spoczywać w ręku samych wybranych reprezentantów.

Poniżéj téj organizacyi gminnéj pozostanie zawsze jeszcze miejsce na najniższe jednostki miejscowego życia, gdzie już prawie organizacya okaże się zbyteczną, i gdzie ogólne zebranie całéj gromady wioskowéj zadość uczyni potrzebom publicznym, a przewodniczący zebraniu pozostanie wybranym organem wykonawczym, działającym jednak nie samodzielnie, ale mającym wykonywać zlecenia wyższéj gminnéj władzy.

Reforma całkowita stosunków gminnych nie zależy jednak wyłącznie od sejmu krajowego. Zmiana systemu dualistycznego władz może być osiągnięta dopiéro w radzie państwa, podobnie jak ustawa o swojszczyźnie, mająca styczność z organizacyą pomocy dla biednych. W danéj téż chwili nie możnaby tak łatwo doprowadzić do stanowczych zmian. Z drugiéj strony stan obecny przedstawia tak wielkie niedogodności, że niepodobna pozostawić kraju w zupełnym bezrządzie i bez żadnego ratunku. Jeżeli jednak społeczeństwo ze świadomością celów przystąpi do zaradzenia złemu, można nie przesądzając jeszcze stanowczo o ostateczném uregulowaniu stosunków i teraz osiągnąć naprawę położenia rzeczy, przez zastosowanie niektórych reform, które dadzą się przeprowadzić w sejmie krajowym, gdyż dotyczą stosunków podległych ustawodastwu krajowemu, a znakomicie przyczynić się winny do naprawy tego, co w naszéj organizacyi gminnéj sprowadza największe rozprzężenie.

W tym duchu należałoby przedewszystkiém znieść obszary dworskie to jest wcielić je do gmin. Takie połączenie *pur et simple* jednego obszaru z jedną gminą nie wywołuje tylu przeciwieństw, gdyż właściciele obszaru posiadają tyle środków oddziaływania we własnéj wiosce, że połączenie nie wywołałoby trudności w wykonaniu. Gmina jako właścicielka majątku wspólnego włościan nie przestałaby i nadal nim zarządzać, na rzecz tych do których majątek należy. Natomiast obszar dworski stanąłby na równi z innemi do ponoszenia ciężarów publicznych, a tém samém zyskałby wpływ i znaczenie w gminie, jakie ma każdy, który jest interesowany w pewnéj sprawie. Zapewnienie większemu majątkowi udziału w reprezentacyi gminy nie sprzeciwia się idei równości, i możnaby pozostawić zasadę jaką już zna §. 16. naszéj obecnéj ustawy gminnéj, który zapewnia głos wirylny w gminie osobom płacącym $1/6$ podatków bezpośrednich.

w obrębie gminy pobieranych. Natomiast zrównanie prawne obowiązków wszystkich gminy mieszkańców byłoby znakomitym postępem w rozwoju naszych stosunków prawnych i politycznych.

Zrównanie to ułatwiłoby dalsze zmiany, gdyż odjęłoby każdéj dalszéj reformie znaczną część przeszkód, jakie dziś stawiają różne osobiste względy i interesa. Do gminy wprowadzoneby zostały wszystkie żywioły wiejskie, zyskałaby zatém gmina udział inteligencyi wiejskiéj i znacznych zasobów materyalnych jakiemi rozporządza większa własność. Na teraz gminie takiéj możnaby pozostawić wykonywanie zleceń władz wyższych, a więc cały tak zwany u nas poruczony zakres działania, oraz zarząd majątkiem gminy i zakładami, jakie gmina utrzymywać będzie, nie licząc rozumié się zarządu majątkiem gromady wioskowéj, któryby również przy gminie pozostał. Wykonywanie tego zakresu powierzonémby być mogło jak dziś wójtowi i dwom przysiężnym, pod kontrolą rady gminnéj. Zarząd majątkiem gromadzkim sprawowałby także wójt, ale pod kontrolą walnego zgromadzenia całéj gromady.

Do wykonywania tych prostych funkcyj gospodarczych i do dawania pomocy w administracyi publicznéj, siły téj nowéj złączonéj i jednolitéj gminy byłyby wystarczające. Ale na tém poprzestać nie można. Administracya publiczna przedstawia wiele zadań, które domagają się usilnie wykonania, i na obecnym zastoju cierpi dobro powszechne. Nowa gmina wioskowa wprawdzie zdwojoną będzie miała siłę, ale będzie zawsze za szczupłą i za wątłą do pojmowania wyższych celów administracyi publicznéj. Jedynie gminy miejskie, które i ludność mają liczniejszą i więcéj posiadają warunków dobrego zarządu, mogą dziś nawet spełniać zadania przez ustawę im powierzone; ale po za niemi można osiągnąć lepszy zarząd dopiéro tworząc dla specyalnych celów zbiorowe organizmy. Takich zadań na teraz nastręczają stosunki nasze cztery: organizacya spraw oświaty, zdrowia, dróg i biednych, a w niektórych miejscach mogą tu jeszcze być zaliczone sprawy regulacyi wód spławnych lub niespławnych i t. p. związki, oparte na stosunkach gospodarczych i na potrzebach kultury krajowej.

Najbardziéj obecnie uczuwać się daje brak policyi, i gmina dzisiejsza szczególniéj okazała się nieodpowiednią do wykonywania zadań policyi. Tu więc okaże się największa korzyść utworzenia specyalnéj organizacyi, któraby na podobieństwo organizacyi pruskiéj urzędów powiatowych przejąć mogła zadania policyjne naszych gmin i obszarów. Taki okręg policyjny gminny z organizacyą autonomiczną mógłby stać się silną rękojmią energicznego i sprężystego działania, mógłby przyuczyć ludność do poznania zalet i korzyści

wynikających z karności, dałby jéj ocenić wysokie zadanie policyi w społeczeństwie i na podstawie porządku i bezpieczeństwa dałby używać owoców dobrobytu i kultury. Taka policyjna gmina mogłaby stać się początkiem organizacyi szerszéj, gdyż zadania policyjne są rozliczne i wielorakie, a ztąd najłatwiéj urzędom autonomicznym tego rodzaju przetwarzać się na instytucye ogólne miejscowego zarządu. Potrzeba tylko, aby obowiązki policyi były rozumiane w całéj rozciągłości, a organizacya gminy policyjnéj dawała dostateczny wpływ żywiołom miejscowym na sprawy bieżące i na wykonanie.

Powołanie do życia specyalnych gmin nie jest ideą nową w naszém publicznéni życiu. Ustawy o szkołach ludowych utworzyły gminę szkolną, a w projektach okręgów gminnych i drogowych, oraz służby zdrowia, które już kilkakrotnie pojawiały się w sejmie, chciano urzeczywistnić organizacyą policyjnych zadań miejscowych i potrzeb zdrowia oraz komunikacyi. Sprawa drogowa prędzéj lub późniéj w ten sposób załatwianą być musi; a organizacya służby zdrowia coraz natarczywiéj domaga się załatwienia, nietylko z samych względów zdrowia publicznego, ale także z powodu kosztów leczenia, które po przeniesieniu ich na kraj nader szybko rosną i grożą zachwianiem równowagi budżetów krajowych.

Każdy krok na téj drodze jest wielką zdobyczą dla zwolenników reformy, urzeczywistnienie jednak stanowcze nowéj administracyjnéj organizacyi kraju, mianowicie zaś zorganizowanie niższych jednostek administracyjnych, zależy w pierwszym rzędzie od przejęcia się społeczeństwa zasadami zupełnéj dla wszystkich równości praw i obowiązków. Dopiéro idea równomiernego z majątkiem rozkładu wszystkich miejscowych ciężarów publicznych zdolną jest natchnąć nowém życiem nasze społeczeństwo i stanie się organiczną siłą reformy gminnéj. Równomierny rozkład ciężarów publicznych, zdaniem naszém, winien być główném hasłem reformy, ponieważ jest kardynalnym warunkiem ulepszenia naszych stosunków społecznych, administracyjnych a nawet politycznych.

Józef Kleczyński.

WSPOMNIENIA I ZARYSY

ALBANII.

Preweza 5 Sierpnia r. b.

Przed ostatecznem pożegnaniem gościnnéj Albanii, w któréj przepędziłem najprzyjemniéj całe prawie ubiegłe półrocze, kąpiąc się w powietrzu ożywczém jéj gajów i gór, jéj wybrzeży morskich, wypada mi przywołać na pamięć rozproszone wrażenia; skupić w całość jakąś oderwane fakta: by się tém, niby wiązką mych wspomnień z wami następnie podzielić.

Zebrałoby się tego przecie na wiązkę zbyt sporą, aż na zbyt może obfitą, by można tu było, mimo żywéj podniety, jaką stanowi niezaprzeczona świeżość przedmiotu, roztoczyć treść onego w należytéj pełni. Z konieczności tedy muszę się ograniczyć w jak najściślejszym zakresie, podając to mianowicie, co jest u nas mniéj znaném a zarazem drga tętnem nieugaszonego, odnawiającego się nieustannie życia; muszę poprzestać na faktach, przyświadczających życiowemu wytężeniu chwili obecnéj, przygotowanemu tu ciągiem całych wieków poprzedniego uderzająco oryginalnego życia narodu i społeczeństwa.

Mniejsza, iż natura kraju jest tak wspaniałą w ogólnym charakterze, tak pełną przepychu w niezrównaném urozmaiceniu, w najżywszych kontrastach na każdym kroku;—jest bogatszą od helweckiéj o całą swą roślinność południową, o wybrzeża dwóch mórz błękitnych, uroczych. Mniejsza o związane z tą imponującą naturą Albanii najstarsze mityczne legendy świata klasycznego, korzącego się na wspomnienie straszliwego jéj Acherontu; szukającego wskazówek życia w zagadkowych odpowiedziach, osłoniętéj koronami przedwiecznego dębu, wyroczni w Dodonie. Pominąć to musimy! Pominiemy również całą przeszłość historyczną niezmiennego w swéj istocie, wśród tylu doznanych przeobrażeń ludu téj krainy.

Wreszcie pocóż by jéj bliżéj dotykać?

Lud ten staje i dziś w obliczu cywilizowanéj Europy w takiéj postaci przedwiecznéj, pierwotnéj, jak gdyby przebyte dwa tysiące lat z górą nie istniały wcale w jego dziejach wewnętrznych!

Natomiast, najwyższego znaczenia nabiéra w obecnéj dobie właśnie ściślejsze określenie cech charakterystycznych jego wewnętrznego życia.

Ostatni to podobno lud, odkryty przez cywilizacyą i dla cywilizacyi, w ciągu bieżącego wieku, na południowo-wschodnim krańcu Europy; ostatni, po Serbach i Bulgarach, zagarnięty w zakres naukowy etnologii; bo téż ostatni, który tam z kolei po innych upomniał się w głos o przyznanie mu przez areopag Europy odrębnych praw jego narodowych.

W odwet za to poznanie jego bliższe, nieskończenie więcéj niż wcześniejsze zbadanie języka i etnicznego charakteru jego sąsiadów—ludów i nie tyle starożytnych i lepiéj już znanych—przyczyni się do rozszerzenia i ugruntowania posad narodo-znawczéj wiedzy naszéj. Nietylko bowiem język Albanów, bardziéj naukowie zbadany, otworzy najniewątpliwiéj pod względem lingwistycznym nie mniéj szerokie od litewszczyzny wierzeje ku sanskrytowi i pierwocinom aryjskim w ogóle; lecz co więcéj, z drugiéj strony, pod względem socyologicznym i archeologicznym, obeznanie się głębsze z tym narodem poprowadzi do tyle pożądanego rozjaśnienia przed-helleńskiéj, pelazgickiéj epoki świata klasycznego.

Istotnie, nauka, jakby od niechcenia tylko zwracająca dotąd uwagę swą na Albanią, z nielicznym wyjątkiem nowszych uczonych, na których czele stoi wielce zasłużony Hahu, właściwy inicyator studyów albańskich, przyznała już ostatecznie, bez wahania, ten fakt zasadniczy, że dzisiejsi mieszkańcy tego kraju są najbezpośredniejszymi potomkami starożytnych Epirotów czy Illirów w ogóle, których znów rodowitość pelazgicka jest pewnikiem dziejów starożytnych. W potrzebie, stwierdziłyby to nawet fakta obecne a mało komu znane, jak np. ślady ludności o albańskiéj mowie po drodze Pelazgów z Małéj Azyi ku półwyspowi bałkańskiemu; na wyspie Samos u brzegów Anatolii; na głośnéj z bohatérstwa w czasie wojen za niepodległość Hellady, do dziś arnauckiéj, wśród Archipelagu, wysepce Hydrze; na wyżynach Attyki wreszcie. W ogóle nadto wypada przyjąć, iż w teraźniejszych Albańczykach skupiły się wszystkie te żywioły trako-illirskie, co nie chciały dać się pochłonąć wylewającym ku południowi, o świcie wieków średnich, niepowstrzymanym falom Słowiańszczyzny, szczególniéj zaś sąsiedni Illirom żywioł macedoński.

Nie zdołali wprawdzie Albańczycy uchronić się przemocy politycznéj Słowian; ulegali tak carom serbskim jak i bułgarskim; lecz w górach niedostępnych przechowali nietykalnie swój obyczaj stary i narodowość. Na zmianę obyczaju tego nie były téż w stanie bynajmniéj oddziałać i przemożne wpływy, współzawodniczące z jednéj strony Greków bizantyjskich, z drugiéj, Włochów (Wenecyan), chociaż bowiem ustaliły one różnice obrzędu religijnego, łacińskiego na północy, greckiego zaś na południu Albanii, różnica ta wszakże nie miała tu nigdy podobnie stanowczego znaczenia jak u innych ludów.

Myśmy, za naszemi Tatrami, zasłyszeli po raz pierwszy o dalekich Albańczykach już dawno, bardzo dawno temu: w dobie najpiękniejszéj i najwięcéj bohatérskiéj ich narodowego życia. Każdy się oczywiście domyśla, iż wskazujemy tu na czasy, kiedy wschodniéj chrześciańskiéj Europie przyszło wystąpić do śmiertelnych zapasów z wdzierającym się niepowstrzymanie w jéj wnętrza islamizmem, opowiadanym krzywą szablą turecką. Wszelkie wysilenia odosobnione ludów bałkańskich ku własnéj obronie prowadziły je do tém pewniejszéj zguby: po kosowem polu, już tylko większemi zbiorowemi siłami można było stawić czoło rozzuchwalonym ciągłém powodzeniem Ottomanom. Pamięci młodego Jagiełłowicza przynależy cześć, iż on pierwszy powołał zagrożone ludy do gromadnego społem wystąpienia przeciw pół-księżycowi, w sposób zaczepny. Jak owo powołanie było przyjętém, jakie były następstwa bitwy fatalnéj pod Warną powszechnie wiadomo! Wtedy to i Albańczycy chwycili za broń i nie złożyli jéj, jedni tylko, aż dopiéro, kiedy wśród rozpaczliwych wysileń, doprowadzeni zostali na prawdę do ostateczności. Znany ich bohatér Kastryotycz Jerzy, ze czcią przez samych wrogów Skander-begiem nazywany, był najwierniejszym sojusznikiem naszego nieszczęsnego bohatéra!

Potém, po upływie niespełna dwóch wieków, poznaliśmy tych zapomnianych sojuszników Warneńczyka nieco bliżéj i, na nieszczęście, w zupełnie nowéj już postaci, przodujących wszędy zastępom tureckim muzułmańskich Arnautów. W saméj rzeczy, gdy się w owych zastępach „rumelijskich Turków,“ z jakiemi musieli się zwierać nasi hetmanowie, po Wołoszy i Podolu, rozejrzy należyciéj, widzi się naocznie, iż mieliśmy tam do czynienia przeważniéj z prawowierną szlachtą słowiańską i albańską, z Bośniakami i Arnautami, przedewszystkiém skorszymi zawsze do wypraw od leniwiejących w dostatkach Osmanów. Nawet na wielko-wezyrowskim urzędzie w jasnym Stambule najgroźniejszymi naszymi przeciwnikami byli Albańczycy ze krwi, jak owa naprz. słynna rodzina Kiuprilich, z macedoń-

skiego Welesu, z którój ostatnim członkiem Kara-Mustafą przyszło się przecież zmierzyć, ze sławą, pod Wiedniem, Sobieskiemu.

Imię Skanderbega czczą wysoce wszyscy Albańczycy bez różnicy wyznań, noszą na jego pamiątkę zdobne opończe (jakuce) i sławią go w swych pieśniach wojennych, jako najdzielniejszego wodza i bohatéra narodu; ale od jego zejścia, ugięci pod przemocą islamu, przyjąwszy zwierzchnictwo Porty, stali się oni odtąd najpotężniejszą dźwignią jéj militarnéj w Europie przewagi, najwytrwalszą podporą następnie jéj sił omdlewających.

Uderzający to naprawdę fakt dziejowy i etniczny, nie dla tego, aby miał być wyjątkowym lub rzadkim nawet, sam przez się; lecz że przedstawia nam w sobie niespotykany gdzieindziéj stopień wytężenia uczucia danego narodu w dwóch tyle sprzecznych na pozór kierunkach, jak podtrzymywanie najognistsze swéj odrębności szczepowéj, z jednéj strony, z drugiéj zaś, poświęcenia się, niemal bez granic, widokom politycznym obcego szczepu i społeczeństwa. Oczywiście muszą istniéć głębsze przyczyny podobnego faktu. Tłómaczyć go zwykłém uniesieniem nowonawróconych byłoby już dziś niewcześnie; strona religijna najmniejsze ma tu znaczenie. Gdy się zaś rzeczom przyjrzy bliżéj, dostrzeżemy łatwo, iż mają tu wagę bardziéj stanowczą: najprzód niepowściągnięta wojowniczość i niesłychany konserwatyzm samych Albańczyków, a potém wspaniałomyślnie mądra polityka Ottomanów w czasie obalającéj wszystko pod stopy ich potęgi. Byle tylko bowiem przewodnicząca klasa podbitego przez Turków narodu przyjęła islam, zostawiali oni mu najzupełniejszy samorząd i nie wdawali się wcale w sprawy onego społeczne, nie dotykali wcale jego starych obyczajów. W ten sposób przywiązali ku sobie nierozerwalnemi (aż do ostatniéj chwili) węzły Bośniaków; w ten że sposób przywiązali i Arnautów. Tych ostatnich zaś o tyle silniéj od pierwszych, o ile nieustannemi wojnami dawali pożądaną strawę ich nienasyconéj namiętności rycerskiéj, łącznie z żywą ciągle podniętą ambicyi naczelników ich klanów. Trzeba téż bowiem zawsze pilnie wyróżniać istotę węzłów moralnych z Portą i chalifatem dwóch tych sąsiednich i przyjaznych wzajem w islamie ludów. Bośniak to Słowianin, o wspólnéj jego całemu szczepowi wrażliwości niewieściéj dla wszelkiéj obcéj idei, nowéj a poetycznéj; dał się on unieść naprawdę ideałom nauki arabskiego proroka, poślubił ją szczerze. Arnauta, nieunużony zachowawca, pozbawiony jakby zupełnie wyższego zmysłu poetyczno-religijnego, upatrywał w prawowierności jedynie środek dla swych widoków rodowych i osobi-

stych; gotów on na wszystko, byle mu tylko w jego górach rodzinnych żyć było wolno podług obyczaju przodków.

Tyle więc własnéj rzutkości i wytrwaniu, ile szerokiéj swobodzie pod azyatycko-muzułmańskim namiotem federacyjnego Ottomanów systematu rządu, zawdzięczają Albańczycy, iż mogli przechować nietykalnie odziedziczony od wieków obyczaj narodowy, mogli ochronić od zaguby szczepową swą odrębność. Tragi-komedya „tanżymatu“ osławionych tureckich reform, zastosowana ostatniemi czasy również i do nich, nic zdołała jeszcze właściwie nic a nic staréj ich samoistności nadwerężyć. Dziś tedy, jak przed wieki, przedstawia się nam téż i kraj ich cały, jako zamknięty w sobie świat osobny, nietylko w gronie cywilizowanych i mniéj cywilizowanych społeczeństw europejskich, lecz nawet w obliczu bliższéj im, pod wielu względami, barbaryi tureckiéj, muzułmańskiéj.

Przez „Albanią“ rozumié się pospolicie kraina Bałkańskiego półwyspu, stanowiąca pewną geograficzną całość, zawartą w postaci podłużnego czworoboku, pomiędzy morzem Adryatyckiém i Jońskiém a łańcuchem Pindu i onego przedłużeniem ku północy aż ku wyżynom Szar-dahu, od zachodu na wschód; oraz, pomiędzy portem Barn (Antivari), Skadarskiém jeziorem i szczytem Kommu, od północy a zatoką Ambracką (Arty) od południa. Albańczycy zaś sami obejmują jednak pod tą nazwą i okręgi przez nich zamieszkane, po za tą kresą ku północno-wschodowi bardziéj leżące, jak Kosowe pole w Rascyi (staréj Serbii) i wierzchowiska Wardaru ku Bitolii (Monastyrowi) w Macedonii. Turcy również nazwie „Arnautłyk“ (Albańszczyzna) szersze znaczenie nadają.

Nazwa ta wszakże „Albanii“ jest obcą i ludowi samemu ledwie znaną, przynajmniéj nieużywaną przezeń nigdy. Powstała ona w wiekach średnich i oczywiście w ustach italskich najprzód sąsiadów od niewielkiego okręgu nadbrzeżnego, noszącego oddawna (Ptolom.) to miano. Bizantyjscy Grecy wytworzyli z niéj, w swéj wymowie, formę „Arvania,“ a dla ludu „Arvanita“; zkąd potém powstały tureckie przezwy „Arnaut,“ i „Arnautłyk,“ powszechniéj dziś na miejscu używane. Lecz sam lud albański zwie się w swéj mowie jedynie „Szkypetar,“ kraj zaś własny nazywa jedynie „Szkyperi“, „Szkypeni“. Dumne to nazwy nieznmiernie, który mógł przybrać tylko tak namiętnie wojowniczy góral, jakim jest Albańczyk. Znaczą one w języku jego: „syn orli“ i „kraina orląt“, od wyrazu „szkypé“ orzeł. Młodziutka zaś erudycya albańska (nieuśmiechajmy się, nie zawsze tak junaczo niewybredna, jak w niedawnych manifestach) odnosi ich początek z Plutarchem w ręku, aż ku czasom pierwowzoru wszelkiego później wodza Arnautów, głośnego w starożytności

Pyrrusa, króla Epiru. Przypomina ona z tego powodu, że gdy raz wojownicy tego króla, w uniesieniu nad jego śmiałością i bystrością militarnych obrotów, przyrównali go do orła, Pyrrus w odwet ich samych nazwał skrzydły orlemi. Nad miano też „Szkypetar“ nie chce butny Albańczyk znać żadnego innego i odpłaca większą uprzejmością, jeśli cudzoziemiec obcą mową nawet doń przemawiający tém właśnie mianem narodowém go uczci.

Przy téj powszechnéj, jednéj jedynéj nazwie narodowéj, nie stanowią przecie Albańczycy jednolitego narodu; od niepamiętnych wieków rozszczepieni oni zostają na dwa gówne konary od północy Gegów i Tosków od południa. Dzieli ich rzeczka Szkumbi, stanowiąca zarazem linię, graniczną między Albanią wyższą czyli Gegaryą i niższą albo Toskaryą. Albania niższa to starożytny Epiri wyższa zaś dawna Illirya południowa (graeca), gdy północną (barbara) całą Słowianie, Serbowie z Horwatami, posiedli. Do tego geograficznego i etnicznego podziału, któremu towarzyszyło wyróżnienie historyczne i kulturowe nawet, zastosowywali się i Turcy, tworząc w Albanii od samego początku dwa odrębne wielkorządztwa (wilajety), skadarskie i janińskie. Przyczém uwzględniała niemniéj Porta i sam podział przedwieczny dwóch tych głównych gałęzi skipetarskich na wieloliczne klasy, pokolenia i rody. Mimo wszystko, zawsze to tylko jeden naród, przedstawiający w sobie samym, w sposób wyjątkowy, cały szczep odosobniony.

Pod opieką turecką przekroczyli muzułmańscy Arnauci (Gegowie) naturalne granice Albanii od wschodu i północy, gdzie posunęli się aż po za kresę wododziału ojczystego Drinu i dorzecza dunajskiéj Morawy, zajmując gniazdowo-serbskie obszary Rascyi; osobliwie od czasu, gdy po nieszczęśliwych wojnach austro-tureckich, pod koniec wieku XVII, znaczna część jéj słowiańskich mieszkańców wyniosła się do południowych Węgier, Toskowie zaś ze swéj strony, puszczając się po wschodniéj pochyłości Pindu szerzyli się po Tessalii i daléj jeszcze. Lecz, naszém zdaniem, byłoby wielce błędném twierdzenie, że wszyscy zamieszkali dziś w Rascyi i Macedonii Skipetarowie są tam przybyszami z późniejszéj epoki. Owszem, znaczniejsza ich część może pochodzić od autochtonów, których wylew słowiański nie zdołał pochłonąć, niceby temu bowiem nie przeczyły znane powszechnie fakta, iż Rasa (Nowy-Bazar) była kolebką serbskiego carstwa, a Ochryda stolicą patryarchatu bółgarskiego.

Rozgałęzienie się jednoistnego pnia albańskiego we dwa konary, fakt, którego początek sięga niepamiętnych czasów, bodaj pierwotnego wyosobnienia Epirotów i właściwych Illirów, nie nadwerężało wprawdzie jedności narodowéj, jedności języka (tylko na dwa

narzecza rozdzielonego), oraz wspólności obyczaju i tradycyi; musiało wszakże z konieczności podsycać i nadal odmienność charakteru i usposobień skipetarskich ich następców, w dziedzinach wyższéj i niższéj Albanii. Wpływy zewnętrzne były tu również nie bez pewnego znaczenia. Gdy Toskowie, zawsze z Grekami więcéj związani, przyjęli obrządek ortodoksalny wschodni, Gegi natomiast zostali katolikami obrządku łacińskiego. Następnie, po zejściu Skanderbega, ciż rycerscy synowie Gegaryi, tłumniéj od swych południowych pobratymców poślubili islamizm.

Ale dajmy na to, iż w życiu wewnętrznem prawego Skipetara, zawsze barbarzyńskiego, zawsze mniéj ważącego wszelki obcy kult i kulturę, w obliczu świętości jego patryarchalnego obyczaju, nie tak wiele to jeszcze znaczyło w samym sposobie życia pobratymów, w ich rodowém grupowaniu się, utrzymała się wybitna różnica. Toska naprzykład, jak starożytny Epirota, żyje jedynie w trzech, rozpadających się na drobniejsze rody (fary), szeroko ramiennych pokoleniach. Owym Chaono, Tesprotom i Molosom starożytnego świata odpowiadają dziś Toskowie właściwi, Czami i Liapi, siedzący na ich popieliskach przedwiecznych. Geg zaś nie lubi się krępować, podobnie jak jego rozdrobieni na niewielkie żupy illirscy przodkowie, ściślejszemi węzły szerszych pokoleń i trzyma się uporczywie starego trybu życia w licznych odosobnionych klanach i rodach. W Gegaryi obecnéj tyleż prawie klanów co w starożytności, choć już nazwy ich odmienne: dawnym Ballai, Nesti, Manli, Euchelei, Taulenti, Antoriates, Ardoci itd. odpowiadają dziś Hoti, Klemendi, Kastrati, Mirdita, Mertur, Krasnik, Temal oraz inne większe i pomniejsze rody junaczych górskich „olbrzymów“, gdyż miano Geg od „gigas“ (olbrzym) idzie. Nie potrzebujemy téż zbyt nastawać, że przy takiém rozróżnieniu plemion górnéj i dolnéj Albanii, datującém od niepamiętnych czasów, nie mogło się obejść bez współzawodnictwa a nawet pewnéj antagonii ich wzajemnéj. W prawdzie dzisiejsi patryoci albańscy radziby znane fakta z przeszłości, świadczące antagonii takowéj, przypisać nie plemiennéj niechęci wcale, lecz jedynie współzawodnictwu ambicyi osobistéj przywódzców, przez swe plemiona mniéj świadomie popieranych; my przecie, nie myśląc bynajmniéj obrażać ich drażliwości pod tym względem, chcielibyśmy wskazać tylko na owę nawet nieufność pewną bejów słabszéj Toskaryi ku „Lidze albańskiéj“ silniejszych Gegów w obecnéj chwili wątpliwego ważenia się.

Za to w chwilach prawdziwie wielkich życia narodowego, w obliczu groźnych niebezpieczeństw, milkły naprawdę niechęci i zawiści rodów, pokoleń i plemion, i naczelnicy takowych, zapo-

minając o swarach, zawiązywali między sobą ligę, unią, konfederacyą (w polskiém znaczeniu tego wyrazu), stając dzielnie pod chorągwią wybranego w swém kole rycerskiém naczelnego wodza. Taką chwilą wielką i bardziéj pamiętną nad inne była rozpaczliwa walka ze straszliwą przemocą turecką o niepodległość narodu, w pierwszéj połowie XV wieku; takim wodzem naczelnym ówczesnéj ligi albańskiéj był głośny Skanderbeg-Kastrioti. To nie książę jaki Albanii, to skromny pan mocnéj dziedzicznéj kroi, bardziéj tylko od innych bohatérski, przy którym stają, na śmierć na życie, Lek książę Dukaginu, Arianit pan na Wallonie, Bozdar zwierzchnik Arty i Janiny, Mozes naczelnik Débry, daléj Topija, Stresija, Kuka, Szpata, Urana, Angeli i inni przeróżni przywódcy dziedziczni klanów skipetarskich. Podobnąż jednomyślność spotykamy i późniéj, prawie bez wyjątku, gdy chodzi o obronę ojczystéj Skiperyi, o rozprawę z sąsiednim innoplemieńcem, lub gdy sułtan a chalif odwoła się do doświadczonego męztwa górali, jeśli całemu jego państwu niebezpieczeństwo grozi jak naprzykład w wojnie ostatniéj.

Z niepospolitą téż przezornością umieli Turcy, zostawszy panami Albanii, przywiązać ku swéj zwierzchniéj władzy jéj bitnych, a namiętnie rozmiłowanych w swych górach ojczystych mieszkańców; umieli wyzyskać w swych widokach ich tyle wojownicze, ile patryarchalno-konserwatywne usposobienia. Tém zaś skuteczniéj, że z głębszą polityką szła tu w parze i szczera naprawdę wspaniałomyślność. Skoro bowiem tylko dostateczna dla rękojmi politycznéj ilość znakomitszych rodów doprowadzoną została, wolą niewolą, do przyjęcia islamizmu, zostawiła Porta całemu narodowi (nie wyjmując klanów, co wytrwały niezachwianie przy krzyżu św.), jego stary w mało zmienionéj postaci samorząd.

Nie należy wszelako spuszczać z uwagi i téj okoliczności, że do utrzymania i utrwalenia podobnego stanu rzeczy przyczynił się, oprócz szczególnych warunków lokalnych, jeszcze wyjątkowy nastrój umysłu samych Albańczyków. Odmienność wiary nie rozprzęgała wśród nich węzłów rodowych, powszechny zaś duch wojenny narodu nie dozwalał i chrześcianom, tak ortodoksom jak katolikom składać broni, którą téż w odwet gotowi byli, łącznie z bracią muzułmańską, użyć wszędy w potrzebie własnego kraju i na zawezwanie namiestników padyszacha... Pomiędzy chrześcianami i muzułmanami nigdy tu, jak u innych ludów w takowém że położeniu (w Bosni naprz.) stanowczego rozbratu nie zaszło; ci ostatni nigdy nie zdołali się wydźwignąć na jedyną klasę rycerską i panującą. Baszowie albańscy otoczeni byli zawsze zarówno naczelnikami wojennymi jednéj i drugiéj wiary. W górach nakoniec klany chrześciańskie uży-

wały praw i przywilejów, które ich stawiły niemal na równéj stopie z muzułmańskimi współplemiennikami.

W taki sposób Albania, aż do roku 30 bieżącego stólecia, zostawała wyłącznie pod zarządem swych naczelników narodowych w obydwóch dzielnicach zarówno. Tak w wyższéj jak w niższéj Albanii każde miasto znaczniejsze miało swego baszę, lub bega, dziedziczącego władzę po swych przodkach, w jakiéj go zatwierdzała zwykle wysoka Porta, uświęcając stary obyczaj. Wszyscy pomniejsi baszowie, begowie i naczelnicy górskich klanów Gegaryi stali pod chorągwią i zwierzchnictwem baszy skadarskiego; jak w Toskaryi pod rozkazami baszy z Janiny. Obaj ci baszowie zwierzchniczy, ze Skadaru (Szkodry, Skutar) i janiński, wyglądali tedy bardziéj na wielkich lenników Porty niż na jéj wielkorządców.

Przy przezorném nadto uwzględnianiu wkorzenionego od wieków w narodzie obyczaju, stan Albanii, aż do wyżéj wskazanéj epoki, miał być pomyślnym wcale, świetnym nawet. Mielibyśmy prawo powątpiewać mocno o tém, gdybyśmy to słyszeli z ust jakiego zubożałego bega lub w ogóle muzułmanów, czcicieli starych dobrych czasów janczarskich; ale nie,—sąd to powszechny gorliwych patryotów chrześcian, ludzi europejskiego wychowania, pragnących postępu dla swego kraju i narodu (Wassy-eff. między innymi). Otóż, podług ich twierdzenia, Albania w owéj epoce była bogatą i szczęśliwą! Siła jéj wojenna była straszliwą grozą dla sąsiadów, potężnym środkiem dla Porty. Gdy bowiem najznaczniejsze z ówczesnych mocarstw mogły się były zdobyć zaledwie na jakie sto tysięcy zbrojnych, w ostatecznéj potrzebie; jedni Arnauci wystawić byli w stanie, na pierwszy rozkaz sułtański, od 60 do 80 tysięcy najbitniejszego ludu. Potęga ottomańska w Europie na nich się opiérała przedewszystkiém; lecz zarówno, przy ich pomocy jedynie, władza turecka mogła, tak długo i okrutnie, ciężyć nad nieszczęsną chrześciańską Rumelią, mogła trzymać tak długo w jarzmie Greków i Bółgarów, dawnych panów Skiperyi!

Co więcéj, gdy kolumny, tyle groźnéj dotąd „Bab-ali“ (wysokiéj bramy, porty), w jasnym Stambule, zaczęły się chwiać u samych podstaw, wsparli je Arnauci ramionami swych najenergiczniejszych ludzi. Dość tu wskazać na imiona tylko takich wezyrów wielkich i ser-askierów, jak: Kiuprili Mehmed, Achmet, Lutfi, Synan, Bajraktar Mustafa i inni baszowie.

Lecz wygląda zabawném prawie, gdy ciż sami patryoci postępowi usiłują dziś wmówić w siebie, iż pierwiastek albański w ogóle, wierny swym zasadom narodowym, swym tradycyom i obyczajom, odznaczał się zawsze swą wiernością podyszachowi oraz idei jedno-

ści państwa Ottomanów. Rozumiemy dostatecznie powody podobnego twierdzenia w chwili bieżącéj; ale tém nie mniéj nie możemy zamknąć oczu na całą onego przesadę. Przyjrzawszy się rzeczom bliżéj, widzimy, iż w muzułmańskim obozie nawet nie wszyscy ludzie ambitni a wyżéj uzdolnieni szukali pola dla swéj działalności w stołecznym Carogrodzie: nie jeden z nich był bardziéj Arnautą jak islamitą i, marząc o wyniesieniu osobistém we własnéj ojczyznie, zmierzał do zapewnienia jéj szerszéj jeszcze antonomii. Nie potrzebebujemy sięgać głębiéj po za czasy obecnego stólecia, by to unaocznić. Któż nie przypomina sobie tyle rozgłośnego w początku naszego wieku satrapy, Alego Tepeleni, baszy Janiny, przed którym drżał Stambuł, nim się go (1822 r.) zdradą nie pozbył. Był to prawdziwy naczelnik plemienny dolnéj Albanii, otoczony na równi muzułmańskimi jak chrześciańskimi przywódzcami jéj rodów—prawdziwy, powtarzamy, mimo jego despotyzmu i samolubnych widoków. Podobnym doń zupełnie naczelnikiem plemiennym był współzawodnik jego Mustafa Buszatli, basza skadarski, który wystąpił niebawem w górnéj Albanii; łącznie z Bośniakami, grożąc zagubą pierwszemu odważającemu się na reformy sułtanowi. Rozumiemy tu Machmuda II, który (1826 r.) wytępił janczarów i postanowił zbliżyć się ile można ku wzorom europejskiego porządku. Naprawdę smutny los czekał śmiałego chalifa reformatora, gdyby nie moralne przeciwieństwo narodowe sojuszników, z równą zapamiętałością występujących w obronie wystawionego niby na niebezpieczeństwo starego prawowiernego obyczaju. Kiedy bowiem rycerski Hussein aga ze swymi Bośniakami walczył szczerze o religijno-konserwatywną zasadę przedewszystkiém, Mustafa ze swymi Arnautami ścigał marę własnych widoków politycznych. Obaj tedy musieli (1831) ustąpić z pola przed tryumfującym „nizamem“.

Ze swéj zaś strony, chrześcianie albańscy, obojga obrządków, mniéj jeszcze oczywiście od swéj braci muzułmańskiéj, mogą być pomawiani, jeśli nam wolno użyć tego wyrazu, o jakąś szczególną wierność dla wysokiéj Porty: katolicy Gegaryi pilnują nadewszystko, aż do Prenka, obecnego książęcia dzielnych Mirdytów, nietykalności klanowych swych przywilejów; a cóż rzec o ortodoksalnych Toskach! Wiadomo powszechnie, nie mówiąc już o bohatérskich Suliotach, jaką to rolę odegrywali w walce o niepodległość helleńską, wychowani w szkole Alego z Tepelenu, „kapetanowie“ albańscy, jak: Bocaris, Karaiskaki, Czavella, Miaulis, Bulgaris i wielu innych! Kto zna dobrze żywioły, jakie podsycały przemożniéj owę pamiętną walkę, wié też dowodnie, co należy rozumiéć tam pod nazwą Greków — nie narodowość, lecz wyznanie; wié niemniéj, że nawet owi głośni

z morskich nad Turkami przewag, wyspiarze Archipelagu, Hydryoci i Specyoci, i to były, jak są do dziś, pokolenia skipetarskie.

Cóż powiedzieć pod tym względem o czasach późniejszych, o czasach obecnych?!

Zmiana starego systematu rządowego potomków Osmana, któréj towarzyszyły wszystkie owe tyle osławione hatty-humajuny, tanzimaty i wszelkie inne reform „alla franca“ zapowiedzie, rozciągnięta z kolei i do Albanii, sprowadziła tu za sobą najpowszechniejszy, jak należało się spodziewać, zamęt. Miejsce, opartego na warunkach miejscowych, dawnego trybu zarządu, z jakim się już zżyło w ciągu kilku wieków, zastąpiło nie jakieś stanowcze przeobrażenie zasadnicze, lecz powódź zmieniających się z dniem każdym eksperymentów „in anima vili.“ Co lat parę, to nowy podział wilajetów (wielkorządstw), bezwzględu na wszelkie wymagania tradycyjne i narodowościowe; co basza, to nowy system, stosownie do jego ukrytych osobistych usposobień; co basza, to nowy łupieżca! Baszowie zwierzchni, ludzie obcy, stambulczycy po większéj części, protegowani „seraju;“ nic ich z krajem moralnie nie wiąże, nie znają ani obyczajów, ani mowy powierzonego im pod zarząd ludu. Arnaucie Turek nie ufa: nie widać, jak dawniéj, cnych synów Skiperyi, ani na wysokich stanowiskach administracyjnych, ni téż wojskowych. Skutkiem niepewności powszechnéj stosunków ogólnych i miejscowych oraz bezdusznego wyzyskiwania przez innoplemieńców, kraj ubożeje, same źródła jego uprzedniego dobrobytu wysychają, zamiera (dość ożywiony nawet) przemysł dawny. Co zaś drażliwsza, wśród smutnego podupadnięcia całego kraju, muzułmańska ludność właśnie, przyzwyczajona uważać się dotąd za dominującą, uczuła się najbardziéj dotkniętą tak zwanymi, jakby na szyderstwo, nowymi porządkami. Częste wojny ostatnich czasów na wszystkich krańcach cesarstwa, ją najbardziéj, skorą zawsze do broni, dziesiątkowały, rzucając rodziny poległych na pastwę nędzy. Przy wzmagającém się zaś ubóstwie oraz braku wszelkiéj dbałości ze strony rządu o podniesienie by najmniejsze prawdziwéj oświaty, nawet ów promień jakiéjś kultury patryarchalnéj, odziedziczonéj po przodkach a opartéj na pewnych cnotach pierwotnych, surowych, na poczuciu żywszém godności osobistéj, nadto podtrzymywanéj zasobnością domową, i ten począł przygasać.

Przyszła nakoniec ostatnia, zaledwie tylko co zakończona, wielka wojna wschodnia. Nie było czasu na niechęci ku nienawistnym effendyom stambulskim; nietylko ojcowizna sułtana, lecz i ojczysta Skiperya została zagrożoną! Nie słychać było odtąd w górach Albanii, jedno szczęk orężny: wszystkie powołania jéj wojenne stanęły ocho-

czo pod broń. Arnauci okryli się nową chwałą w téj wojnie: kto tam winien, winien; ale górski „syn orli“ bił się wszędy znakomicie i umiał ginąć po bohatérsku, u Jaworu, w Plewnie, pod Szypką. Wszakże ogólny wynik nierównych zapasów był i dla Albanii wielce niepomyślnym. Poraz pierwszy wypadło ustępować dokoła sąsiadom a przeciwnikom, po skrawku skipetarskiéj ziemi, wypadło oddać nieugiętym Czarnogórcom drogie Antivari i cofnąć się przed Serbami ze swych przednich stanowisk u Ibru i Morawy ku rodzimemu Drinowi; a nawet ledwie że nie przyszło dzielić się na krawędzi macedońskiéj z „potulnymi“ Bółgarami! Od południa zaś przemyślny Grek uwziął się był, wywodzeniem żalów i zaklęciami na cywilizacyą, a nie zbrojną rozprawą, urwać téż coś i z Epiru. Zewsząd nadto najdotkliwsze straty wszelakiego rodzaju już poniesione, albo co gorsza, w blizkim tuż widoku. Na domiar złego, sromotna perspektywa, dla najbitniejszych pokoleń granicznych, podobnéj jak Turków rumelijskich, migracyi z okolic przed wieki już przez nie zajmowanych.

Tyle nieszczęść naraz i jakby w odwet złowrogi za wysiłki najwyższych poświęceń, nie mogło nie wywołać głębokiego wstrząśnienia w całym kraju. Niepodobna było daléj oglądać się rezygnacyjnie li na rozkazy i wskazówki ze Stambułu i należało, po dawnemu, samym pomyśléć o sobie i wystąpić samorzutniéj. Żywa tradycya ludu wskazywała po temu środek jedyny: było nim zestrzelenie sił wszystkich klanów i pokoleń Albanii w postaci „ligi,“ w postaci związku konfederackiego naczelników tych klanów i pokoleń. Tém swobodniéj téż chwycono się środka owego, ile że polityka wysokiéj Porty miała tu własną rachubę i gotowa była podsycać do pewnego stopnia zamysły patryotyczne i ogniste zapędy Skipetarów. Płomień tedy, co wybuchnął najprzód, jak wypadało się spodziewać, na kończynach zagrożonéj najbliżéj muzułmańskiéj Gegaryi, od Kosowego pola i Pryzrendu, objął szybko niemal kraj cały. Zawrzał ruch istnie albański: nie zabrakło pomiędzy butnymi begami i na przedstawicielu krwi uwielbianego przez cały naród Skanderbega.

Ale mimo całe wytężenie energii Albańczyków, siła okoliczności okazała się mocniejszą od nich. Zrozumiano, z upokorzeniem w duszy, że zuchwalstwem byłoby wszelkie mierzenie się z areopagiem Europy, od chwili przyzwolenia na decyzye onego przez sułtana. Trzeba było i z Podgorycy się wynieść i czekać z założonemi rękami, choć ze zgrzytaniem zębów, kiedy tam z kolei Austryacy Nowy-bazar zajmą, usadowiwszy się na dobre w przyjacielskiéj Bośni. Z drugiéj znów strony, niewiele pomagało Toskom odgrażanie się, że niecchno obmierzli Jónani (Jończycy-Helleni) odważą się tylko

przestąpić granicę Epiru, wnet oni im stołeczne Ateny spalą. Nie trudna to wprawdzie rzecz dla braci arnauckiéj, ale Europa by na to nie pozwoliła. Mniéj jeszcze pomódz mogło popisywanie się, w znanych manifestach, przed przedstawicielami mocarstw, nieoczekiwaną po synach Skiperyi erudycyą, wywodzącą, oczywiście za niewczesnym podszeptem ze strony, takowéj między nimi a dziećmi Hellady różnicy, jaka istnieje między rasami brachio—i dolicho-cefalów. Wywołało to tylko ostry żart na ustach jednego z ich przyjaciół śród naszych tam ludzi: „no, popisaliż się begowie, jak prawdziwi a-cefale“! Uśmiechano się też nie pomału i na solenne zaręczenia manifestów tychże, największéj nadal powolności Arnautów dla wymagań cywilizacyi. Tymczasem od kombinacyi politycznéj mocarstw jedynie zależy przysądzenie Grekom Janiny i pożądanéj przez nich dzielnicy południowéj Albanii!

Nie brak też i pewnego uzasadnienia uroszczeniom Greków. Kogo by to ściśléj obchodziło, podamy mu, dla rozjaśnienia rzeczy, parę dat statystycznych, zebranych przez jednego z konsulów Prewezy, gdzie właśnie odbył się był pierwszy zjazd komisarzy granicznych.

Z jego wykazu, popartego i przez źródła urzędowe, widzimy, że:

W południowéj części Epiru, pożądanéj, na mocy wskazań kongresu berlińskiego, przez Grecyę, znajduje się nie więcéj nad 210 tysięcy mieszkańców, osiadłych w 650 wsiach; z których zaledwie 160, nad wybrzeżem morskiem od rzeczki Kalamos do Prewezy, są wyłącznie muzułmańskie; większość zaś ich przeważna zaludniona wyłącznie przez wyznańców obrządku ortodoksalnego. Co do języka tych mieszkańców: chociaż język grecki, (w zmieszaném z albańszczyzną narzeczu odrębném-epirockiém), nie jest mową wyłączną nawet i połowy wyżéj wskazanéj ogólnéj ilości (650) osad, bo używany tu nie wiele więcéj jak w 300 wsiach; ale też i język albański nie jest w tym pasie przeważającym. Mowy albańskiéj (w południowym narzeczu Tosków), używa tutaj ledwie 260 wsi, gdy 88 pozostałych mówi po włosku, idyomatem szczepu romańskiego, zbliżonym do języka naszych sąsiadów od Dniestru, Wołochów. Nadto w miastach główniejszych: Janinie, Arcie, Prewezie przeważa bezwarunkowo język Hellenów. Natomiast, pod względem własności ziemskiéj, trzeba mieć w pilnéj pamięci, że: na 1.630 wsi w Epirze w ogóle 1.500 takowych należy do muzułmanów, do zapamiętałych begów tyle ponętnéj Toskaryi.

Wszakże, mniéj lub więcéj uszczuplona w swych granicach Albania pozostanie i nadal w dotychczasowéj zawisłości od Porty,

pozostanie i nadal wystawioną na pastwę zmiennych co chwila eksperymentów politycznych doraźnych w Stambule sterników skołatanéj nawy ottomańskiéj; tracąc tymczasem, za lada zawieruchą, na byle jakim, choćby najbardziéj oddalonym krańcu cesarstwa powstałą, najpiękniejszy kwiat swéj muzułmańskiéj młodzieży.

Czy pozostanie na długo? rzecz to inna: któż zresztą bieg wypadków na Wschodzie przewidzieć zdoła!

W chwili obecnéj przecież wyjście to byłoby jedynie pożądaném przez wszystkich Albańczyków, bez różnicy rodu i wyznania. Muzułmanie zawsze są dalekimi od myśli zerwania z chalifatem, chrześcianie nie upatrują wygranéj w zmianie państwowego zwierzchnictwa; wszyscy zaś w ogóle, i naczelnicy klanów z begami i lud, boją się jak ognia, wszelakich, europejskich na prawdę przeobrażeń. Przedstawiają je oni sobie, jako ostatnie nieszczęście, co by ich naród spotkać mogło: nieszczęście prowadzące za sobą w nieuniknioném następstwie wywrócenie z korzeniem nawet kardynalnych podstaw przedwiecznego ich obyczaju, jakich nie miały siły lub nie śmiały jeszcze dotknąć reformacyjne zachcianki stambulskie. Porządek szczerze europejski w pojęciu nieokiełznanego Arnauty znaczy tyle, co ujęcie w więzy wstrętnéj mu systematyczności, pedanteryi, jego dotąd, w górskiem życiu, ruchów swobodnych. Porządek ten nadomiar przedstawia się mu jako widmo zmory, która objąwszy w swym obmierzłym uścisku drgające żywém życiem ciało młodzieńczego narodu, wysysałaby, w postaci corocznie podnoszonych podatków „alla franca,“ kropla po kropli, powoli, ostatni sił jego zasób, aż do samych źródeł onego. Zwierzchnictwo zaś tureckie, choćby razem z jego nienawistnymi reform eksperymentami, wydaje mu się w porównaniu, nieskończenie znośniejszém i nawet lepszém bezwarunkowo, jako nastręczające mniéj powodów obawy o bezpieczeństwo samych posad skipetaryzmu. Ztąd, powszechne pragnienie pozostania i nadal przy Turcyi.

Za to równie powszechnie, bez różnicy rodu i wyznań, wymagają Albańczycy zapewnienia im należytego samorządu. W wymaganiach tych wszakże są nad podziw skromni i umiarkowani. Autonomia, jaką otrzymała niedawno Bółgarya naddunajska, wcale ich nie nęci: rozumieją doskonale całą jéj niemożliwość u siebie, przy takiem rozróżnieniu religijném narodu. Księciem albańskim oto niktby zostać nie mógł, jedno chrześcianin, na co połowa muzułmańska narodu napewno żadną miarą by się nie zgodziła; księcia islamity zresztą sama Porta by się obawiała. Nie obudza w nich pokusy bynajmniéj i autonomia. Zagórza bółgarskiego (czyli tak przezwanéj Rumelii wschodniéj) zgrozą byliby dla nich plątający się wszędy ko-

misarze mocarstw, zgrozą—ich kancelaryjnie wysmażone przepisy zakresu i trybu swobody. Niechętni ku obcym, nie pożądają przecie zwierzchniego pana i z własnego łona; czują dobrze, jakieby to zapamiętałe współzawodnictwa wywołało między naczelnikami klanów. Chodzi im natomiast, nawet chrześcianom europejskiego wykształcenia, o przywrócenie przedewszystkiém właściwości samorządu albańskiego starych dobrych czasów: ile takowe tylko dadzą się pogodzić z wymaganiami doby obecnéj.

Chodzi o skupienie wszystkich okręgów zamieszkanych przez pokolenia skipetarskie w jednę już jedyną administracyjną całość, pod najwyższém zawiadowstwem w celi baszy z władzą namiestniczą i koniecznie albańskiego rodu, któryby, kierując się rozkazami padyszacha i jego dywanu, wypływającymi z idei dobra powszechnego całego państwa, umiał i chciał je wprowadzać w wykonanie bez obrazy wiekami uświęconych obyczajów narodu. Solą w oku im stoi, powodowane jedynie doraźnymi widokami administracyjnymi, dzielenie ich krain ostatniemi czasy na trzy i więcéj wilajetów, bez żadnego względu na tradycye i narodowość mieszkańców: woleliby już nawet nie wracać do starego dwoistego podziału Albanii. Mowa tu oczywiście o patryotach (z plemienia Gegów bardziéj), wyższych nad niechęci i współzawodnictwa rodowe. Tacy obok tego pragnęliby sprężystego zarządu, szczerego postępu i rękojmi oświaty prawdziwéj, uwzględniającéj prawa narodowego języka. W zamian za to ofiarują wysokiéj Porcie Albańczycy wierność niezachwianą i co najbardziéj przemawiające, podniesione z łatwością, wyżéj nad sto tysięcy (przy „szwajcarskiéj“ wojennéj organizacyi), niezwalczone zbrojne zastępy dwumilionowego ludu.

Dotknęliśmy tu, samochcąc, najtajniejszéj myśli wykształceńszych Albańczyków chrześcian, ich wymarzonego politycznego ideału: ujrzeć w niedalekiéj przyszłości górską swą, rozbitą na klany, Skiperyą w postaci związku szwajcarskiego kantonów, pod zwierzchnictwem Turcyi, jako najmniéj niebezpiecznéj dla samoistnego duchowego rozwoju, pogrążonéj dotąd w ciemni barbarzyństwa, ich narodowości.

„Pia desideria“ to przecie spodziewać się, że zużyci Osmanowie właśnie mogą dać pożądane rękojmie urzeczywistnienia podobnego rodzaju potrzeb i pragnień. Optymizm nadziei i zaufania sięga tu prawie niedorzeczności; podobnie jak z drugiéj strony, pesymizm obaw, na myśl jakiegokolwiek bardziéj bezpośredniego wpływu europejskiego. Nikt nie wątpi, że potrafią i nadal stambulscy politycy wyzyskiwać bezdusznie wrodzony zapał wojenny górali, potra-

fią szafować ich krwią potokami; ale zapewnić Albanii, jak to bywało dawniéj, przezorną a ludzką opiekę, a nadto wziąć jeszcze na siebie obowiązek sterniczy początkowania i przewodnictwa jéj w uspołecznieniu i oświacie, do tego żaden Turkofil, nawet poważny, nie uzna ich zdolnymi, czy mocnymi, jeśli już chodzi o ścisłość. Jeśli Turcy sami, tak już obezwładnieni, zdołają dźwignąć się w Anatolii, zdołają utrzymać i utrwalić zwierzchnictwo swe nad sunnickim światem arabskim: jak na nich, będzie to już wiele! W Europie naprawdę nie mają oni co robić więcéj; mniejsza, że mogą siedziéć jeszcze nad Bosforem i Hellespontem długie lata. Została im wprawdzie w Europie Albania właśnie, najwierniejsza z prowincyi, strata któréj nie dałaby się niczém powetować; ale czyż można ją będzie, już dziś osamotnioną, utrzymać w nie opłacającéj się dla niéj niczém gotowości do nieustannych poświęceń, przy owéj osławionéj gospodarce anarchicznéj, która na nieszczęście jakby już w chroniczny stan przeszła?! Zresztą, wcale niezależnie od tego, nie dadzą pewno długo czekać na siebie i wypadki zewnętrzne, które tak z kolei zadecydują o przyszłym losie Albanii, jak już zdecydowały przyszłość innych krain i ludów bałkańskiego półwyspu. Owa, stająca się dla Turków z dniem każdym coraz bardziéj ustronną, ziemia skipetarska leży przy wielkim gościńcu morskim ze środkowéj Europy ku wodom indyjskim; posiadanie jéj brzegów byłoby rzeczą nieocenionéj wagi w widokach militarno-handlowych; a cóż dopiéro posiadanie stutysięcznéj armii najbitniejszego a tak taniego albańskiego żołnierza.

Ze swéj zaś strony przedstawiają Skipetarowie naprawdę materyał cywilizacyjny nie do lekceważenia!

Lud to niesłychanéj energii, nieprześcigniętéj jędrności młodzieńczéj, lud inteligenty, poeta z urodzenia, zdolny do szlachetnych uniesień i nieograniczonego poświęcenia, skromny w swych wymaganiach, wytrzymały; choć zbyt namiętnie przywiązany do uświęconych wiekami obyczajów, pierwotnéj a surowéj prostoty; choć zbyt pomiatający oświatą barbarzyńca, jakich już mało w Europie naprawdę! Wśród swych gór płonnych i niedostępnych skalisk pozostał on niezmiennie pasterzem i wojownikiem, mimo tylu przewrotów, jakim kraj jego w ciągu lat paru tysięcy ulegał. Musi to przecie wprawiać w zdumienie każdego, gdy się zastanowi: iż lud ten, najstarożytniejszy może w Europie, pozostał dotąd najmniéj z innymi szczepami zmieszanym; że przechował on swój język przedwieczny, nie posiadając literatury, nie posiadając wyżéj posuniętéj oświaty; że pozostał wiernym dotąd surowym ideałom pierwotnéj swéj kultury pomimo, iż wyosobniającym się, nietowarzyskim wcale nie był

i nie uchylał się od przyjmowania i przejmowania form zewnętrznych obcych mu kultów i wyznań religijnych, w miarę jak one nabywały nad nim przewagi. Zachował on tak swą samoistną kulturę, jak i swój odrębny typ charakterystyczny. Lecz, żeby już przez to nie miał być zdolnym do prawdziwego postępu i wyższéj oświaty, któżby się to twierdzić odważył?!

Europa nie zna dotąd jeszcze Albanii należycie, nie zna Albańczyków bliżéj, jedno z posłuchu; wie za wiele o ich barbarzyństwie, za mało o ich dzielności, nic a nic zaś prawie o istocie rzeczywistéj ich natury i uspołecznienia.

Cywilizowańsi sąsiedzi są zwykle za surowi w sądzie o nich. Surowość ta polega nie tyle w zestawianiu faktów, ile w tonie i kolorycie grzeszącym przesadą. Zarzut ten można zrobić nawet wczorajszym zaledwie, jeśli tak rzeczemy, o nich odezwom (naprz. w Gyurkowicza „Die Albanesen" w „Presse" r. 1878). Arnauta, powiadają nam, to pasterz, wojownik i rabuś; rolą bawi się tyle tylko, ile tego niezbędność wymaga. Stoi on tak pod względem duchowym, jako téż społecznym i politycznym, na najniższym stopniu rozwoju europejskiego. Wszelkie środki i zdobycze cywilizacyi są dlań niezrozumniałe i zbyteczne. Nie zna on wcale prawa, tylko tradycye; ani społeczności, tylko przemoc siły osobistéj; ani rządu, tylko przedwieczną organizacyą klanową. Ztąd nie pojmuje téż Arnauta co jest słusznêm lub niesłusznêm w naszém rozumieniu i stoi pod tym względem niżéj daleko od Turka; w jego przekonaniu, wszystko mu wolno, w czém mu ktoś inny fizycznie przeszkodzić nie zdoła. Że w podobnych warunkach, prawo pięści i krwawa zemsta miejsce prawa publicznego i wojennego zastępować muszą, rzecz zrozumiała!

Nasi wędrowcy sympatyczniejszy przecie sąd o Albańczykach wydają. A znają ich oni lepiéj niż kto z obcych; tyle co inne dzielnice i ludy Wschodu muzułmańskiego. Znają ich nawet jako przewodnicy duchowni; mieliśmy tam bowiem i biskupa jednego między Mirdytą. Szkoda tylko, iż nikt swych postrzeżeń, swych doświadczeń z życia między nimi, nie notuje; szkoda, że nie przywiązują żadnéj wagi do swych nabytków etnologicznych!

Ostatniemi czasy, gdy przyszło braci albańskiéj bronić się na wszystkie strony od natarczywości i uroszczeń wrogich sąsiadów, nie poprzestała ona na raźnéj działalności swéj „Ligi" i głośnych manifestach jedynie. Uzasadniane historycznie i etnologicznie pretensye Greków wypadało i na polu naukowém odeprzéć. Nie było to właściwie tak wielce potrzebném: kto tam wątpił naprawdę, że ortodoksa albański najgorliwszy nie mniéj przeto Hellenem nie jest, jak

Albania nie jest jakąś dzielnicą grecką? kto wątpił, że Greczyn w niéj nie jest autochtonem lecz przybyszem, a raczéj, po większéj części, hellenizowanym tubylcem? że nakoniec Albańczyk i Hellen przedstawiają dwa szczepy zupełnie odrębne? Ale przy téj okoliczności, wśród namiętnéj szermierki na pióra, wystąpili Albańczycy, po raz pierwszy, i z poważném przemówieniem o sobie samych oraz istocie własnego narodu. Znany zkądinąd dostojnik Porty Wassa-effendi w pięknéj swéj rozprawie: „Etudes sur l'Albanie et les Albanais" (umieszczanéj w stambulskim dzienniku „La Turquie," od 12 Marca r. b.) dotknął, między inném, i strony życia obyczajowo-społecznéj swych współziomków. Odtąd więc, jemu przedewszystkiém, jako światłemu narodowcowi, winniśmy, w uzasadnieniu wszelakiego nadal sądu o Skipetarach, głos pierwszy przyznać; winniśmy się powodować jego przewodnictwem w określaniu istotnego charakteru, przechowanego przez lat tysiące, rodowego ich obyczaju i uspołecznienia.

Dla nas wierna charakterystyka obyczajów albańskich posiada podwójne znaczenie: z jednéj strony przedstawia ona nam dowodnie czego wart i do czego zdolen na przyszłość ten naród, co z taką energią dochował w życiu swém tak przedwieczne onego ideały; z drugiéj zaś wskazuje na żywym przykładzie, jaki to był stan rzeczywisty owych społeczeństw pierwotnych, co poprzedziły zaranie cywilizacyjnego rozkwitu świata klasycznego, a których znane cechy główne stanowią podstawę i dzisiejszego społeczeństwa albańskiego. Byłaby owa charakterystyka, razem z żywym zarówno probierzem lingwistycznym, nieomylnym punktem wyjścia wszelkich głębszych archeologiczno-kulturowych poszukiwań!

Otóż, życie obecne Albanii jest, w istocie swéj, mimo wszelkie przeobrażenia powierzchowne, w całém znaczeniu tego wyrazu, również pierwotném, patryarchalném, jak to było przed wieki.

Każdy klan ma swego naczelnika i swą starszyznę, którzy nim rządzą i wymierzają sprawiedliwość podług starożytnych zwyczajów i obyczajów, opartych na prawie odwetu: oko za oko, ząb za ząb.

Naczelnicy i starszyzna klanów dziedziczą po ojcach zajmowane stanowisko; lecz nie daje im ono jakiegoś wyjątkowego prawa do przewagi nad ludem: naczelnik klanu i starszyzna podlegają w kwestyach prawa pospolitego tymże samym co inni sądom i karom; gdy naczelnik zabije kogo, sam zostaje zabitym, i sprawa skończona.

W ogóle, kto drugiego zabije, zostaje zabitym przez dziedziców poległego. Jeśli się nie ma możności pomszczenia na samym zabójcy, zabija się jego ojca, jego syna, brata lub krewniaka. Czasami

nawet zabija się kogokolwiek bądź z klanu zabójcy, jeśli on i jego bliżsi zdołają ujść zemsty strony obrażonéj.

Kto popełni kradzież, winien sowicie (podwójnie) powetować szkodę okradzionemu, a nadto zapłacić karę na rzecz naczelnika i starszyzny. Człowiek zabity na złodziejstwie traci cześć i nie mówi się o nim, iż poległ śmiercią junaczą.

Porwanie kobiéty zamężnéj równa się „jednéj krwi"; porywca lub któś z jego krewnych winien być zabitym przez męża lub krewnych porwanéj.

Młoda dziewczyna narzeczona, wychodząc za mąż za kogo innego, daje zawiedzionemu prawo zabicia jéj ojca lub brata, stryja lub brata stryjecznego. Jeśli dziewczyna zostanie porwaną, wtedy jéj krewni wspólnie z narzeczonym mają prawo i obowiązek zabicia porywcy lub kogo z jego krewnych.

Cudzołostwo karane jest śmiercią; mąż ma prawo zabić uwodziciela, jeśli go znajdzie z żoną lub jeśli cudzołostwo jest udowodnioném.

Dłużnik winien zwrócić swój dług w takiéj postaci, w jakiéj go zaciągnął, w naturze lub w piéniądzach.

Własność jest świętą: nikt nie ma prawa przyswajać sobie w jakikolwiek bądź sposób przynależytości drugiego. Kwestye prawa terrytorialnego, własności ziemskiéj i granic są roztrzygane przez starszyznę, która w takim razie obowiązaną jest składać przysięgę „na kamień". Wyroki tu są nieodwołalne i wchodzą w wykonanie natychmiast.

Co do wspomnianéj przysięgi „na kamień", jest to najuroczystsza i najpoważniejsza z przysiąg Albańczyków. Sięga ona swym początkiem, zarówno jak inne zwyczaje i formuły, epoki pelazgickiéj, i znaną była nawet w starożytnym Rzymie, gdzie ją téż od Pelazgów przejąć miano i czczono wysoce. Polega zaś na zaklęciach, na rzucony po za siebie kamień, przez strony, zawezwane do rozsądzenia sporu, zwykle w sprawach tylko najwyższéj wagi, jak naprz. w razie nieporozumień o granice między sąsiedniemi klanami i t. p. Przysięgę taką składają wybrani sędziowie przed przystąpieniem do rozpoznania sprawy, przyzywając na swą głowę wszelkie nieszczęścia, w razie niesłusznego wyroku Nawet w życiu codzienném lubi Arnauta, biorąc kamień do rąk lub wskazując na pierwszy bliższy, zaklinać się „per ket pesz" (na ten ciężar), dla dania większéj wiarogodności swym słowom.

Prawa zwyczajowe, daléj, są równe dla wszystkich; różnica wyznania nic tu nie stanowi. Jeśli muzułmanin zabije chrześciania, krewni lub ktokolwiek z klanu tamtego poszukują na nim odwetu; po-

dobnież, gdy chrześcianin zabije muzułmanina. Swobodne wykonanie przynależnego każdemu prawa ubezpiecza powszechny obyczaj.

Osoba gościa jest świętą; prawa gościnności nie mogą być pogwałcone pod żadnym pozorem. Ktoby zabił swego gościa lub źle się z nim obszedł, traci część, zostaje wypędzonym z klanu i nikt nie ma prawa łączyć się z jego rodziną; hańba ta zaś jest wiekuistą i krwią nawet nie może być zmytą. Kto zabije gościa cudzego, winien „czterdzieści krwi", jakże klan, który dał gościnność, ma prawo wymagać od klanu zabójcy gościa.

Zabójca kobiéty podlega utracie czci; hańba spada na wszystkich członków jego rodziny, których odtąd przezywają żonobójcami.

Dodać tu nakoniec musimy, iż idea odwetu, zemsty, spoczywająca w podstawie wszelkich stosunków społecznych Skipetarów—osławiona ich „gjak" (krew), krwawina, vendetta, jest ściśle zespoloną z głęboko wkorzenionym ich religijnym przesądem. Zemsta krwawa uważaną jest za święty obowiązek względem cieni powinowatych, co zostali zabici. Dusza człowieka zabitego nie może znaléźć ani szczęścia ni spokoju na tamtym świecie, jeśli jego krewni nie zgładzą zabójcy lub kogoś z jego rodziny, albo klanu.

Gdy się zwrócimy do organizacyi rodziny albańskiéj, dostrzeżemy oczywiście i w niéj wyraz najsurowszéj patryarchalności. Podobnie jak każdy klan ma swego naczelnika, rodzina każda posiada swego głowę gospodarza, jakim jest zwykle najstarszy z jéj członków. Najstarsza kobiéta w rodzinie jest domu gospodynią. Przy patryarchalności życia, członkowie rodziny są bardzo liczni: bywają rodziny (rody raczéj) liczące do stu i stu dwudziestu członków. Mężczyźni wykonują rozkazy przewodniczącego im głowy rodziny; rozporządza on wszystkimi i wszystkiém i nikt nie śmie mu się sprzeciwić. Posłuszeństwo jest ślepém, poszanowanie dla sędziwego wieku nieograniczone. Gospodyni domu używa podobnéjże władzy względem kobiét i dziewcząt. Jeśli członkowie rodziny mają co jedni przeciw drugim, głowa domu sądzi ich, karze i jedna, stosownie do okoliczności. Wystąpienie przeciw jego postanowieniu lub wyrokowi jest krokiem, ściągającym naganę powszechną i utratę czci dla winowajcy krnąbrnego.

Po takiém, choć wielce pobieżném tylko dotknięciu podwalin obyczajowych społecznego życia Albańczyków, śmiało możemy zawołać: jakie to odkrycia i niespodzianki czekają naukę, dośledzającą pierwocin zamierzchłéj przeszłości historycznych narodów, gdy się zechce rozpoznać bliżéj i szczegółowiéj bytów, tyle konserwatywnego i młodzieńczego zarazem szczepu!

A pozostał Albańczyk naprawdę jakby typem wiekuistéj młodzieńczości. Sama jego postawa wysmukła, lekka, giętka a żylasta, przy znanym powszechnie (jako niby grecki) malowniczym jego ubiorze, dotykalnie o tém świadczą. Przyświadcza temu zarówno swobodna przejrzystość jego wrażeń i uczuć, jego poruszeń wszelkich duszy. Nie umié on skrywać ani bólu ani radości; płacze i śmieje się z istnie dziecięcą nieprzymuszonością. Miłość jego i nienawiść nie znają granic; przyjaźń jego—niezłomna, pełna najżywszéj tkliwości. Nie ma ludu skorszego nadeń do uniesień za wszystkiém co porywające, co świetne. To poeta do dna duszy! Dla dobitniejszego określenia stopnia jego poetyczności, wskażemy tu jeszcze na jeden rys obyczajowy, niewiele zapewnie znany w dalszym tam świecie. Oto góral albański, skazany na śmierć, obowiązany jest przez zwyczaj przedwieczny, idąc na stracenie, zaimprowizować piosenkę, którą on śpiewa najspokojniéj, bez junactwa i słabości, podczas gdy jego matka i krewni postępują za nim, ze zbolałém sercem, lecz z uśmiechem, w tym razie, na ustach, aż na miejsce wykonania wyroku. Piosenki tych, co giną mężnie, pomnażają skarbiec poezyi ludu, i są powtarzane przez młodzież.

Jakże młodzieńcze daléj zamiłowanie Arnauty w broni: jego jatagan i strzelba! to niby jego rodzeństwo najbliższe. Jak on jest dumnym ze świetnego oręża! Urodzony zeń junak, wojownik. Dzielności wojennéj nikt mu téż nigdy nie odmawiał. Pełną czci jest nienawiść ku niemu krwawa Czarnogórca. Trzeba być bliżéj oswojonym ze stosunkami, by rozumiéć do głębi okrzyk słowiański: „jadan Arnaatin!" jadowity, nieszczęsny, złowrogi! Wyraz to najzapamiętalszéj nienawiści i uznania najwyższego; czuć w tém strach i poczczenie sił równych. Chyba może „Turczyna" jednego, to jest swego szlachcica bosańskiego, pomiatający każdym innym ludem Czarnogórzec, tak nienawidzi i poważa, jak Albańczyka. Choć wielka tu w drganiu jego uczuć różnica: „Turczyn" swój, tam to zaś obcy, a taki dzielny! Lecz trzeba przyznać; że i Arnauta umié płacić bitnemu a tak podobnemu do siebie pod niejednym względem sąsiadowi, piękném za nadobne. Zapytaj pierwszego lepszego „nizama" lub zaciężnego „Ligi" o niedawnych wypadkach—jedna odpowiedź: co tam za dzielność zasypywać garstki mężnych tłumem szarańczy; Czarnogórzec „przeklęty", to mi wróg! Męztwo osobiste i pogarda życia w boju—wspólny nieprzyjaznym sąsiadom górskim ideał.

By pojąć żywiéj, jakie to usposobienia wrodzone tkwią w ludzie albańskim, jaki płomień energii goreje w jego łonie, dość przyjrzéć się zblizka jego dziatwie, przyjrzéć się rozrywkom, grom i zabawom chłopięcym. Nie zatrą mi się téż w pamięci własne wraże-

nia. W granicznéj Prewezie naprz. mieście ufortyfikowaném, lecz przeważnie greckiém, zastałem, po przyjeździe tu, wczesną wiosną roku bieżącego, przed oknami zajętego mieszkania, na niewielkim placu przed cerkwią ś. Mikołaja, bawiącą się co wieczora dziatwę grecką. Bawiła się ona tam i przez cały ciąg świąt wielkanocnych. Wrzawy bywało dużo, ale bez bojowań. Owszem, najczęściéj dolatywały mnie tylko okrzyki „argyro!“ „argyro!“ (srebro; piéniądz); gdyż gry podrostków helleńskich, jeśli nie koniecznie, jak w pewnym rodzaju kręgli, prowadzone bywały na gotowy grosz, zawsze przecie były oparte na jakiéjś kombinacyi, na jakimś rachunku. Późniéj, wypadło kilku rodzinom arnauckim przenieść się ku téj tu części miasta. Począłem dostrzegać między bawiącymi się chłopakami i drobne skipetarzęta, w swych lekkich janińskich „czarykach“ na nogach a junacko na tył głowy zarzuconym fezie; bez kontusików oczywiście, lecz tylko w jednéj z muzułmańska jaskrawéj koszuli. Przypatrywały się one najprzód grom starszych od siebie Greczynów, potém zaczęły się wśród nich po swojemu bawić. Chłopacy greccy próbowali pozbyć się przeszkadzających im malców. Przyszło do zwad, coraz częstych. Aż nareszcie drobiazg skipetarski stoczył parę bitew tak zapamiętałych z przeciwnikami, iż daléj już żaden Greczynek nie śmiał się pokazać na naszym placu. I odtąd nie dolatywały mnie inne okrzyki, jak tylko wojenne, nie widywałem pod oknami innych zabaw, jak istne górskie igrzyska gimnastyczno-militarne. Bijały się téż małe Arnauty i między sobą nieraz tak zaciekle, że wypadało prosić przechodzących żołnierzy, co z prawdziwie albańską dumą tylko cieszyli się takim widokiem, by téż rozprowadzili jakiego Mehmedka z Selimkiem, bo to by się tłukło do śmierci, nie ustępując jedno drugiemu.

Wielce konserwatywnym a młodzieńczym pozostał Albańczyk i w swych istotnych wyobrażeniach religijnych. Widzieliśmy jak on pojmuje ideę krwi i zemsty, niezależnie wcale od tego czy się mianuje chrześcianinem lub iślamitą. Zaklina się téż on nie na Chrystusa, nie na Proroka; lecz bez różnicy obecnego wyznania, na przedmioty przedwiecznéj czci natury jego pelazgickich przodków: na niebo i ziemię. „per kielh e per dhe“; na ogień i wodę, „per ket ziarm e per ket ui“; na góry i równiny „per mal e per fusz“; na słońce i księżyc—„per ket dielh e per ket han“ itp. Bez różnicy wyznania, ucieka się w każdéj ważniejszéj potrzebie do wróżb i przepowiedni: wnioskuje o przyszłych losach z jelit i kości zwierząt, z lotu ptastwa, z wycia wilków, ze snów itp. Żyje w społeczności świata umarłych: wyprawia sute stypy oraz przechowuje najświęciéj mnóstwo innych obrzędów i przesądów starożytnych.

Dla nauki przecie, więcéj może aniżeli oznajomienie się z obyczajami Albańczyków, przedstawia widoków na bogatą bardzo zdobycz ścisłe zbadanie, również z zamierzchłéj przeszłości wyniesionego, ich języka i zbadanie onego filologiczne, we wszelkich narzeczach i narzeczy tych odcieniach. Co więcéj—porównawczo z językami dzisiejszych ich sąsiadów: epiro-macedońskich Włachów, Romeów greckich i Słowian; by następnie zestawić go z językami klasycznemi, litewszczyzną i sanskrytem.

Już samo pobieżne przystosowanie albańszczyzny dla objaśnienia mniéj zrozumiałych nazw i faktów mitologii greckiéj naprz. jakież na nie rzuca światło nowe. Czuć, że pierwiastek pelazgicki odegrał w jéj genezie rolę niemałoważną, dzieląc się z nią znanym swym, nieuosobionym jeszcze w antropomorficzne postaci odrębnych bóstw, czystym kultem natury. Dla przekonania się, dotknijmy tu (podług wskazówek Wassy-eff) choć tylko bardziéj kardynalnych pojęć i nazw, poczynając od rodzica wszech rzeczy „Chaosu".

Otóż:

Chaos, wszystko pochłaniająca próżnia, znajduje wyjaśnienie w dzisiejszych wyrazach albańskich: *ha*, *hao*, jem, spożywam i *has*, *haos* jedzący, pożerca; jak nie mniéj w wyrazach: *haapsi*, *haopsi*, przestwór, próżnia.

Powstały z Chaosu, *Erebos*, przybytek ciemności wiekuistych, odpowiada nazwą swą wyrazom: *erh*, *erhem*, *erheni* lub *erhesi* ciemny, ciemności, ciemnia.

Gea, ziemia; w wymowie doryckiéj *dha*; po albańsku téż *dhe* ziemię oznacza.

Uranos, niebo, przestwór obłoków, chmur. *Vran*, *vrant*, po albańsku—chmurny, obłoczny; *os*—zwykła końcówka grecka.

Gea i *Uranos* (ziemia i niebo) wydają na świat *Rhę* i *Chronosa*.

Rhea w języku albańskim znaczy mgła, obłok, chmura.

Chronos, czas; od pierwiastku albańskiego *rohn* (tyle co *kohn*), mający toż samo „czasu" znaczenie.

Z Rhei rodzi się *Zevs* (Iupiter tonans). *Zaa*, *Zee* po albańsku znaczy głos, rozgłos. Otóż rozgłos grzmotu z błyskającéj chmury powstaje.

Niezrozumiana zupełnie dla starożytnych Greków, co do znaczenia swéj nazwy *Athena* (Minerva), dziecię mózgu Jowisza, znajduje w albańszczyznie nie mniéj odpowiednie wyjaśnienie. *Thane* i *thene* znaczy po albańsku mówić; *E-thana* i *E-thena*, tyle co powiedzenie, słowo. *Athena* więc słowo *Zevsa*, słowo boże, znane wszystkim religiom.

Hera, Junona Greków—powietrze. *Er*, *era* u Albańczyków również powietrze, wiatr.

Nemesis. Po albańsku *neme*, *nemes*, tyle co złorzeczenie lub też przedmiot sprowadzający nieszczęście, karę.

Muza (Mousai). Po alb. *mesoi* i *musoi* znaczy uczę się nauczam. *Musois*—nauczająca; dająca zatém natchnienie wiedzy.

Thetis. Po alb. *deti* morze.

Afrodyta (Venus), bogini miłości i gwiazda zaranna. W albańszczyźnie *Afer-dite*—blizko dnia, jutrzenka.

Delos, wyspa, poświęcona słońcu. *Diel* po alb. słońce.

I tak dalej, i t. d.

Zgoda, są to zaledwie pierwsze próby tylko, wcale nie wyczerpujące przedmiotu; ale dosyć tych nawet niewielu wskazówek doraźnych, by zwrócić na albańszczyznę uwagę najpoważniejszą filologów i starożytników. Śmiało też rzecz można, iż język albański otworzy napewno niewyczerpaną skarbnicę nowych, nieznanych zasobów starożytniczéj wiedzy, skoro zostanie, tyle ile zasługuje, zbadanym przez świat uczony.

Stoi on dziś osamotniony wśród innych języków Europy; do żadnego z nich niepodobny, choć z każdym może zpowinowacony. W starożytności za to posiadał on swe szerokie rozgałęzienia nietylko po półwyspie bałkańskim.

Kogoby mogły obchodzić brzmienia onego, pozna je w następnéj zwrotce arnauckiéj piosenki ulubionéj:

Dolla preme ud Armolith
—Szedłem wczoraj do Armolitu
Pasze njete bukure,
—I dostrzegłem piękne dziewczę
E bukura e tje pamna
—Piękne dziewczę mnie ujrzawszy,
Hotj e mbüli derrene.
—Umknęło, drzwi zamykając,
Mos e mbüle, semer ime,
—Nie zamykaj, serce moje;
Mos e mbüle derrene
—Nie zamykaj że drzwi
Per mu te mjerene!
—Przedemną nieszczęsnym!

Że Albańczycy, potém wszystkiém, cośmy tu o nich powiedzieli, nie wyglądają przecie na lud podobnie zużyty, wyczerpany, nieruchomy, bez nadziei odrodzenia się, jak pewne szczepy dalszego Wschodu; tego, zdaje się, nikt nam nie zaprzeczy. Nikt też równie nie ma prawa powątpiewać o ich zdolności ku przyjęciu zasiewu

wyższéj cywilizacyi, skoro zdolności téj zwykło się nie odmawiać i najbliższym ich północnym sąsiadom, niewiele mniéj od nich rozmiłowanym w starym swym obyczaju. Zresztą, pewne, jakby od przypadku tylko rzucone, ziarna europejskiego postępu zaczęły już kiełkować wcale obiecująco. Oczywiście promienie oświaty przeciskają się li od Zachodu: Turek o rozwój Albanii nie dbał, Grek przemyśliwał tylko nad jéj wynarodowieniem; Włoch jeden, nie mając żadnych już widoków na podbój, nie cofał się przed zadaniem narodowo-cywilizacyjném. Duchowieństwo katolickie w Gegaryi pierwsze poczęło wydawać książki treści religijnéj w języku albańskim, kładąc przez to niby podwalinę przyszłego w tym języku piśmiennictwa. Głośno téż za to teraz światlejsi Albańczycy wszech wyznań oddają cześć franciszkanom włoskim. Powoli pójdzie to daléj: osobliwie od chwili, jak się zdecydowano powszechnie na przyjęcie łacińskiego alfabetu.

Nie należy téż więcéj do dziwów i światły człowiek między Albańczykami, muzułmanami nawet. Bawiąc tyle czasu w Prewezie, sam korzystałem z pięknéj biblioteki, treści przeważnie historycznéj i ekonomicznéj, jednego z tutejszych begów, którego (nawiasem powiedziawszy) sprzątnęli jednak, dla świętego spokoju, Turcy, racząc go wysokiém dostojeństwem aż w Kurdystanie.

Lecz prawdziwy rozwój cywilizacyjny narodu albańskiego pod zwierzchnictwem tureckiém jest niepodobieństwém; pomimo, iż połowa onego, z dwóch milionowéj prawie liczby ogólnéj, jest muzułmańską. Przewodnictwo w podźwignięciu jego uspołecznienia musi wiąć na się Europa. Istotne szczęście jednak dla Arnautów, że choć niezdolni do samorzutnéj inicyatwy mają przecie tyle siły, iż nie dadzą się oni, przy znanym ich szczepowym charakterze, tak téż łatwo zakuć w dyby narzuconego z góry formalizmu i potrafią odrębność swą rodową w dalsze wieki przechować.

A. Jabłonowski.

GLORIA.

ROMANS B. PEREZA GALDOSA,

przetłómaczony z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy).

VII.
Rozbitek.

Skoro tylko przyniesiono chorego do pałacu, natychmiast wezwano miejscowego lekarza D. Nieomedesa, który zaopiniował, że rany w głowie nie są zbyt ciężkie, i że w skutek tego środki domowe w połączeniu ze spoczynkiem zapobiegną wszelkim złym następstwom. Rady lekarza wykonano z największą punktualnością; chory, wymówiwszy półgłosem kilka wyrazów, zdawał się być cokolwiek spokojniejszym. W jakiś czas potém, kiedy już nieznajomy wysechł zupełnie, otworzył oczy, patrząc dokoła siebie z niezmierną ciekawością.

— Uspokój się pan, rzekł D. Juan. Jesteś troskliwie pielęgnowany w gronie przyjaciół, niczego ci tu nie zbraknie. Wypadek był straszny, lecz, dzięki Bogu, jesteście wszyscy ocaleni.

— Rozbitek wypowiedział słów kilka po angielsku, poczém, roztwierając szeroko lazurowe oczy, przenosił wzrok zachwytu z twarzy Gloryi na poważne postaci D. Juana i D. Angela. Zmartwychpowstali nie patrzą innym wzrokiem!...

— Jestem w...., szepnął po hiszpańsku.

— W Hiszpanii, w Fikobrydze, najskromniejszym grodzie morskim, który jeśli miał nieszczęście patrzéć na zgubę *Plantageneta*, to jednocześnie jest dumny, że wydarł śmierci ośmiu ludzi.

Młodzieniec rzekł tonem uroczystym a rzewnym.

— Panie!... Panie nasz!... jak cudowne jest imię Twoje po wszéj ziemi!...

Biskup powtórzył psalm po łacinie:

— *Domine, Domine noster, quam admirabile est nomen Tuum in universa terra!...*

Poważne milczenie trwało przez chwilę, w której wszyscy obecni czuli przyspieszone bicie serca.

— Jak się pan czujesz obecnie?...

— Dobrze, dobrze, rzekł chory głosem pewnym, kładąc rękę na sercu. Dzięki!...

— Jakkolwiek mówisz pan naszym językiem, zdaje się, że jesteś cudzoziemcem.

— Tak, seniorze, cudzoziemcem...

— Anglikiem?

— Nie, panie, pochodzę z Altony.

— Altona?... pytał biskup, nie dosyć biegły w geografii. Gdzie ona leży?...

To mówiąc, zbliżył się do wiszącéj na ścianie staréj mapy.

— Nad Elbą, blizko Hamburga, wtrącił D. Juan.

— Jestem Hamburczykiem z rodu, rzekł silnym głosem chory, lecz rodzina moja pochodzi z Anglii. Mieszkałem sześć miesięcy w Sewilli i Kordubie przed trzema laty, a obecnie...

— Płynąłeś pan do Anglii?...

— Za wiele na dziś téj rozmowy, zauważył z troskliwością biskup. Pozwólmy panu odpocząć.

— Dzięki panowie. Mogę mówić. Tak, płynąłem do Anglii. Bóg nie chciał......

Twarz jego wyrażała głęboki smutek.

— Spokojności, przyjacielu, prosił D. Juan. Nie ma się czego martwić... Wrócisz pan do swego domu. Masz pan rodzinę?...

— Rodziców, braci...

— Staraj się pan wypocząć. W moim domu na niczém panu zbywać nie będzie. Ja się nazywam D. Juan de Lantigua, to zaś brat mój Angel biskup, a ta dziewczyna moja córka, Gloria. Będziemy tu pana pielęgnować jak najtroskliwiéj. Bóg nam rozkazał pocieszać smutnych i pomagać opuszczonym. Niezawsze się zdarzy taka sposobność do wykonania dzieł miłosierdzia,

Rozbitek pochłania wzrokiem obecnych, a wreszcie schwyciwszy rękę Lautiguy przycisnął ją do piersi.

— *Kto wypełnia miłosierdzie*, rzekł, *znajdzie życie, sprawiedliwość i chwałę.*

D. Angel powtórzył tę sentencyą Salomona po łacinie.

— Teraz, rzekł Lantigua, odpocznij Seniorze... nie znam imienia...

— Daniel.

— A nazwisko?...

— Morton.

Powiedziawszy swe nazwisko, cudzoziemiec w najgorętszych słowach wyraził wdzięczność swoję i z takim zachwytem pożerał oczyma twarze swych dobroczyńców, jak gdyby to były wizye niebieskie po minionéj grozie i strasznym przedsmaku śmierci.

— To, cośmy zrobili, rzekł D. Juan, nie zasługuje ani na pochwały, ani na wdzięczność. Polecenia Chrystusa są najłatwiejsze do wykonania i najprostsze... Ale panby się pewnie posilił trochę.... Glorio, każ przyrządzić dla pana dobrą kolacyą, tylko pamiętaj, że wszelkie rzeczy ciężkie byłyby nie stosowne.

Tymczasem heroiczny czyn D. Silwestra był przez dni kilka przedmiotem powszechnéj gawędy i uwielbienia mieszkańców Fikobrygi a nawet sława jego sięgała aż do Madrytu.

D. Silwester dumny był z tego; to téż przez dni kilka twarz proboszcza jaśniała radością jak słońce, a usta powtarzały nieustannie szczytny wypadek, malując wściekłość rozhukanego morza w barwach tak żywych, iż słuchaczom zdawało się, że na owę straszną katastrofę własnemi patrzą oczyma. Daniel Morton szczególniéj lubił słuchać opowiadania księdza Romeredo o cudowném ocaleniem rozbitków, przyczém gorące zapewnienia niewygasłéj wdzięczności i przyjaźni powtarzały się prawie zawsze.

Ocalony z przepaści morskiéj cudzoziemiec nie mógł jeszcze opuścić zajmowanego przez siebie pokoju, ale za to przyjmował częste wizyty wszystkich mieszkańców domu, którzy obchodzili się z nim nadzwyczaj po przyjacielsku i gościnnie.

Nieznajomy zaś ze swéj strony zasługiwał na takie objawy względności obejściem się bardzo ujmującém i pełném prawdziwie rycerskiéj galanteryi. To téż D. Juan szybko poznał, że udzielił gościnności dobrze urodzonemu i niepospolitych zalet człowiekowi, który w każdéj rozmowie uwydatnił głębokie rysy szlachetnego charakteru i niepospolitéj nauki.

— Ze wszystkiego widać, że to człowiek w całém znaczeniu tego słowa, mówił D. Juan do brata, podczas gdy obaj wraz z doktorem Sedenio pili czekoladę, po powrocie ze mszy.

— Niewątpliwie!... Podobał mi się bardzo, odparł biskup. Wielka szkoda, że jest protestantem!

— Czy w istocie?...

— Musi nim być niezawodnie, potwierdził Sedenio. Ile razy mówimy o religii, on zawsze wtedy stara się uchylać od rozmowy.

— Lecz mówiłże co kiedykolwiek przeciwko naszemu kościołowi?...

— Ani słowa. W ogólności zdaje się być dla katolicyzmu obojętny.

— Co za sposobność, mój bracie, zauważył przejęty pobożnem uniesieniem D. Angel, zrobienia wielkiéj zdobyczy przez wprowadzenie takiéj owieczki do owczarni Chrystusowéj!...

— Bardzo trudno, rzekł Lantigua, jest to człowiek przekonań silnych.

— Lecz zgubnych! Tak mój bracie, ja mam wielką ochotę sprobować.

— Nadaremnie; heretycy są podobni do jeżów.

— Wszak na téj próbie nic nie stracę. Morton zabawi jeszcze w domu naszym czas jakiś, gdyż byłoby niegodnie pozwolić mu na opuszczenie Fikobrygi przed zupełnem wyzdrowieniem.

— Zapewne!

— Cóż się więc na tém straci?... Sprobuję przemówić do jego duszy; zrobię zasiew, a jeżeli ziarno padnie na skałę, nie będzie to już moja wina. Spełnię obowiązek.

— Padnie na skałę, rzekł D. Juan z cierpkością człowieka, przyzwyczajonego patrzéć z goryczą na poziome sprawy tego świata i zniechęconego rzucaniem w jego łono zasiewu, który nie wschodził nigdy.

— Lecz wyobraź sobie, że Bóg dotknie jego serce, że promień światła. . Nie... nic mię nie powstrzyma od próby.

— Szkoda czasu, kochany bracie.

— O nie!... Ten młody człowiek ma niepospolitą duszę i umysł wyjątkowy.

— Tak, zapewne.

— I wielkie serce!...

— Bez wątpienia!...

— Posiadamy tedy rzecz najważniejszą: grunt!...

— A uprzedzenia i przesądy a nabyte od dzieciństwa pojęcia, to znaczy zielsko marne, które zapuściwszy swe korzenie wszystko zniszczy?...

Zielsko!... ależ, na Boga, ja się śmieję z tego zielska. Jezus Chrystus nauczył nas, jak je wyrywać i wrzucać w ogień. Ja się tego zamiaru zrzec nie mogę, dopóki próby nie zrobię. Czy pozwalasz, abym mu zaproponował przedłużenie pobytu u nas o dni kilka?...

— Jak chcesz. Zobaczymy co z tego będzie. Bodajbyśmy tylko nie stracili jego zacnéj przyjaźni a nawet i wdzięczności, którą ma dla nas.

— A właśnie myślę zahaczyć o tę wdzięczność, która jest słabą stroną jego serca, a następnie tym wyłomem... tym wyłomem...

D. Juan śmiać się zaczął. Po chwili zawołał swojéj córki.

Gloria zwykła była śniadać w téj porze, kiedy ptaszęta dzień witają, gdyż mając zawsze wiele zajęcia, rozpoczynała je zwykle bardzo rano. W chwili kiedy przebiegała przez jadalnią spiesznym krokiem, jak osoba, mająca wiele jeszcze do zrobienia, ojciec rzekł do niéj.

— Czy nie zapomniałaś o kawie dla tego pana?

— Nie, ojcze.

— Co też to za gust mają ci cudzoziemcy, żeby nie lubić czekolady, rzekł szanowny D. Angel, wychylając resztę płynu, jaka w filiżance pozostała. Glorio, pójdź moje dziecko do ogrodu, przejdziemy się trochę.

Kiedy Sedenio, skończywszy śniadanie, zaczął czytać głośno D. Juanowi świeżo przysłaną gazetę, biskup, wchodząc do ogrodu z synowicą, rzekł do niéj:

— Ojciec chciał pomówić z tobą, moje dziecko.

Gloria zaniepokoiła się wielce, przypomniawszy sobie, że przed kilku dniami takież same słowa stryja były awangardą, po której nastąpił atak ojca o rękę dla Rafaela. Strwożona dziewica urwała machinalnie kwiatek powoju i włożyła go w usta, jak gdyby zagryźć chciała przykre wrażenie.

— D. Juan skarży się, ciągnął biskup, że mu nie odpowiedziałaś jeszcze na pytanie, jakie ci zadał.

— A! wiem już... wyszeptała Gloria, czując, że słowa stryja dotykały jéj serca jak ciernie.

— Ale ja się nie mieszam do tych rzeczy... prawił daléj biskup. Musisz tedy sama porozumiéć się z ojcem, a w każdym razie dziś koniecznie, gdyż ten młodzieniec już odjeżdża... Zrób mi tę łaskę, moje dziecko, i nie biegnij tak prędko, bo nogi moje wypowiedzą mi posłuszeństwo. W czasie téj wielkiéj burzy...

— Kiedy ocalony został pan Morton........

— Otóż to właśnie. Zrobiliśmy wielką zdobycz. Chciałbym cię tedy zapytać czy ten kawaler.....

Gloria, rzuciwszy powój słuchała wszystkiemi władzami duszy.

— Czy nie zauważyłaś przypadkiem, pytał biskup zwalniając kroku, czy ten kawaler.....

— To jest Morton?...

— Naturalnie!... czy ów Morton nie wymówił kiedy jakiego słowa, któreby się do naszéj świętéj religii odnosiło?...

— Słyszałam, jak mówił o Bogu, o... zaraz... niechno stryj zaczeka..

— Ależ nie o to idzie. O Bogu wszyscy mówią, jakkolwiek nie wszyscy go znają! Czy nie słyszałaś, żeby kiedy mówił co złego przeciw naszéj religii?...

— Nie, stryju...

— Bo widzisz ja, ojciec twój i Sedenio przypuszczamy, że ten młody człowiek jest protestantem.

— Protestantem!... zawołała Gloria ze zdumieniem. To znaczy, że będzie potępiony!... Jaka szkoda, że mając tak dobre serce......

— O tak... wielka szkoda!... To też przyznaję, że jestem zmartwiony... bardzo zmartwiony!...

— Ażeby tak przybiegnąć do niego i zawołać: „Na Boga, panie, ratuj się, dokąd idziesz!... Pojednaj się pan z nami...“

— Zapewne, tak samo jak gdybyśmy ujrzeli ślepego, który nie widząc drogi, ma runąć w otchłań. Doskonale wytłómaczyłaś myśl moję. Byłaby to dla mnie wielka boleść, gdybym musiał patrzéć, jak Daniel Morton oddaliłby się z naszego domu takim jak przyszedł, tj. ślepym.

— Protestantem!...

— Naturalnie!... To też zdaje mi się, że byłbym nie godnym apostołem Chrystusa, gdybym nie usiłował...

— Nawrócić go?... zapytała Gloria z niedowierzaniem.

— Czy ci to trudném się wydaje?... Urzeczywistniały się już trudniejsze sprawy. Niepodobieństwo, żeby Pan Bóg stworzył tak pięknego mężczyznę po to tylko, żeby go zgubić. Któż wié, czy nieskończona mądrość Stwórcy nie zaprowadziła go umyślnie w nasze progi po zbawienie!...

O, któż to wié! zawołała Gloria, wznosząc oczy ku niebu, jak gdyby zapytać je chciała czy przypuszczenie stryja jest prawdziwe. Bóg cudownie kieruje losami świata!...

— On jest prawdą, życiem, drogą!... Tak! jestem już zdecydowany pójść do tego młodzieńca i śmiało, jak na sługę Chrystusowego przystoi, powiedziéć mu: „Mortonie, ty musisz być katolikiem!...“

— Bardzo dobrze, stryju, zawołała Gloria, klaszcząc w ręce z wielkiego entuzyazmu.

Oczy jéj zwilżyły się lekko.

— Jestem zdecydowany, ciągnął daléj biskup pod wpływem ewangelicznego natchnienia, powiedziéć mu jak Chrystus Łazarzowi: „Mortonie, obudź się; Mortonie, wstań! Tyś nie po to przyszedł na świat, by żyć w ciemności. Zrzuć tę świętokradzką zasłonę i patrz na światło, które ci niosę, na światło boskie, które Stwórca złożył w moich rękach, abym cię poprowadził i oświecił. Pójdź i spocznij na sercu mojém, synu miły; pójdź i powiększ królestwo Chrystusa inteligencyą swoją, uczuciem silném i duchem jakkolwiek wykolejonym, lecz szlachetnym. O! i gdy przyjdzie, dzień ten będzie najszczytniejszym w mojém życiu, gdyż wydrę ofiarę z rąk szatana,

wydobędę nieszczęśliwego jeńca z krain piekielnych, zjednam owieczkę dla Chrystusa, przysporzę chwały kościołowi, a kiedy Bóg mię na sąd powoła, powiem: „Panie! jam nad nieprzyjacielem odniósł tryumf!...“

— O stryju, stryju najzacniejszy, wołała Gloria, całując gorączkowo drżące jeszcze ze wzruszenia ręce biskupa, ty świętym jesteś.

— Świętym?... nie, moje dziecko... Lecz pod wpływem wspomnień biblijnych, które na widok tego młodzieńca nurtują w mojéj duszy, chciałbym pójść do niego i wyrzucić z piersi te pamiętne słowa, które Ananiasz do Szawła wypowiedział: „*Szawle, bracie, Jezus Chrystus przysłał mię tu, abym ci wzrok przywrócił.*“

— Co myślisz stryju o Danielu?...

— Że jest jednym z najdoskonalszych tworów Boga. To téż, ile razy go widzę, zawsze wołam w duszy: „Jaka szkoda, Panie, jaka szkoda!...“ Czy pamiętasz jak wyjaśnił pięknie stosunek sił natury do wszechwiedzy boskiéj?...

— Tak... tak... pamiętam.

— A owo proste, a tak rzewne opowiadanie o zgrzybiałéj jego babce?...

— Pamiętam, pamiętam doskonale.

— A te uwagi, które robił, mówiąc o śmierci dwóch sióstr swoich, dziewic, dotkniętych zarazą przy doglądaniu chorych?...

— O tak, stryju, pamiętam najwyborniéj!...

— A jak to pięknie wypowiadał swoje uczucia skromne, patryarchalne, szlachetne i swoje uwielbienie dla dzieł Boga.

— Mam to wszystko żywo w swojéj pamięci.

— A owo współczucie, jakie wyraził dla niedoli kraju naszego?...

— Tak... tak, stryju, i to pamiętam.

— Nie dziw tedy, że widząc go i słysząc, powtarzam nieustannie: „jaka szkoda, Panie, jaka szkoda!...“

— Jaka szkoda, zawołała Gloria, krzyżując ręce.

— Dziś jeszcze, dziś jeszcze myślę rozpocząć, rzekł biskup z ewangeliczną stanowczością. Trzebaż przecie zrobić coś wielkiego w swojém życiu!...

— Dziś jeszcze?... lecz jeśli odjedzie wkrótce... rzekła Gloria, siląc się na naturalność.

— Nie, dziecko, postanowiliśmy z twoim ojcem poprosić go, żeby przedłużył pobyt swój w naszym domu o dni kilkanaście a nawet choćby o miesiąc.

— Jeśli tak, jeśli tak, stryju, zawołała, nie tając swéj radości, Gloria, zwycięży biskup, i kościół Chrystusa będzie tryumfował. Co za wyborna myśl przyszła do głowy ojcu i stryjowi.

— Nie wiesz, czy wstał już?...

— Roque nam powié.

Służący przechodził przez ogród.

— Czy wstał pan Morton?...

— Tak, panie. Idę z poleceniem jego, rzekł pokazując pakiet.

— Co to jest?...

— Wszystkie rzeczy, które miał pan Daniel w kufrach zmoczonych. Niosę je do księdza proboszcza, aby rozdzielił wszystko między biednych.

— Zaręczam, rzekła Gloria z niechęcią, że D. Silwester nie da ani jednéj sztuki Kajfaszowi.

— Pójdę tam za chwilę, oświadczył biskup stanowczo.

Gloria towarzyszyła mu aż na wschody, a następnie pobiegła do kuchni.

VIII.

Porażka.

Zarządziwszy obiad i obiegłszy całe gospodarstwo, Gloria wleciała do gabinetu ojca w chwili, kiedy biskup, zaciérając ręce z radości, mówił:

— Zdaje mi się, kochany bracie, żem nie napróżno stukał do drzwi.

— Czy w istocie?... zawołał D. Juan z ciekawością.

— Przedewszystkiém dziękował nieskończenie za twoję nową grzeczność a następnie chętnie się zgodził na przedłużenie tutaj swego pobytu.

— Czy mówiłeś z nim o religii? spytał D. Juan.

— Mówiłem, lecz młodzieniec unikał widocznie głębszéj dyskusyi w tym przedmiocie. Wypowiadał same ogólniki o stworzeniu, o dobroci Boga, o przebaczeniu uraz... nic konkretnego!...

— Nie chce się zdradzić. Ta powściągliwość podoba mi się wielce, gdyż nienawidzę heretyków, którzy się pysznią jeszcze ze swéj ślepoty, broniąc jéj pospolitemi argumentami.

— Z ust jego nic pospolitego nie słyszałem, ale téż i o przekonaniach religijnych ani słowa, rzekł biskup ze smutkiem. O tém jedynie mogę cię zapewnić z całą prawdą, że......

— Że?...

D. Angel zbliżył swoje krzesło do krzesła brata.

— Że to jest dusza głęboko religijna i wiary pełna...

— Ależ nie wiemy, jakiéj wiary?...

— Masz słuszność, odparł frasobliwie biskup. Stan tego szlachetnego ducha porównywam do lampy w zupełności przygotowanéj, oliwy pełnéj aż po brzegi i z knotem należycie urządzonym. Trzeba ją tylko zapalić.

— Ale czém?...

— Potrzeba tylko fosforu, który jest jedném tchnieniem, błyskawicą, chwilą w światło zmienioną. Boć przecie żadnemi środkami tego świata nie zapalisz lampy próżnéj.

— Zapewne.

— Nasz Morton, prawił daléj, Angel, jest wyższy o całe niebo od tych młodzieńców, którzy mieniąc się katolikami i poznawszy zasady prawdziwéj wiary, posiadają tonące w zgniliźnie moralnéj dusze próżne, ciemne, nie wierzące, podobne *grobom pobielonym*, o których pan nasz wspomina.

Gloria zbliżyła się do ojca.

— Co się w téj Francyi dzieje! zawołał doktór Sedenio, zatopiony dotąd w gazecie. Przepadnie kraj ten, skoro wyboczył z torów katolicyzmu!...

D. Angel utopił wzrok w sekretarzu a Gloria położyła rękę na ramieniu ojca.

— Czego chcesz, moje dziecko, zapytał czule D. Juan, biorąc w dłonie rękę córki. Przyszłaś pewnie po burę, która ci się dawno należy, ty nic dobrego.

— A to za co?

— Za niesłowność. Przed kilku dniami mówiłem z tobą w ważnéj sprawie i obiecałaś dać mi wkrótce odpowiedź, gdy tymczasem...

— Właśnie po to przyszłam, Ojcze.

D. Juan objął Gloryą ciekawym wzrokiem.

— Żeby powiedzieć: nie!... rzekła z uśmiechem dzieweczka, stwierdzając odmowę stosownem poruszeniem głowy.

— Odmawiasz?...

— Odmawiam... z całego serca.

— Pomyślałaś dobrze?

— Rozmyśliłam się jak najlepiéj i nie mogę, w żaden sposób, nie mogę kochać...

— Czy nie mógłbym wiedzieć przyczyny?... zapytał D. Juan ze szczególnym wyrazem twarzy, któryby łaskawą surowością nazwać można.

— Jednéj nie, ale tysiąc, odparła Gloria, ze swoją naturalną skłonnością do hiperboli.

— Zadowolę się jedną. Czyś ty rozważyła zalety tego młodzieńca?...

— Tak, i przekonałam się, że jest on *grobem pobielanym*.

— Zastanów się nad tém, co mówisz!...

— Ty sam ojcze, nie omieszkasz zgodzić się ze mną. Nie wszystko złoto, co się świeci. Dla mnie, co prawda, pan Rafael miał tylko zawsze blask mosiądzu.

— Cóż to za sąd oryginalny, zawołał D. Juan, nie tając przykrości, jakiéj doświadczał. Więc ty... dzieciak, możesz sądzić... Ale dość o tém, ktoś nadchodzi.

D. Silwester i Rafael weszli do gabinetu, ucałowali pierścień biskupi i zapytawszy Jego Ekscelencyą o zdrowie, rozpoczęli pogawędkę o podróży.

— Otóż to dokument ważny, zawołał doktór Sedenio wskazując na gazetę. Korespondencya z Fikobrygi, opisująca nadzwyczajny i niebywały czyn D. Silwestra Romera, ratującego z pośród bałwanów rozbitków *Plantageneta*.

— Proszę pokazać, zawołał proboszcz pod wpływem niepohamowanéj próżności.

— Podnoszą proboszcza pod obłoki...; tutaj... czytaj pan, rzekł Sedenio podając gazetę wygolonemu atlecie.

Romero przeczytał głośno artykuł, opisujący wypadek z 23 Czerwca, a skończywszy, rzekł:

— To nie źle... wcale nie źle.

— Ksiądz proboszcz zanadto się chełpi swoim dobrym czynem, rzekł z łagodnością biskup, i niepotrzebnie pozwala na takie publikacye, przedstawiające w sposób teatralnie dramatyczny ów wypadek, który w skutek tego traci na wielkości ewangelicznéj.

Don Silwester zakłopotany cokolwiek skłonił się z uszanowaniem.

Jeżeli biskup w ten sposób się odezwał na widok upodobania, z jakiém Romero czytał o swym tryumfie; to cóżby był powiedział, dowiedziawszy się, że autorem panegiryku był sam proboszcz.

— Przyjaciele, rzekł usprawiedliwiając się Romero, rozgłaszają cały wypadek, bez mego zezwolenia.

— Wspomnienie jałmużny, rzekł biskup, rani tego, który ją otrzymał. Posłuchaj pan Mortona. Jak to pięknie brzmią w jego ustach pochwały męztwa twojego.

— Czy Daniel już nas opuszcza? spytał Romero.

— Nie, odparł biskup. Za zgodą mojego brata prosiłem go, żeby pozostał jeszcze z piętnaście dni lub więcéj.

D. Juan, który siedział pogrążony w zamyśleniu obok córki, podniósłszy głowę rzekł:

— Czy nie byłoby dosyć dni ośmiu?...

— Jak chcesz, lecz ja już mówiłem o piętnastu.

— Jak ty chcesz, odparł D. Juan. W téj chwili obchodzi nas głównie obiad. Glorio, kiedyż będzie ten obiad na miłość boską?...

— Już mogę panów prosić, odparła Gloria, z któréj czarnych oczu tryskało szczęście. Stryju, doktorze, proboszczu, panie Rafaelu... proszę...

— Czy Morton już wychodzi?... spytał Sedenio, odkładając na bok gazetę.

— Pierwszy raz dzisiaj, rzekł biskup. Oto jest.

We drzwiach stanął cień. Był to Morton, blady, piękny, podobny do męczennika pierwszych wieków.

— Bardzo dobrze, odważnie, przyjacielu, rzekł proboszcz, wychodząc na spotkanie cudzoziemca.

Biskup wstał opiérając się na swéj lasce, a gdy Daniel podał mu ramię, wyszli oba naprzód a za nimi reszta towarzystwa.

Gloria zamykała orszak.

Daniel Morton ocalił ledwie część ładunku dość znacznego a i tę rozdzielił pomiędzy opuszczających Fikobrygę rozbitków. Zawiadomiwszy jednak o wypadku swoim konsula angielskiego, rezydującego o 16 kilometrów od Fikobrygi, otrzymał wkrótce dwa wielkie kufry z rzeczami. Nazajutrz po pierwszém wyjściu z domu zrobił wycieczkę w okolicę i powrócił wieczorem na rączym karym koniu.

— Miałem zamiar kupić sobie dzielnego rumaka, na nieszczęście ten nie jest wcale prototypem piękności, tyle tylko, że chodzi, rzekł Daniel, zatrzymując się przed werendą domu, gdzie po wieczornéj przechadzce spoczywała trójka Lantiguów.

— Dla mnie jest on prześliczny, szkoda tylko, że nie biały, zauważył D. Angel.

— Ależ nie sądziłem nawet, żebyś pan tu dostał takiego konia, potwierdził D. Juan, oglądając źwierzę.

Gloria milczała.

— Mam już rumaka, rzekł Morton, wchodząc na ganek, brakuje mi jeszcze koniuszego.

Jakoż tego samego wieczora Gasparneo, syn Roguea, dzielny chłopiec, zgodził się do Mortona za służącego.

— Widocznie rozbudza się w panu sympatya do naszéj ziemi, rzekł D. Juan.

— Może też w skutek tego dłużéj pana mieć będziemy, wtrącił biskup.

— Bardzo być może, odparł Morton.

— W ciągu dni kilku kawaler hamburski zwiedził doskonale całą Fikobrygę i wszystkie jéj osobliwości, wchodząc nawet w bliższe stosunki z mieszkańcami, którzy okazywali cudzoziemcowi żywą sympatyą. W domu Lantiguów Morton zdobył sobie życzliwość obu braci uprzejmém obejściem się i rozmową nader przyjemną. Okazywał on w niéj zwykle głęboki rozum bez pedanteryi, uczuciowość bez afektacyi i najdokładniejszą znajomość form towarzyskich.

Na nieszczęście, pomimo najgorliwszych usiłowań, biskupowi nie udało się przerobić Mortona na katolika; chociaż młodzieniec okazywał w każdéj dyspucie gruntowną znajomość ksiąg świętych od Genezy aż do Apokalipsy i nie lekceważył téż ojców kościoła. W rezultacie jego ekscelencya postanowił zrzec się swego zamiaru z tém atoli przekonaniem, że pan Bóg zaprowadzi heretyka innemi drogami do światła prawdy.

D. Juan brał z początku żywy udział w tych religijnych rozprawach, lecz wkrótce odsunął się od nich, żałując czasu i utonął po dawnemu w księgach, którym najsystematyczniéj poświęcał cztery godziny rano i tyleż wieczór.

Pewnego dnia, czując się bardzo zmęczonym, porzucił zwykłą robotę i wstąpił do Daniela na pogawędkę. Pomimo, że była to godzina codziennéj polemiki, biskup nie zastał Mortona.

— Jak widzę, rzekł uśmiechając się D. Juan, brat mój uważał za stosowne opuścić swe stanowisko.

— Jego ekscelencya biskup, odparł Morton, jest tak dobry i mądry, że niewątpliwie zdobędzie wiele stanowisk w świecie. Te, których on zdobyć nie może, są zapewne niezwalczone!... Gdyby kraj ten miał tak cnotliwych pasterzów jak D. Angel de Lantigua, w odrodzenie jego religijne łatwo uwierzyćby można.

— I tak przecież Hiszpania jest krajem najreligijniejszym w świecie.

— Ośmielam się jak najkategoryczniéj zaprzeczyć temu, rzekł spokojnie Morton. Znam wybornie południe waszego kraju i Madryt. Może jest lepiéj na północy, ale tam, panie, widziałem uczucie religijne tak wymarłe, iż sądzićby można, że wcale nie istnieje. Twierdzę stanowczo, że w żadnym kraju nie masz mniéj wiary, pomimo, że pretensye w tym względzie są tu większe niż gdzieindziéj. Nie tylko katolicy belgijscy i francuscy, lecz nawet protestanci wszelkich wyznań, żydzi i mahometanie posiadają więcéj zapału dla swéj wiary od Hiszpanów. Widziałem co się dzieje w wielkich miastach, będących, o ile sądzę, regulatorami uczuć narodu, i byłem zdumiony niereligijnością większéj części osób oświeconych. Klasa średnia, z małemi wyjątkami, odznacza się zupełnym indeferentyzmem; kult pra-

ktykuje się wprawdzie, ale tylko dzięki rutynie, tradycyi, względom publicznym i rodzinnym, nie zaś z pobudek wiary. Pomiędzy kobietami zdarzają się i dewotki; lecz mężczyźni omijają kościół jak najdaléj i jeżeli skazują się na cierpliwość wysłuchania mszy krótkiéj, to dla tego tylko, żeby przy wyjściu zrobić przegląd ładnych twarzyczek. Czyż to wszystko wystarcza, Szanowny Panie, żeby nazywać Hiszpanów najreligijniejszym narodem w świecie?

— Zapewne, że nie wystarcza, rzekł D. Juan smutnie, patrząc w ziemię.

— Pan zna wiele, bardzo wiele osób wykształconych, zacnych, prawych, osób, które cnotliwemi nazwać trzeba, dla których pan, będąc katolikiem, przyjaźni swéj nie odmówisz; osób, od których nikt się ze zgrozą nie odwraca......

— Już wiem co pan chcesz powiedziéć, rzekł melancholicznie D. Juan.

— I jak się panu zdaje: ile z tych osób praktykuje fundamentalną zasadę katolicyzmu: Spowiedź?

— O masz pan słuszność, masz pan słuszność, zawołał z prawdziwą boleścią Don Lantigua. Na każdą setkę przypada 95 osób, które się po lat dwadzieścia nie spowiadają.

— Jest i inny symptomat, ciągnął daléj Morton, który zauważyłem niejednokrotnie. Kiedy w domu odmawiają paciérz, mężczyźni wychodzą wówczas, nie gorsząc tém wcale płci żeńskiéj. Słyszałem takie pytania w ustach niewinnych dzieci: „Powiedz mi, mamo, dla czego tata się nie modli?“ Czasami nie wiadomo co na to odpowiedziéć, lecz niekiedy mówi się dziecku: „Tato mówi pacierz w swoim pokoju.“ Kobiéty mają tam w ogólności przekonanie, że gdy one same praktyki religijne wypełniają, mniejsza o to czy ich mężowie są bluźniercami. To téż stanowczo śmiem twierdzić, i niech to pana nie obraża, że Hiszpania jest krajem *par excellence* bluźnierczym i świętokradzkim.

— Jeżeli tak jest rzeczywiście, odparł przygnębiony D. Lantigua, to przyczyn tego nieszczęścia szukać należy w filozofii nowoczesnéj i wypływających z niéj swobodach.

— Nie sądzę, żeby naród hiszpański z téj właśnie przyczyny stracił wiarę. W innych krajach jest więcéj, o wiele więcéj filozofii niż u was, więcéj, nieskończenie więcéj swobód a przecież wiara istnieje. Mówicie o rewolucyach?!... Czyż Hiszpania miała kiedykolwiek coś takiego, coby na tę nazwę zasługiwało? Wszelkie przewroty polityczne w waszym kraju są tylko burzami w szklance wody. Hiszpania, na podobieństwo kobiéty kłótliwéj, o któréj mówi Eklezyastes, jest obecnie dachem o wielu rynnach.

— Zatrute książki, socyalne szaleństwa, miłość zbytku, szpetnéj chuci i materyalizmu zabójczego, wszystko to przechodzi do nas z zewnątrz.

— Wiele rzeczy, które gdzieindziéj są nieszkodliwe, u was trują. Widocznie moralny organizm Hiszpanii jest tak wątły, jak owych istot zdenerwowanych i słabych, które od samego zapachu trucizny zginąć mogą.

— Od zapachu?..

— Naturalnie, ponieważ olbrzymich postępów przemysłowych, zbytku, kolosalnego wzrostu bogactw i potęgi materyalnéj panowie nie macie w swoim kraju... zapach tylko. Hiszpania, o ile widzę, tak się w swoim katolicyzmie zasklepiła, tak ją wszystko dotyka boleśnie i truje; że z zewnątrz atomy nawet nowych prądów przeniknąć do niéj nie mogą.

— I cóżbyś pan jéj zapisał?..

— Powietrze wolne, rzekł Morton energicznie, powietrze wolne, marsz bez wytchnienia w pośród wszelkiego rodzaju wichrów z góry czy z dołu, swobodę ruchów, potęgującą lot myśli, pogardzenie żebraczym płaszczem i śmiertelnym całunem trupa a harde stawienie czoła burzom wieku. Hiszpania jest podobna do chorego z trwogi, którego ciało pokryte wiecznie warstwą okładów, plastrów, bandażów i innych śmiesznych prezerwatyw. Precz z tém wszystkiém, a ciało chorego odzyska siłę.

— Przedstawiasz pan tylko ujemne strony Hiszpanii, nie wspominając wcale o dodatnich, bronił swego kraju Don Juan.

— Nic nie znaczą dla mnie, ciągnął daléj Morton, teatralne oznaki nabożeństwa, które słuszniéj politycznemi niż religijnemi nazwać trzeba. Śmieję się z pobożności miasta, które, jak Madryt, wiele mówi o religii a jednak nie umiało nigdy wznieść jednéj świątyni, godnéj nie mówię już Boga, ale nawet ludzi, chodzących do niéj. W Madrycie, mieście tak bogatém, znalazłem więcéj teatrów niż w Londynie, jeden plac do walki byków, pyszne kawiarnie, łazienki, spacery i przeróżne miejsca rozrywek, gdzie się jednoczą sztuki z przepychem; lecz nie masz ani jednego kościoła, któryby nie był... szopą!... (*una pocilga*!).

— Na Boga, Mortonie, zawołał Lantigua, alez to jest opinia bardzo surowa.

— Lecz prawdziwa, odparł cudzoziemiec, śmiejąc się. I to samo dzieje się w całéj Hiszpanii. Najpobożniejsi niegdyś staliscie się obecnie największymi z niedowiarków. Powiedz mi pan, czy jest w Hiszpanii kobiéta, zdolna oddać serce i rękę człowiekowi, któryby codziennie parę godzin spędzał w kościele, bił się w piersi, miał

w swoim domu wodę święconą lub odmawiał modlitwy przed rozpoczęciem swych zajęć?... Najgorliwsi nawet wyznawcy Chrystusa ortodoksyą swoję starannie kryją, żeby się nie zdyskredytować u przyjaciół.

— Jest w tém cokolwiek prawdy; ale nie wszystko, przyjacielu.

— Obcy jaśniéj trochę widzą niż domowi, rzekł Morton. Może się mylę; wypowiedziałem jednak swoje przekonanie według sumienia, które mię zmusza do twierdzenia, że Hiszpania jest krajem najniereligijniejszym w świecie. To téż kraj ten, na którym niedowiarstwo wycisnęło tyle śladów, który tak wiele nauczyć się jeszcze powinien, który olbrzymie usiłowania zrobić musi, aby żyły, bezbarwną limfą osłabione, strumieniami krwi żywéj napełnić, taki naród nie jest wstanie nawrócić nikogo....

D. Juan milczał przez chwilę, nie dając żadnéj odpowiedzi, lecz wreszcie z właściwą sobie cierpkością tak mówił.

— Nie będę upornie twierdził, że kraj nasz jest obecnie najpobożniejszym w świecie, gdyż na nieszczęście to wszystko, coś pan wypowiedział, do pewnego stopnia jest prawdą; sądzę jednak, że w krajach, którebyś pan za wzór przedstawił, jeszcze ujemniejsze oznaki rozkładu znaléść można. Ma Hiszpania wielką liczbę synów zepsutych i niedowiarków, ale posiada nietknięty skarb świętéj nauki i zachowała nasienie, które ją przy opiece nieba zapłodnić może. Wpośród ohydy i lekkomyślności kiełkującéj tu i owdzie w naszym kraju, istnieje przecież wiara zupełna i czysta, niepokalana występkami, ta wiara, która musi zapewnić tryumf cnotom, jeżeli nie dziś... to jutro!.. Boleję nad błędami méj ojczyzny, ale przytém i silnie wierzę, że nie są tak nie uleczalne jak śmierć, jak gangrena, nurtująca zabójczo w innych krajach pod ułudnym płaszczykiem pomyślności, porządku i blasków artystycznych, przemysłowych, lub społecznych. Każda rasa ma właściwą sobie organizacyą. Nie wiem, czy mi Bóg pozwoli dożyć powszechnego odrodzenia świata, ale odrodzenia tego nie szukaj pan, po za granitowemi zasadami moralności katolickiéj. Z pośród ruin ten tylko odrodzić się może, kto zarodek owéj moralności ocalił, a ten zarodek, seniorze Mortonie, kraj nasz właśnie posiada, jakkolwiek pan go nie widzisz. Odtrąćmy owe rewolucye małe czy wielkie, owe prądy zewnętrzne, które i w innych krajach są znikome i przejściowe; odtrąćmy owę propagandę doktryn tak wstrętnych społecznéj Hiszpanów naturze; a wtedy przekonasz się łatwo, że ten naród, wskrzeszony po tylu latach pozornéj śmierci, będzie znów mocen nawrócić wszystkie ludy

świata, tak jest nawrócić je, seniorze, gdyż posiadanie prawdy pozwoli mu spełnić to posłannictwo.

W chwili, kiedy Daniel miał odpowiedzieć, dały się słyszéć głosy w ogrodzie a wraz z niemi szlochanie dzieci.

— Co to jest? zawołał Lantigua, patrząc w okno. Glorio... Glorio....

Morton podniósł się z miejsca.

— To nic—rzekł Lantigua, oddalając się. Dzieci Kajfasza przychodzą prosić o pomoc w imieniu ojca, hultaja, który współczucia mego już nadużył.

Jego ekscelencya wołał z ogrodu.

— Janie, Janie, pójdźno.

— Pójdzmyż, rzekł Lantigua. Brat mój zechce pośredniczyć w sprawie tego łotra... Ha cóż robić nędznik to wprawdzie, ale miłość chrześciańska zaleca nam przebaczenie i miłosierdzie.

IX.

Wyznanie.

Wyszli obaj. W ogrodzie był D. Angel a przed nim zawodził żałosny tercet dzieci brudnych i odartych.

— Co znaczy?... spytał D. Juan.

Zmartwienie zamknęło malcom usta.

— Kajfasz wypędzony przez D. Sylwestra, rzekł biskup. Ależ moje dzieci, jakże chcecie, żeby wasz ojciec miał służbę, gdy jéj nie spełnia.

— Cóż się to stało! Pewnie Karkaba zabrała wszystkie rzeczy za długi!

— Tak se.. se.. se.. niorze jęczał Sildo.

— A Don Amarillo wypędza z domu i oddaje w ręce sprawiedliwości?..

— Tak seni.. seni... orze...

— I jesteście teraz bez dachu?..

— Tak seni.. seni.. orze...

— Te biedne dzieci są nagie, rzekł D. Angel. Trzeba im dać jaką odzież.

— Gloria się tém zajmie. Gdzie jest Gloria?..

— Wyszła na gościniec, żeby pomówić z Kajfaszem, który ma tyle wstydu, że przyjść tu nie śmié.

— I słusznie. Nic dla niego zrobić nie myślę; już cierpliwości mojéj przebrał miarę. Każę nakarmić i ubrać te dzieci, lecz nic więcéj.

W téj chwili przybyła Gloria. Jéj płomienne oczy zwiastowały smutek duszy.

— Ojcze—rzekła, walcząc ze łzami, tu jest Kajfasz. Pragnąłby pomówić z tobą i opowiedzieć co zaszło, jeśli pozwolisz.

— Biedny człowiek! rzekł Lautigua, zwracając się do Mortona. Wolę, żebyś ty mi Glorio opowiedziała wszystko.

— Wypędzono go z zakrystyi.

— Bardzo słusznie.

— A D. Amarillo zabrał mu i ciesielskie narzędzia nawet— ostatni jego dobytek.

— Naturalnie. Przecież Amarillo nie na to ma piéniądze, żeby je Kajfasz przepijał i trwonił.

— Musiał tedy od wczoraj żebrać jałmużny po drogach wraz z dziećmi.

— Dosyć już tego, rzekł D. Juan poważnie. Trzeba mu pomódz. Każ im dać jeść i powiedz Kajfaszowi, żeby tu codzień przysyłał malców.

— Przyjdą—rzekła Gloria z radością.

— On niech się nie waży przestąpić progów mego domu.

— Ależ, ojcze....

— On jest nędznik!.. Niech dzieci przyjdą.

— Spraw im ubranie na mój rachunek, Glorio, rzekł biskup. Mogę także dać coś i Kajfaszowi...

— Dać mu piéniędzy, jest to samo, co go zachęcać do występków, twierdził Lantigua. Czy mam słuszność, panie Mortonie?..

— Najzupełniejszą.

— Zdaje mi się, rzekł biskup, kładąc rękę na ramieniu D. Juana, że na końcu pastwiska Kortiguery jest chatka oddawna niezamieszkała.

— Ho.. ho.. ho... mruczał D. Juan, uśmiechając się dobrotliwie. Odgaduję, czego żądasz.

— Tak, ojczulku. Chata Kortiguery jakkolwiek posiada tylko pół dachu, będzie dla biednego Kajfasza pałacem.

— Prawdziwym pałacem!.. potwierdził biskup.

— Niechże i tak będzie, rzekł D. Juan.

— Wyśmienicie — zawołał biskup. Teraz, dzieci, możecie odejść. Panna Gloria zajmie się wami. Gloria szybko pobiegła z dobrą nowiną do Kajfasza.

Skoro wróciła, już D. Angel połączył się z doktorem Sedenio, który mu pokazał świeżo nadesłane listy, a D. Juan zabrał się do swojéj pracy. W ogrodzie tedy był tylko Morton. Gloria, znalazłszy się sama obok niego, uczuła pewne zakłopotanie. Nie wiedziała, czy odejść, czy pozostać; a gdy cudzoziemiec zbliżył się do niéj w zamiarze rozpoczęcia rozmowy, dziewica drżała jak światło, które się odbija w bystro płynącéj wodzie.

— Glorio—rzekł Morton, o jakże ci biedni fikobryjscy są szczęśliwi!..

— Dla czego? spytała dziewica drżącym głosem.

— Bo ty pani, zajmujesz się nimi.

— Ten biédny Kajfasz jest bardzo nieszczęśliwy. Ma opinią nędznika i hultaja, a jest uczciwy; trzebaż mu podać rękę. On mnie tak kocha, że dałby się zabić za mnie.

— Bardzo wierzę. Umrzéć za panią!.. Ah, Glorio i jabym zrobił to samo.

— Co?.. wyszeptała Gloria, silnie wzruszona.

— Umrzéć za panią!.. Wszak pokochawszy ją, to jedynie tylko zrobić można!...

— Danielu, na Boga!..

— Glorio!.. W jaki sposób mam ci to powtórzyć, żebyś mi uwierzyć chciała?...

Wyrazista twarz cudzoziemca zdradzała wzruszenie głębokie i szlachetne.

— Odchodzę—rzekła Gloria nagle.

Widząc jasno to wzruszenie, błyszczące światłem szczególném w lazurowych oczach Mortona.

— Pani się oddalasz—rzekł Daniel, robiąc krok naprzód.

— Tak...

— Nie wysłuchawszy jednego słowa.

— Jednego słowa?..

— Że cię ubóstwiam, pani!...

Powiedział to już Morton dwa razy, nie temi jednak słowami i.. nie z tak wulkaniczną gwałtownością.

X.

Anioł zbuntowany.

W dwa dni po opisanéj scenie, Gloria, otrzymawszy od biskupa zapomogę pieniężną dla Kajfasza, pobiegła do niego czémprędzéj z tą nowiną. Zbliżając się do jego chaty usłyszała śpiew Mundidea, co naturalnie zadziwiło ją wielce.

Dzieciaki, spostrzegłszy pannę Lantigua, wybiegły z radosnym krzykiem, wołając:

— Panienka Gloria, panienka Gloria!...

Kajfasz wyjrzał oknem a przekonawszy się o prawdzie słów dzieci, rzucił robotę i wybiegając przed chatę wołał z radością.

— Panienka Gloria, opiekunka boska, anioł z nieba niech panienkę Bóg błogosławi w mojéj chacie!...

— Wesoły jesteś.

Mundidea sądząc, że śmiech niedostatecznie jeszcze uzewnętrznia jego radość, skakał jak dzieciak.

— Te wybryki wesołości, rzekła Gloria, siadając przed chatą na kamieniu, nie przystoją istocie nieszczęśliwéj, która tak niedawno znieść musiała straszne ciosy.

— Ależ ja nie jestem nieszczęśliwy, ja nie doświadczyłem żadnych ciosów, na mnie sama pomyślność się zlewa.

— Ty chyba straciłeś zmysły, odparła Gloria, wskazując tłómoczek z rzeczami, które przyniosła.

Jeśli mi dasz słowo, że będziesz człowiekiem dobrym, porządnym, oszczędnym, to cię wspomogę odrobiną....

Tu Gloria pokazała papiér z pieniędzmi.

— Pieniądze!.. zawołał Kajfasz. Ależ ja nic nie potrzebuję, jestem bogaty....

— Tyś bogaty!.. Zawołała Gloria z uśmiechem. Nie żartuj ze mnie.

— Jażbym z anioła mego śmiał żartować?.. Co mówię, wszystko prawda, panieneczko, zapewniał Kajfasz, przybierając minę poważną. Czy panienka myśli, ze moje rzeczy są u Karkaby?... Wierutne kłamstwo: są już u mnie. Czy panienka sądzi, że narzędzia moje zabrane? Fałsz wierutny, posiadam wszystkie. A może paniencce się zdaje, żem ja co winien Amarillowi? Ani reala: zwrócił mi wszystkie kwity, co do jednego.

— Zapłaciłeś je!...

— Czterysta trzydzieści dwa talary. Do tego doszedł dług mój, który od tysiąca realów zacząwszy, rósł przez lichwiarskie procenty coraz bardziéj, wznosząc się w górę jak dym kadzidła, co to nieznacznie aż pod dach sięga i cały kościół wypełnia.

— Tyś w gorączce.

— Ja sam tak wczoraj myślałem, kiedy...

— Tyś się oczyścił z długów i odzyskałeś swe rzeczy?... rzekła Gloria z wzrastającém zdziwieniem. Wytłómacz mi ten cud.

— Otóż to trafne słowo, panienko moja serdeczna, zawołał Jose z akcentem rozentuzyazmowanego mówcy. Cud!.. wierząc w cuda

zawsze miałem ochotę widzieć choćby jeden i myślałem: dla czego teraz nie ma cudów?.. Jakoż wczoraj właśnie cud ujrzałem, panienko moja święta.

— Czy skarb znalazłeś? pytała Gloria, śmiejąc się.

— Nie to. Skarb mnie znalazł. Bóg....

— Bóg!. nie mieszaj Boga z loteryą. Wygrałeś los główny.

— Nigdym nie grał.

— A więc...

— Bóg!.. powtórzył Mundideo.

— Bóg!. Bóg nie daje pieniędzy ni ztąd ni zowąd.

— I ja tak myślałem. Nie zaprzeczy panienka, że Bóg daje wszystkim chléb powszedni.

— Nie przeczę.

— Otóż mnie dał za jednym razem chléb całoroczny, chléb na całe życie.

— Ty mnie zwodzisz. Pokaż no swoje kwity zwrócone przez Amarilla.

Jose pobiegł do chaty a z nim Sildo i Paquillo Gloria pozostała sama z Celininą, które to imię było zdrobniałém skróceniem Marceliny.

— Kto tu był wczoraj?...

— Pan—odparło dziecko.

— Jaki pan?..

— *Blobly*.

Gloria, znając język Celininy, przetłómaczyła *dobry*.

— A jak przybył?..

— *Nauniu*.

— Aha na koniu?.. A zkąd?..

Celina podniosła główkę i w namaszczeniu religijném czysto i wyraźnie rzekła.

— Z nieba!..

Mundideo pokazał Glorii kwity.

— W rezultacie więc miałeś protektora, Kajfaszu. Była jakaś zacna dusza, która cię wsparła?

— Było coś więcéj panieneczko,—był cud!..

— Już nie ma cudów. Tu był ktoś, był ktoś—odparła Gloria. Masz mi zaraz powiedzieć, jak się nazywa ta osoba, która ci wyświadczyła taką łaskę.

Zakrystyan patrzał na Glorią w milczeniu, a twarz jego zwiastowała prawdziwą troskę.

— Czyś niemy?.. Mów.

— Nie mogę.

— Dla czego?..

— Bo mi nie wolno. Czuję, że obrażam panienkę, ale... ja nie mogę na pytanie panienki odpowiedzieć.

Gloria myślała przez chwilę.

— Rozumiem Chrystus powiedział: Ręka twoja prawa"....

— Nie powinna wiedzieć, co zrobiła lewa." Nie wszyscy są podobni do proboszcza, który jeśli rozda trochę piéniędzy biednym lub wydobędzie z rzeki niezdarnego pływaka, już sam o tém trąbi we wszystkich gazetach Madryckich.

— Kto tu był? pytała Gloria z prawdziwą niecierpliwością.

— Muszę milczéć—powtórzył Mondideo, spuszczając oczy.

— A jeśli ja zgadnę i wymienię nazwisko, czy je potwierdzisz?...

— Ha wtedy.....

— A więc tu był Morton?...

— Ah! panienko Glorio! Dla czego panienka zgadła?... Cudzoziemiec... ten ze statku parowego... Ja nie wiem jego nazwiska; ale on to jest podobny do Zbawiciela naszego.

— Żaden człowiek nie może być podobny do Zbawiciela, nie bluźnij.

— On tylko podobny z twarzy. Czynami naśladuje go także; wszak prawda? O panienko Serdeczna, ja popełniłem błąd wielki. Kazał mi przysiądz, że nie wyjawię nikomu... ale bo téż panienka nie jest nikim, to jest chciałem powiedziéć, że to *nikomu* nie odnosi się do panienki, która jest boską opiekunką, aniołem z nieba.

— Nie zdradzę twéj tajemnicy, rzekła Gloria, panując nad swém wzruszeniem, które było tak wielkie, że zaledwie oddychać mogła. Ale powiédz mi, jak przybył?.. kiedy, i co mówił z tobą.

— Mówiliśmy mało. On znał już moje położenie. Zapytał ilem winien i... *weź* to, rzekł, dając od razu całą sumę.

— On bogaty, rzekła Gloria.

— Pewnie Amarillo jest bogatszy, a jednak ... Kiedy mój zbawca, mój poseł niebieski wyciągnął rękę i w dłoń moję włożył piéniądze i ścisnął ją jeszcze swemi palcami, jam patrzył w niego nieruchomy sądząc, że to sen tylko. Myślałem, że oszaleję. Przyszedłszy do przytomności ucałowałem nogi jego ze łzami, lecz on mię podniósł i uścisnąwszy... bo mię uścisnął, panienko, i uścisnąwszy powiedział, że postępek jego jest rzeczą bardzo zwyczajną.

— I nie wyrzucał ci twych błędów; nie zachęcał do poprawy?..

— Powiedział do mnie: „Ty jesteś więcéj nieszczęśliwy niż zły. Bądź zawsze zacnym człowiekiem" i oto wszystko.

— I nie powiedział nic więcéj?.. Nie mówił ci.... Gloria zatrzymała się jak gdyby nie mogła dobrać słowa dla wyrażenia swéj myśli.

— O czém?...

— O innéj jakiéj osobie?.. Bo i to przecież być mogło. Przypomnij sobie dobrze; nic ci nie mówił o....

— O czém?...

— Czy nic nię powiedział o mnie?...

Dziewica walczyła z sobą, siląc się na zupełną naturalność.

— Tak pamiętam wszystkie jego słowa, jakbym je słyszał w téj chwili; nic mi nie mówił o panience.

Gloria wstała.

— Jakkolwiek nie jesteś w potrzebie, rzekła —com przyniosła dla ciebie, zabierz.

— Choć nic już nie potrzebuję, wezmę te rzeczy, które pochodzą z rąk świętych, ale pod warunkiem, że je oddam innym biedakom.. nieszczęśliwszym odemnie. Jeżelim grzeszył, poprawię się odtąd. Będę tak pracował, że senior D. Juan nie pożałuje swéj litości, którą mi okazał, dając tę chatę.

— Bądź zdrów—rzekła Gloria, uściskaj mię.

— Panienko Glorio, na Boga—zawołał Mundideo, cofając się.

— Czyż cię nie uściskał ten... ze statku? Więc i ja także.

I nim Kajfasz zdążył przeszkodzić, Gloria objęła białemi rączkami głowę biedaka.

— Teraz masz być zawsze zacnym człowiekiem rzekła, wychodząc śpiesznie z chaty.

Idąc ku domowi nie widziała ani krówek, spoglądających na nią tak wesoło, ani zielonego łąk kwiecistych dywanu, ani wieży fikobryjskiéj, ani ptastwa, towarzyszącego dziewczęciu w tym spacerze. Nic nie widziała okrom potężnego słońca, które wszedłszy tak niedawno w głębinach jéj duszy dosięgło swego zenitu, oblewając ją całkowicie potokami olśniewających blasków. Kiedy po wieczerzy wszyscy się udali na spoczynek, Gloria tylko jedna czuwała śród ciszy nocnéj. Szmer strumienia, żab kumkanie i powtarzający się w pewnych odstępach miłosny powiew wiatru—oto muzyka, która odzywając się w czuwającym mózgu dziewicy rytmem szczególnym podsycała działalność wyobraźni. Prawą ręką, niby aureolą opasała marzącą główkę jak ptaszyna, która się tuli pod własne skrzydła i sama z sobą, bez innego świadka prócz Boga, wiodła tajemną rozmowę, płynącą z głębin rozognionego uczuciem serca.

— Dziś powiedział do mnie: „Jam się pod złą gwiazdą urodził, Glorio, i przewiduję nieszczęścia. Serce mi mówi, że nie osiągniemy

celu naszych pragnień. Czy ty masz ufność?..“ Jam mu odrzeła: „Ufam Bogu“. A on odparł smutnie: „Niejednokrotnie się go wzywa a on milczy i dopiéro w innych razach pozwala, żeby walki serca rozstrzygały się drogą zbrodni ludzkich...“ Co on chciał przez to powiedziéć. Boże wielki, ja wątpię i szczęśliwa jestem; doświadczam słodkiéj błogości i drżę z niepokoju; spodziewam się i pełna jestem trwogi!.. Nieustannie myślę o tych kwiateczkach naszéj łąki, tak pięknych niby i szczęśliwych, lecz które, o ile mi się zdaje, ustawicznie drżéć muszą, w obawie czy nie są przeznaczone na pokarm dla zbliżającéj się krówki. Ja tak drżę ciągle, jakbym już widziała olbrzymią nogę wołu...

„Dzisiejsza jego wycieczka konna wydawała mi się tak długą... sądziłam, że już nie wróci i chmura ołowiana spoczęła na mém sercu, dławiąc je. Gdym go spostrzegła, skorom usłyszała tentent rumaka po kamieniach starego placu, wszystko się nagle wyjaśniło. Nie rozumiem, co to znaczy; jest w tém coś szczególnego. Przypominam sobie, że ilekroć byłam bardzo smutna, np. kiedy braciszkowie moi umarli, wszystko przybierało szatę mojego smutku. Drzewa, domy, niebo, Franciszka, ojciec, mój pokoik, moje suknie, ogród, ptastwo, maniolie, gościniec, słupy telegraficzne, zegar na wieży, obłoki, statki, Gierman, Kajfasz, proboszcz, klawisze mego fortepianu i wszystko, wszystko się przyodziało w moję zgryzotę. Obecnie wszystko się *w niego* przyodziewa.

„Przed dziesięciu dniami to mi powiedział, co już przeczuło moje serce. Przed sześciu dniami żądał odemnie odpowiedzi. Przez czas jakiś usiłowałam stłumić w sobie straszny ogień, ale wreszcie, nie mogąc dłużéj udawać zdradziłam się i słowa, na podobieństwo światła, wpadającego raptem gdy drzwi otworzą, wyrwały się niewstrzymane i jam mu wyznała, że go kocham nad wszystko w świecie. Nie wstydzę się tego i sumienie moje jest spokojne, Bóg jest ze mną, czuję go, znam go. Widzę olbrzymią rękę, która błogosławiąc mię kreśli w mojém wnętrzu znak krzyża.

„Glorio—rzekł do mnie, jeśli cię nie ubóstwiam, niech będę przeklęty, niech będą przeklęci ojcowie moi. Oddawna przeczuło ciebie serce moje. Gdym tu cię spostrzegł nie zdawało mi się, żem poznał Glorią, lecz żem ją znalazł.

Ani jedno słowo z ust jego nie wyszło, któreby nie było dla mnie rozkoszą. Nie dostrzegłam w jego osobie ani jednego poruszenia, któreby nie potęgowało méj miłości. Jego osoba jest doskonała, jego serce pełne jest zalet, nie wyczerpujących się nigdy, jego umysł jest słońcem, które wszystko oświeca, jego obejście słodkie i łagodne, jego słowa delikatne. On mnie ubóstwia i ja ubóstwiam

go także. A więc zapytuję niebo i ziemie, ludzi i Boga, dla czegóż by ten człowiek nie mógł być moim małżonkiem?.. Dla czego nie mielibyśmy stanowić oboje jednéj całości w życiu rodzinném, jak jesteśmy zbratani silnie duchem i jak pozostaniemy wiecznie w tym związku, wbrew wszelkim przeciwnościom!.. A więc dla czego?.. niech mi odpowiedzą dla czego"?.. Ponieważ nikt nie odpowiadał, Gloria dała sobie saméj przyzwolenie, mówiąc, jak gdyby nie była sama: „Będziesz moim mężem"...

Kiedy indziéj bieg myśli dziewczęcia przyjmował odmienny kierunek.

— To, co istnieje tylko dla dobra ludzi, mówiła wtedy to co od Boga pochodzi, co jest najpierwszą koniecznoscią i światłem każdéj duszy, religia jest dzisiaj dla mnie źródłem goryczy. Między dwojgiem stanęło ostrze strasznego miecza. Nikt nie może przyjść z pomocą, nikt zdruzgotać tego muru, który się rozsiadł między nami i o który przyszłoby nam potrzaskać swe ramiona, gdyby się na zawsze złączyć chciały.

Znam swego ojca. To skała. Niech będą przeklęci Marcin Luter, Reformacya, Filip II, Wilhelm Orański, Elektor, nie wiem już jaki, pokój Westfalski, rewolucye, Syllabusy i wszystko, o czém mi mówił ojciec dziś w wieczór. To nie pan Bóg, stwórca serc, cnoty i miłości, to ludzie dysputami swemi, zawiścią i ambicyami rozćwiartowali wiarę, niszcząc piękne dzieło Chrystusa, który wszystkich połączyć pragnął. Nie pojmuję, jak może szlachetna dusza czytać dziś tę historyą, pełną zarazy, łez, krwi i błota. Chciałabym, żeby wszystko poszło w zapomnienie, żeby wszystkie te średniowieczne księgi rzucono w ogień, żeby przeszłość nie kierowała obecnością i żeby te przeklęte różnice słów i formy skonały raz na zawsze.

— Pytam się: Czy on nie jest zacny, czy nie wypełnia praw boskich? Gdyby takim nie był, czyżbym go kochać mogła?... Czyż nie ma duszy wyjątkowéj? Czém-że się różni odemnie?.. Niczém!.. marném imieniem, słówkiem, wynalezioném przez zbrodniarzów, dla usprawiedliwienia swych nienawiści. Kochające się serca są téj saméj religii wyznawcami, kochankowie nie mogą mieć innych religij, a jeśli mają, to miłość ochrzciła ich w jedym Jordanie. Niech sobie będą różne sekty dla wrogów. Ja widzę tylko dwie religje: dobrych i złych: pierwszych umieszczam przy Chrystusie, drugich przy Barabaszu. Żeby Daniel miał nie być przy Chrystusie, żeby nie wyznawał religii dobrych, to przecież nigdy być nie może!...

— Gdybym to jednak powiedziała jutro przy świetle dzienném, rozśmiano by się zemnie. O Boże wszechmocny, ja to widzę tak ja-

sno jak światło, jak twe istnienie i moje, a przecież nie mogę tego powiedzićć głośno, żeby nie poczytano mnie za szaloną.“

Gdy tak myślała, ów głos tajemny, który kiedyindziéj podsuwał dumne rady, mówił do niéj teraz: „Podnieś się bez trwogi. Twój umysł jest wielki i potężny. Wyrwij się z pod téj uległości niewolniczej, zepchnij ten ciężar, który cię dławi i spotykaj śmiało uprzedzenia, błędy i fałszywe idee, zkądkolwiekby przychodziły. Ty wiele możesz. Będąc wielką powstań z nicości. Jeśli możesz wzlecićć ku gwiazdom, dla czego po ziemi się czołgasz?

Gloria, słysząc to, mówiła.

— Tak, tak. Ja umiem więcéj niż mój ojciec, ja wiem daleko więcéj od swego stryja. Skoro słyszę ich dysputy, mądrym językiem książek wygłaszane, mówię do siebie w duszy: „jednym wyrazem obaliłabym to waszych słów rusztowanie.“ Oni są dobrzy, pełni wiary, ale nie czują miłości, która jednoczy i rozdziela. Spoglądają na powierzchnię, ale nie widzą gruntu. Ja, oświecam, widzę go i dotykam. Nie mogę się mylić, gdyż światło boskie mi towarzyszy, bo kocham, bo chmury, które im wzrok zaciemniają, nikną przedemną. Byłam hipokrytką; usiłowałam poddać myśl swoję myśli cudzéj i ograniczyć swą duszę, zamykając ją w szrankach pozioméj sfery. Ale nie!.. firmament niebieski nie jest wielkości szkiełka, przez które na nie patrzymy. Zrzucę te powijaki, któremi jestem skrępowana, gdyż godzina swobody już wybiła i Bóg rzekł do mnie: „Wychodź, bo ja stworzyłem ciebie, żebyś miała własne światło jak słońce a nie służyła do odbijania cudzego jak bańka z wodą.“

Gloria czuła na licach łzy palące, mózg jéj płonął a w ciele dziewicy drgały arterye jak struny harfy, silną uderzane ręką. Wszystko w niéj wołało:

— Zbuntuj się, zbuntuj!.. Biada ci, jeśli się nie zbuntujesz!

Nie mogąc wytrwać w tym złowrogim spoczynku, wybiegła z łóżka, aby się otrzeźwić szelestem własnych kroków i chwytała rozgorączkowaną dłonią pogrążone w ciemności przedmioty.

— Gdzie jesteś, Panie i Boże mój? rzekła.

Dotknęła wreszcie ręką zawieszonego w jéj pokoiku Chrystusa z kości słoniowéj.

— Panie—zawołała. Czy podobna, żeby taka była wola twoja?. Wartoż było dla tego ponosić na krzyżu śmierć straszną?.. Spełniłoż się twoje prawo?

Skłoniła głowę na piersi, wydając jęki i płakała nad kielichem goryczy życia. Miała przed sobą dwie drogi: poddać się... lub zbuntować.

Pierwsze brzaski poranku, wkradając się do okna przez gęstwinę drzew bujnych oblewały romantyczném pół światłem uroczą i zlekka tylko okrytą postać Glorii. Pod naciskiem zimna z dziewiczego wstydu położyła się w łóżko, drżąc febrycznie i.. zasnęła.

XI.
Pożegnanie.

Pewnego poranku D. Juan rzekł do brata:

— Cudzoziemiec już dni 26 bawi w naszym domu. Czy słyszałeś, co mówił wczoraj wieczorem?..

— Słyszałem; jakkolwiek posiada dla nas wielką przyjaźń, delikatność jednak nakazuje mu oddalić się, aby gościnności naszéj nie nadużyć.

— Prosiłem go wprawdzie, żeby pozostał jeszcze przez dni kilka, nalegać wszakże nie myślę. Wypada, żeby już odjechał. Jak sądzisz?..

— Zgadzam się na to.

— No i cóż? rzekł D. Juan z pewną ironią.

Czyś zadowolony ze zwycięztwa?.. Widocznie ci protestanci im są dyskretniejsi, tém wytrwaléj obstają przy herezyi.

— Ja tak nie sądzę, mój bracie.

— A jednak wszystkie twoje usiłowania są bezskuteczne.

— Zkądże wiesz o tém?.. Ja mam nadzieję. Mówiłem, słuchano mnie, a więc zasiane słowo boskie. Czy możesz twierdzić, że nie wyda kiedyś owocu?..

D. Juan niedowierzająco pokiwał głową.

— W każdym razie—rzekł, dobrze zrobi jeśli odjedzie. Nie wypada, żeby ten człowiek bawił dłużéj w moim domu. Pozbawimy się wprawdzie wybornego towarzystwa; ale na to nie ma rady. Morton posiada tyle zalet, tyle dziwnego czaru, a córka moja jest tak wrażliwa!...

— Więc i cóż?.. lękasz się o Glorią?

— Nie lękam się o nic... Jakżebym mógł podejrzywać nawet moję córkę... Wszak tu jest przepaść niezgłębiona, religia, a w obec takiéj przeszkody powstrzymać się musi nietylko zdrowy rozsądek, ale nawet fantazya sama i wrażliwość dziewczyny, wychowanéj w wierze katolickiéj. Inaczéj być nie może. Bądź co bądź jednak należy prawdopodobieństwa nawet nie dopuszczać.

— Skrupół zbyteczny. Pojąć nie mogę, jakim sposobem w kobiécie prawdziwie pobożnéj zrodzić się może miłość dla człowieka innéj wiary.

— Ależ, kochany biskupie, racz pamiętać, że miłość jest czysto ludzka.

— A religia boska, tak, ale.....

D. Angel zmieszał się.

— Wszystko co tylko jest ludzkie, jest możliwe, prawił D. Juan; należy więc strzedz się okazyi.

— Dobrze mówisz; nic na tém nie stracimy.

Po téj krótkiéj rozmowie Lantigua utonął w księgach a wieczorem, gdy skończył pracę, rzekł do córki.

— Wiesz, że Senior Morton wyjeżdża. Oddał mi znaczną sumę dla biednych w Fikobrydze. Ja, ty i biskup musimy się zająć jéj rozdzieleniem.

Gloria nic nie odrzekła, a jakkolwiek siliła się na pogodę, D. Juan dostrzegł jakąś chmurkę na jasném czole córki.

— Co ci jest?.. zapytał niespokojny.

— Nic, ojcze. Myślałam, że nie znajdziemy tylu biednych dla takiéj sumy.

— O znajdzie się... poszukamy. Obdarował także i biedne mniszki klasztorne. Już to pieniądze mają dla tego człowieka takie znaczenie jak dla nas piasek na wybrzeżu.

— Ale też nie jest bogaczem sknerą.

— O tém nie wiemy.

— Czy on będzie zbawiony, ojcze?..

— Zapytaj o to stryja—rzekł D. Juan, zwracając się z uśmiechem do wchodzącego biskupa. Słyszysz, bracie, Gloria mię o zbawienie Mortona dopytuje. Alboż ja wiem, jaką religią wyznaje.. pewnie żadnéj.

W téj właśnie chwili wszedł Morton a pocałowawszy pierścień biskupi, uścisnął ręce D. Juana i Glorii. Był lekko wzruszony, co bynajmniéj nie dziwiło dwu braci, gdyż i oni także wyjazdu rozbitka obojętnie przenieść nie mogli. Koń czekał go już na placyku.

— Czy pan kiedy zajrzy w te strony?.. spytał Don Juan, ściskając dłoń młodzieńca.

— Bez wątpienia, szanowny panie. Do Anglii zamierzam wyjechać w przyszłym miesiącu.

— Zawsze pana z prawdziwą przyjemnością witać będziemy, rzekł biskup, głosem wzruszonym. Masz pan we mnie więcéj niż przyjaciela.

— Nierównie więcéj, odparł Morton z uczuciem, gdyż widzę w jego ekscelencyi swego szlachetnego doradcę, czcigodnego dusz pastérza i piękny obraz Boga.

— Chociaż nie posłuchałeś pan mojéj rady, mam nadzieję, że jeszcze zostaniesz katolikiem.

— Oby pan Bóg pozwolił mi zostać na zawsze uczciwym, rzekł Daniel, spuszczając oczy.

Pożegnawszy się ze wszystkimi po raz drugi, Morton wsiadł na konia i odjechał.

Na wschód od Fikobrygi jest lasek jodłowy, samotny i opuszczony, sąsiadujący z morzem, wystawiony na wszystkie wichry i uragany. Najgęstszy w środku, przerzedza się na krańcach, tworząc ciasne uliczki. U stóp tego lasku rośnie mnóstwo prześlicznych kwiatków, niebieskich osobliwszego gatunku, których nie znają żadne ogrody. Natura jest tu samotna, zajęta sobą, skupiona w swéj ciszy leśnéj, a podróżni zdają się tu słyszeć tony owéj muzyki milczącéj, która w takich miejscach szepcze do nas „nie zakłócajcie mego spokoju...

Pewnego lipcowego wieczora dywan z paproci uginał się pod kopytami konia, a Daniel Morton, który na nim jechał, zatrzymał się w środku lasu przy ogrodzeniu murowaném, gdzie kamienie i zioła, splatając się w bratnim uścisku, zdawały się tworzyć jednę rodzinę. Jeździec nie potrzebował czekać, bo o dwa kroki daléj, wierna, punktualna, jak godziny, stała Gloria.

Wszystkie piękności cichego pogodnego wieczoru zespoliły się w jéj osobie, gdy spoczęły na niéj pałające oczy kochanka. I ona była lazurowém niebem, morzem głębokiém i rzewnéj harmonii pełném, ziemią świeżą i zwilgoconą uśmiechami, słodkim cieniem gaju, wydającego woń balsamiczną, światłem, które co chwila wkradało się przez rzadsze miejsca lasku, przypominające okna katedry.

Gloria oglądała się na wszystkie strony.

— Nie ma nikogo, rzekł Morton.

— Zawsze mi się zdaje, że ktoś nas widzi, odparła Gloria. Pozawczoraj, wracając, spotkałam żonę Amarilla.

Owady spoczywające na kwiatkach, pająk pnący się po idealnéj lince, skała morska, która przy ciągłém falowaniu wody kryła się i wynurzała na podobieństwo szpiega co chwila wysuwającego głowę, oto byli jedynie świadkowie kochanków w tém ustroniu.

— Nie ma nikogo, powtórzył Morton.

— Ale kiedykolwiek znajdzie się, rzekła ze smutkiem Gloria, i wypędzą nas z tego miejsca, jak wypędzono nas z mego domu. Obeszło się bez wypadku siedm razy, ale czy uda się nam raz jeszcze. Wszystko tu podejrzliwemi oczyma na nas patrzy, mój Danielu.

— Jeśli jesteśmy czyści oboje, czemuż żyjemy jak zbrodniarze? Nie przestąpiliśmy w niczém praw boskich a musimy uciekać jak podpalacz, który podrzucił ogień pod dach bogacza. I dla czego?

— Ja sobie to pytanie wciąż zadaję: dla czego? Czy to być może, Stwórco, żeby taka była twoja wola?..

— On tego nie chce, rzekł melancholicznie Daniel. Jesteśmy narzędziami tych doskonałych społeczeństw, które uważając się za panów prawdy absolutnéj strzegą pilnie praw kastowych, jakby w czasach Amalecytów i Filistynów.

— Ja myślałam wczoraj wieczorem, że co sami ludzie zrobili, to i sami odrobić mogą, odparła Gloria, pochłaniając wzrokiem twarz Mortona, którego piękne spojrzenie zdawało się z wysokości krzyża zstępować. Wszak to nie jest rzeczą trudną. Ale dość o tém. Wbrew nieustannym obietnicom, ile razy tylko zejdziemy się tutaj, zawsze mówimy o rzeczach smutnych.

— Bo treścią naszéj rozmowy jest religia, a religia piękna, kiedy jednoczy; straszna i okrutna, gdy rozdziela.

Morton utopił swe oczy w źrenicach Glorii.

— Czego tak patrzysz, spytała Gloria, cofając się.

— W twoich źrenicach czarnych widzę morze i niebo, cały krajobraz odbija się w nich jak w źwierciadle.

— Mówmy poważnie, Danielu!...

— Więc o czém? zawołał Morton;—jeżelić wszystkie nasze rozmowy są smutne jak myśli skazanego na śmierć.

— My także jesteśmy na śmierć skazani, rzekła dziewica, wydobywając swoję rękę z dłoni kochanka; a to najgorsza, że nam przychodzi ginąć niewinnie. Prośmy gorąco Boga, a on nam wskaże ratunek...

— Odwagi tylko, ukochana!

— Odwagi! Na Boga—rzekła dziewica smutnie, jeśli ty jesteś mężnym i ja będę również.

— Dla czego odpowiadasz w ten sposób?.. Gdy katastrofa się zbliży, ofiary wielkie spełnić się muszą.

— Bez wątpienia, mój miły, ofiara jest konieczna, lecz kto ma ją spełnić z nas dwojga: ja?. czy ty?

Morton, pogrążony w głębokim smutku, patrzył w ziemię.

— Oboje, ukochana, rzekł wreszcie.

— Oboje?. powtórzyła Gloria zmieszana... Nie rozumiem ciebie, wytłómacz mi to, Danielu. Jest nas dwoje.. kochamy się.. lecz jakkolwiek dusze nasze uwielbiają jednego Boga, jesteśmy przecież innych religij wyznawcami. Jednę z nich tedy usunąć trzeba.

— Niewątpliwie—rzekł Morton ponuro.

— Należy spłacić ten podatek społeczeństwu. Co myślisz o tém?..

— Że społeczeństwo jest strasznie dzikie i z wielką trudnością przebłagać się daje.

— To znaczy odparła Gloria z goryczą, że rozwiązanie jest niemożliwe. Ja drzwi otwieram—ty je zamykasz.

Morton westchnął, patrząc w niebo, jak gdyby drzwi otwartych, czy zamkniętych nie widział z żadnéj strony.

— Czemu tak wzdychasz?.. co ci jest?.. pytała Gloria z niecierpliwém udręczeniem duszy zbolałéj.

— Nic!. myślałem o nieszczęściu swojém, które jest większe, nieskończenie większe od twego.

— Nie.. nie.. odparła Gloria, wybuchając płaczem. Nabieram przekonania o jednéj rzeczy, o jednéj rzeczy strasznéj·.. Danielu, ty mię tak nie kochasz jak ja ciebie!..

— Glorio, ubóstwiona moja Glorio, nie zabijaj mnie temi skargami,—zawołał młodzieniec, okrywając pocałunkami dłonie dziewicy. Gdybyś wiedziała ile cierpię, ja, który doszedłem do pogardzenia wszystkiém, imieniem, rodziną, miłością starych rodziców, do utraty wszystkiego dla ciebie, ja, który teraz jeszcze drżę i waham się, zarówno dręczony myślą stracenia ciebie jak i nadludzką ofiarą, któréj wymagasz. Wszakże dość jasno powiedziałaś, że jedna z dwu religij ustąpić musi.

— Tak!

— I zapewne myślisz, że moja?...

— Jesteś mężczyzną. Mężczyzna powinien się poświęcić dla kobiéty.

— Ja sądzę, że wyrok na tego spaść powinien, kto słabiéj wierzy. Jakaż jest twoja wiara?..

— Wierzę w jednego Boga, Stwórcę nieba i ziemi, zawołała Gloria, kładąc rękę na piersiach i wznosząc ku niebu oczy łzami i światłem boskiém błyszczące; wierzę w Chrystusa, który umarł na krzyżu dla odkupienia rodu ludzkiego, wierzę w odpuszczenie grzechów, zmartwychwstanie ciała i w życie wieczne. Błagam cię, abyś się za szczerość moję wywzajemnił. Nigdyś mi nie mówił otwarcie o swéj wierze.

— Glorio, wiara twoja jest zachwiana w wielu rzeczach przez kościół zalecanych. Wyznałaś mi to.

— Jest silna i ognista w kardynalnych.

— Wszystko jest kardynalne; zapytaj stryja.

— Nie mam potrzeby objawiać swojéj niechęci w pewnych względach.

— A więc nie jesteś dobrą katoliczką. Przedewszystkiém trzeba wierzyć bezwzględnie. Widzisz tedy, że....

— Cóż takiego?..

— Że ja jestem religijniejszy od ciebie, ponieważ wierzę we wszystko, absolutnie we wszystko, czego mię uczy moja religia.

— Więc ztąd wynika, zawołała Gloria tonem rozpaczy, żem ja powinna zrobić ofiarę?...

Morton milczał.

— To znaczy—zawołał w końcu, że nam umrzéć trzeba, umrzéć, Glorio, i że Bóg da nam to spełnić w przyszłém życiu, co jest niemożebne na tym świecie, bo świat ten, przyjaciółko mego serca nie dla nas!...

Gloria podniosła się i w natchnieniu szczytném, które z męczeństwem graniczy, zawołała:

— Bądź zdrów!..

Morton przyciągnął ją do siebie całą siłą i dziewica upadła na kamienne siedzenie jak martwa.

— Żadne z nas dwojga nie poświęci się samo, lecz oboje razem w jednym czasie, pocieszał Daniel.

— Chrystus, który umarł na krzyżu, rzekła Gloria, Chrystus, którego ubóstwiam, zostawił mi przykład poświęcenia siebie samej w razie potrzeby; lecz jeśli daje mi siły do przyjęcia ofiary całego życia, nie da ich wcale, gdy idzie o spełnienie kielicha gorszącéj zmiany religii, dla małżeństwa wstrętnego mojéj rodzinie: O Boże wielki! szczęśliwe są te kraje, gdzie religia gnieździ się w sumieniach nie na ustach, gdzie nie jest bezbożném prawem ras! Niechaj niewola odnosi się do wszystkiego, lecz nie do serca!..

Kończąc swój gorący protest, Gloria znów się podniosła, powtarzając:

— Żegnaj mi,. żegnaj na zawsze!..

— Straszne wymówiłaś słowo—rzekł Morton z goryczą; słowo, które być musi jedyną dla nas ucieczką... Bądź zdrowa!.. Nie mam innych wyrazów, Glorio. Czułem w głębi duszy to słowo, lecz niewymówić go nie mogłem. Tyś je wypowiedziała.

— Bo mi wydarłeś z serca resztkę nadziei.

— Bom nie znalazł innego rozwiązania dla naszych cierpień, bo wyjście jest niemożliwe, bo lekarstwo znaléść się nie da, bo już inaczéj być nie może.

— Niech więc tak będzie, szepnęła Gloria, wpadając w stan odrętwienia.

— I Bóg chce tego.

— Rozłączymy się tedy na zawsze.

— Jutro.

— Nie, dziś, dziś jeszcze.. mówiła gorączkowo dziewica.

— O potęgo ofiary—zawołał Morton w uniesieniu. Szlachetną i piękną masz duszę, Glorio. Jeśli żądasz, abyśmy się na zawsze rozłączyli, pozwól mi widzieć cię jeszcze dłużéj. Glorio, kwiatku najmilszy, gwiazdo mojego życia, wysłuchaj mię!...

Gloria podniosła się.

— Jeszcze chwilę.. zaczekaj, wołał Morton, zatrzymując dziewczę. Biorę Boga na świadka i przysięgam, że mi jesteś droższa nad wszystko w świecie, że cię ubóstwiam i że nigdy, póki żyć będę, nigdy inna miłość nie wejdzie do mego serca i żadne inne wspomnienie prócz o tobie nie przetrwa do grobu w méj pamięci!..

Gloria czuła drżenie rąk Mortona, który pieścił jéj dłonie, czuła i gorący oddech słów namiętnych i pełen miłosnego żaru wzrok kochanka... Serce dziewczyny wiło się w mękach zgryzoty.

— Glorio.. Glorio—wołał daléj zrozpaczony Morton; wyrzut sumienia będzie mię gryzł całe życie, jeśli ci nie wyznam teraz, żem jest zbrodniarzem, bo nie powinien był kochać ciebie, a kocham, nie powinienem był patrzéć na ciebie, a patrzę. Twoje oczy, wdzięk twój, piękność, dobroć, cała dusza twoja rządzi mną najwszechwładniéj. Zbliżyłem się do ciebie, zapominając o strasznych prawach, które nas dzielą. Przyznaję, żem powinien był uciec, póki nieszczęście uleczyć się dało, lecz byłem słaby; poznawszy twoję miłość, nie mogłem się oprzéć jéj potędze. Łudziłem się, że przeszkody zwalczyć można, gdy one właśnie wciąż wzrastają. Nadeszła chwila katastrofy i ty mi dałaś przykład. Jesteś wielka, bo umiesz dokonać tego, czego ja, nędzny, nie umiałem. Przekleństwo mojéj słabości! Wracam cię teraz twemu domowi, twéj religii a wracam cię czystą i nieskalaną.. Czy postąpieniu memu przyznasz choć odrobinę szlachetności?...

— Tak—szepnęła Gloria, łkając.

— Czy mieć będziesz do mnie chociaż cień żalu?..

— Nie.

— Czy uważałabyś mię za godnego siebie, gdyby fatalność urodzenia nie roztwarła przepaści między nami?

— Tak.

— A więc teraz—rzekł młodzieniec wstając rozłączmy się!..

— Na zawsze wyszeptała Gloria, podnosząc się również.

Blada i wspaniała w swéj boleści zdawała się być aniołem śmierci. Daniel opasał ją ramionami. Dziewica wsparła czoło na piersiach przyjaciela, oblewając je łzami przez krótką chwilę.

— Daj mi pamiątkę prosił Morton.

— Pamięć wierna nie potrzebuje pamiątek materyalnych.

— Prawda i ja ich nie potrzebuję; ale skoro odchodzisz nie odchodź cała. Daj mi cokolwiek; chociażby promień włosów.

Gloria podniosła rękę do głowy i oddzieliła pukiel.

— To już noc prawie.

— Dla mnie wszystko jest nocą, szeptał cudzoziemiec.

Młodzi ludzie pożegnali się wzrokiem po raz ostatni—i po chwili w dwu przeciwległych kierunkach posuwały się zwolna dwa cienie...

XII.

Spowiedź.

Ogrom przebytych cierpień musiał się odbić na twarzy Glorii i zwrócić uwagę D. Juana.

— Córka moja—rzekł pewnego razu do brata, nie jest spokojna. Coś tam stać się musiało w jéj duszy. Słyszałem w jéj ustach zdania, świadczące o wielkim przewrocie w jéj religijnych pojęciach.

Gdy wymawiał ostatnie słowa—Gloria weszła.

— Dziecko moje—rzekł Lantigua, corocznie na świętego Jakóba spowiadałaś się. Czy dawno spełniałaś ten obrządek?..

— Na wielkanoc—odparła Gloria, blednąc jak delikwent, który się czuje słabszym od sędziego.

— O! to dawno, bardzo dawno, rzekł biskup łagodnie.

— Wypadałoby się wyspowiadać dziś lub jutro, zauważył z udaną obojętnością D. Juan, żebyś mogła dzień świętego Jakóba uczuć jak należy. I ja dziś spowiadać się będę, pójdziemy razem.

— Moj spowiednik, ojciec Pequito, wyjechał rzekła Gloria.

— Więc i cóż z tego? kiedyś spowiadałaś się przed stryjem.

— Będąc dzieckiem.

— A teraz już byś nie mogła?..

— Wstydzisz się strasznych grzechów, owieczko, rzekł biskup, śmiejąc się.

— A więc oddalam się, rzekł D. Juan, kiedy biskup ojcowskiém ramieniem przygarnął do siebie penitentkę.

Gloria nie mogła wyrzec ani słowa i poddała się.

Po chwili D. Angel wiedział już wszystkie tajemnice Glorii i.. odmówił penitentce rozgrzeszenia.

— Nie mogę cię rozgrzeszyć, córko moja.

Gloria schyliła głowę z pokorą.

— Za chwilę wyjdziemy do ogrodu i pomówimy obszerniéj.

Grzesznica pobiegła po kapelusz i laskę stryja.

— Zaiste chciałbym, żeby ojciec twój wiedział o wszystkiém, rzekł biskup, idąc z dziewicą. Naturalnie ja nie mogę powiedziéć ani słowa, jeśli mię do tego nie upoważnisz, tak jak gdybym nie słyszał nic na spowiedzi.

— Chcę, żeby wiedział, odparła Gloria.

— Bardzo dobrze... nie lękaj się... poradzimy temu.

Po chwili milczenia mówił daléj.

— Powiedziałem, że cię nie mogę rozgrzeszyć; teraz się dowiesz dla czego. Nie o miłość tu chodzi, która w twym wieku jest rzeczą naturalną; utajenie nawet tego uczucia i schadzki, cnotliwéj pannie ujmę czyniące, pomimo, że są wielkim grzechem, przebaczenie zyskać mogą. Żeś pokochała człowieka innéj wiary, pięknego wprawdzie i pełnego zalet, ale nie katolika i ten błąd przebaczyć jestem gotów, jeżeli odtąd serce twoje dla heretyka zamknięte będzie. Lecz surowość moję względem ciebie spowodowało to wyznanie, że w twym umyśle zrodziły się pojęcia, postanowieniom kościoła świętego uwłaczające, żeś dotknięta zarazą tego wieku, o tyle pospolitą, ile zgubną.

Gloria słuchała z uszanowaniem a biskup odpocząwszy chwilę, tak daléj mówił.

— Twierdzisz, że ludzie mogą w każdéj religii znaléść drogę zbawienia i chwały wiecznéj, a nie wiesz, dziecko, że to mniemanie potępione zostało przez papieża w Encyklikach: *Qui pluribus* i *Singulari quadam* oraz w alokucyi *Ubi primum*. Ty utrzymujesz, że człowiek posiada wolność wyznawania téj religii, którą pod wpływem światła swego rozumu za prawdziwą poczytuje; gdy tymczasem fałsz ten potępiony został w listach apostolskich *Multiplices* i w alokucyi *Maxima quidem*. I cóż ty na to?...

Jego ekscelencya zatrzymał się, patrząc badawczo na Glorią.

— Powiédz mi, dziecko, jakim sposobem te szalone pojęcia zaszczepiły się w twoim mózgu?... Niewątpliwie człowiek, którego miałaś nieszczęście pokochać, przejął cię tak przewrotnemi zasadami!

— To nie on, rzekła stanowczo i ze wzruszeniem penitentka. Daniel, tając się zawsze ze swoją wiarą, zdradzał przy każdéj sposobności przekonania silne a nawet pełne nietolerancyi. Zresztą był zawsze tak delikatny, że nie wygłaszał nigdy ani słowa, któreby re-

ligią przodków moich zachwiać mogło. Mówiliśmy tylko o religii jako o węźle społecznym i nic więcéj.

— Więc to ty?... zaczekaj... zmęczyłem się bardzo, usiądźmy na tym kamieniu.

— Ja tylko, ja sama jestem winna, odparła Gloria, siadając również. Bardzo dawno, nim go poznałam jeszcze, te same myśli nurtowały w mojéj duszy dniem i nocą i ja niemi chełpiłam się dotąd we wszystkich rozmowach z własném sumieniem.

— O gdyby twój ojciec wiedział o tém, zawołał biskup ze smutkiem....

— Mój ojciec i ty stryju przekonacie mię chyba, rzekła Gloria, schylając pokornie czoło.

— Więc mamy cię przekonać!... O córko moja, tyś w malignie!... Pamiętaj, że jeśli nie odepchniesz od siebie tych myśli, nie dam ci rozgrzeszenia.

— Byłby to dla mnie cios straszny!... ale, czyż mogę działać wbrew przekonaniu!... Te myśli, których mi się wyrzec każesz, stryju, są we mnie głęboko zakorzenione i wyrwać ich z mózgu niepodobna.

— Matko Najświętsza!... co ty mówisz?...

— Czy nie byłoby gorzéj przeczyć ustami a wierzyć w głębi duszy!

— Zapewne!... lecz tyś szalona!... ciebie opuścił duch boży!...

— Co mię opuściło, nie wiem, stryju kochany! ale mocno jestem przekonana, że przy pojęciach, które potępiasz, wytrwam do śmierci. Nie chcę kłamać, nie chcę być obłudną. Dusza moja do dna otwarta, patrz w nią, stryju; sumienia przecież gwałcić nie mogę.

— Więc dla ciebie nic nie znaczy powaga?... biegniesz z herezyi w herezyą, zawołał D. Angel przerażony.

— Jeśli rzeczywiście jestem w błędzie, postaram się wyjść z niego; ale tymczasem, ukochany pasterzu mój, strzegę się kłamstwa, nie chcę udawać uległości, któréj nie mam, i wiary w rzeczy z sumieniem mojém niezgodne, bo nie kaprys, ale potężna siła przekonania do téj stanowczości mię zmusza.

— Więc się buntujesz, Glorio, buntujesz?...

— Stryju mój, stryju najlepszy, zawołała Gloria, tonąc we łzach, jeśli stracę miłość twoję, zdawać mi się będzie, żem potępiona.

— I stracisz ją, stracisz wszystko, odparł Don Angel surowym głosem... To nie może tak zostać. Czy mię upoważniasz do wyjawienia tego ojcu?

— Wszak powiedziałam, że i owszem.

— Pójdźmy więc do domu, rzekł biskup, podnosząc się.

Przez drogę nie powiedzieli do siebie ani słowa. D. Angel zdawał się być mocno przygnębiony, a Gloria szła ku domowi smutna w towarzystwie tajemniczego głosu, który jak dawniéj tak i teraz szepcząc do ucha dziewicy, mówił:

— Zbuntuj się, zbuntuj. Twój umysł jest wyższy. Powstań... wznieś czoło; zrzuć bielmo z oczu i twarzą w twarz spoglądaj w słońce prawdy.

(*C. d. n.*)

HERBERT SPENCER

IV.

Psychologia przedmiotowa.

I. Dane psychologiczne. Jedna z najgłówniejszych różnic, jakie dostrzegamy między zwierzętami niższéj a wyższéj organizacyi, jest różny stopień posiadanéj przez nich ruchliwości. Im doskonalsza jest organizacya zwierząt, tém téż i ruchliwość ich jest większą i rozmaitszą.

Ruchliwość ta objawia się w rozmaity sposób: już to, jako zmiana postawy ciała, bez zmiany miejsca, albo jako przenoszenie się ciała przez przestrzeń bez względu na napotykany przy tém opór, już to nareszcie jako pokonywanie oporu, stawianego ciału podczas jego przenoszenia się przez przestrzeń, przez środek i siłę ciężkości. Wszystkie te rodzaje ruchliwości nie są czém inném, jak objawem zdolności wytwarzania siły, która bądź sama występuje, jako siła mechaniczna, bądź wyzwala siłę mechaniczną dla zrównoważenia innéj jakiéj siły.

Jakież są warunki organizmu, od których zależy owa zdolność wytwarzania siły tak czynnéj, jako téż możliwéj? Warunki te są nader liczne. Są niemi żywotne sprawy organizmu. Ażeby zwierzę mogło wytwarzać znaczną ilość siły, musi ono posiadać znakomicie rozwinięty system pokarmowy, obieg krwi w niém musi być szybki, wymiana gazów, czyli oddychanie energiczne, sprawa wydzielania czynna; musi posiadać skielet silnie zbudowany i system mięśniowy, zdolny odbywać wszelkie poruszenia. Wszystkie te atoli sprawy żywotne lubo sprzyjają wyzwalaniu się siły, nie tworzą jéj przecież. Jedynem jéj źródłem jest system nerwowy. Że tak jest, dowodzi tego fakt, że zwierzęta, odznaczające się małą ruchliwością, posiadają system nerwowy bardzo słabo rozwinięty, i przeciwnie, zwierzęta, mające system nerwowy rozwinięty znakomicie, objawiają znaczną

ruchliwość. Stosunek ten wszakże, jaki zachodzi między nerwowym systemem a wytwarzaną siłą, nie jest tak prostym, jakby się zdawać mogło na pierwszy rzut oka. Od rozwoju nerwowego systemu zależy nie sama tylko ilość ruchu, ale nadto jego różnorodność. To téż widzimy, że jakkolwiek goryl wykonywa prawie takąż samę ilość ruchu, co człowiek, z tém wszystkiém masa nerwowéj tkanki jest u niego dwa razy mniejszą, niż u człowieka, dla tego, że ruchy tego ostatniego odznaczają się wielką rozmaitością. Następnie do podwyższenia ruchliwości przyczynia się niemało temperatura ciała. Ptaki, odznaczające się taką ruchliwością, posiadają stosunkowo mały system nerwowy, ponieważ gorętsza krew i czynniejsze oddychanie, przyspieszając cząsteczkową wymianę materyi, stają się same, niezależnie od nerwowego systemu, źródłem ruchu. Zauważyć w końcu należy, że dzielność nerwowego systemu wzrasta w stosunku nieco większym, niż masa zawartéj w nim materyi.

Wszystkie te atoli przyczyny, modyfikujące do pewnego stopnia ów stosunek, nie zmieniają jego natury. Można go przeto określić następującemi słowy: gdzie tylko wykonywany ruch jest wielki, tam téż stosunkowo wielkim być musi i system nerwowy; gdzie tylko ruch jest różnorodny, tam i system nerwowy musi być stosunkowo wielkim; gdzie ruch jest wielkim i różnorodnym, tam wielkim także być musi i system nerwowy.

Wiedząc teraz, jak wielkie znaczenie ma nerwowy system dla zwierzęcego organizmu, możemy przystąpić do rozpatrzenia się w jego budowie i składzie. Przedewszystkiém zwrócić musimy uwagę na jego rozwój.

W zaczątkowym swym stanie, jak to widzimy u *mięczaków*, system nerwowy przedstawia się w kształcie niewielkiéj masy, wysyłającéj w różne strony ciała cieniuchne niteczki. W *stawowatych* występuje on w formie pojedyńczych zwojów, parami umieszczonych i połączonych z sobą wzdłuż i w poprzek grubszemi wiązkami nerwowych włókien. Ze zwojów tych wychodzą cienkie nitki nerwowe i idą do odcinków ciała, przenikając do wszystkich jego członków. Najwyższego swego rozwoju dochodzi on dopiéro w zwierzętach kręgowych, a właściwie w człowieku. U lancetnika (amphioxus), najniższego ich przedstawiciela, napotykamy po raz pierwszy rdzeń pacierzowy, którego atoli koniec przedni niczém się nie różni od reszty. Zaczątek mózgowych zwojów znajdujemy dopiéro u ryb *krążkoustych*; u człowieka dochodzą one do niezwykłych rozmiarów. Ten stopniowy rozwój nerwowego systemu, jak on się dokonywa w szeregu zwierząt coraz doskonalszéj organizacyi, odbywa się naraz w trzech kierunkach: masa nerwowéj tkanki, stając się coraz wię-

kszą, dochodzi zarazem do coraz większego skupienia się w jednę całość i do wybitniejszego wyróżnienia się w pojedyńczych swych częściach.

Cały system nerwowy składa się z dwóch różnych tkanek: białéj, która jest włóknistą, i szaréj, która ma budowę komórkową. Pod względem chemicznym nic pewnego do dziś nie da się o nich powiedziéć; wiadomém zaledwie jest to, że w skład ich wchodzą fosforany i ciała białkowate, które jednakże w każdéj z nich w odmiennym znajdują się stanie i inaczéj są rozdzielone. W tkance komórkowéj białko, zawiérając więcéj wody i będąc pomieszane z ziarnkami tłuszczu, ma przez to samo budowę mniéj stałą, niż tkanka biała. Różnica ta pod względem wewnętrznéj budowy obu tych tkanek ma ogromne znaczenie. Wyjaśnia nam ona, że komórki, mające układ mniéj stały, muszą być siedliskiem cząsteczkowych zmian, rozkładowych, które wyzwalają wielką ilość ruchu; gdy tymczasem w nerwowych włóknach, mających białka więcéj zgęszczone i wyraźniéj oddzielone od tłuszczu, który je otacza, dokonywa się cząsteczkowa zmiana izomeryczna, a więc nierozkładowa, wyzwalająca nieznaczną ilość ruchu.

Co się tyczy układu nerwowego systemu jako całości, odkrywa, że w obwodowych swych częściach, po całéj powierzchni ciała rozpościera się on w kształcie mniéj lub więcéj gęstéj siatki z cienkich włókienek. Oka téj siatki, znacznie większe na środku grzbietu, bardzo małe na brzuściach palców i na końcu języka, w oku zaś mające mikroskopowe rozmiary, powstawszy z rozgałęzienia się osobnych wiązek włókien, układają się w odrębne całości, które dla odnośnych części ciała są właściwemi przewodnikami zewnętrznych bodźców. Z pośrodka tych wiązek wychodzi włókienko nerwowe (osiowe) i przybrawszy podwójną obsłonkę zmierza ku środkowi ciała, gdzie wchodzi do masy szaréj materyi, pełnéj nerwowych komurek i tam z jedną z nich się łączy. Jest to nerw doprowadzający, czuciowy. Z téj że saméj komórki, z drugiéj jéj strony, wychodzi inne włókienko, które, przybrawszy u swego wyjścia podwójną obsłonkę, idzie zwykle tą samą co i pierwsze drogą ku obwodowi i, przenikając w tkankę mięsną, rozgałęzia się w jéj włóknach. Nerw ten zwie się odprowadzającym, ruchowym.

Taki jest najprostszy kształt nerwowego systemu. Rzadko on przecież w takiéj prostocie występuje. Zwykły kształt tego układu jest bardziéj złożony. Najprzód pojedyńcze pary nerwów wraz ze swym ośrodkiem łączą się z sobą, za pomocą włókien nerwowych poprzecznych, a następnie, tworząc wyższe połączenia, wiążą się za

pomocą nerwów *dośrodkowych* i *odśrodkowych* z nerwowemi zwojami bardziéj ku środkowi położonemi.

U człowieka i w ogóle u kręgowców, pojedyńcze pasy nerwów jednoczą się w rdzeniu pacierzowym, który jest połączeniem oddzielnych ośrodków nerwowych, niezależnie od siebie występujących do działania. Wyższym ośrodkiem, w którym dokonywają się połączenia bardziéj złożone, jest rdzeń przedłużony; daléj idzie móżdżek i mózg, w których wszystkie połączenia ześrodkowując się, tworzą nadzwyczaj liczne, złożone i różnorodne związki.

Dla uzupełnienia powyższego opisu, dodać potrzeba, że nerwy czuciowe w obwodowych swych kończynach zaopatrzone są w pewne multyplikatory, które spotęgowują znacznie minimalne działanie zewnętrznych czynników takich, jak głos, światło itd. Daléj, że niektóre z nerwów ruchowych, zamiast do mięśniowéj tkanki, przenikają do wydzielniczych gruczołów; że oprócz nerwów czuciowych i ruchowych, wprowadzających organizm w stosunek z zewnętrznym światem, są jeszcze nerwy naczynio-ruchowe, regulujące objętość naczyń krwionośnych, i nerwy sympatyczne, rozpostarte w trzewiach.

Zastanowienie się nad rozwojem nerwowego systemu prowadzi nas do wniosków: że w miarę, jak się powiększa ześrodkowanie nerwowego systemu, wzrasta także możność połączeń złożonych i różnorodnych; że w miarę, jak się tworzą coraz liczniejsze i różnorodniejsze połączenia, wzrasta także ilość materyi (komórek nerwowych) zdolnéj wyzwalać wiele ruchu.

Wiemy już z poprzedniego, że system nerwowy, wyzwalając ruch, zarazem go reguluje. Następuje więc pytanie: w jaki sposób spełnia on to podwójne zadanie? Dla wyrozumienia téj kwestyi musimy wyjaśnić następujące punkty, obejmujące wszystkie sprawy nerwowego systemu: 1) jakie są przyczyny, skłaniające system nerwowy do rozpoczęcia ruchu? 2) w jaki sposób wyzwala on ruch cząsteczkowy, zawarty w pewnych tkankach, i zamienia go w ruch mas? 3) w jaki sposób zastosowuje on ruch mas do wytworzenia wszystkich owych połączeń, naraz współczesnych i następujących po sobie, jakie są potrzebne do oddziaływania na świat zewnętrzny?

Wiadomo nam, że nerwy są czuciowe i ruchowe, a więc bierne i czynne. Otóż działanie tak jednych jak i drugich nie jest czém innem, tylko ruchem. Wszystkie bodźce nerwowe są albo ruchem mas, albo ruchem cząsteczkowym, czyli są działaniem czynników bądź fizycznych, bądź chemicznych.

Wszystkie sprawy nerwowego systemu dadzą się sprowadzić do dwóch: wyzwalanie ruchu i jego uregulowanie. W tém ostatniém

wszakże potrzeba odróżnić dwie czynności: uregulowanie ruchu otrzymanego z ruchem otrzymanym i uregulowanie ruchu wyzwolonego z ruchem otrzymanym i wyzwolonym. Stąd podział spraw nerwowych na *bierno-ruchowe*, *wyzwalająco-ruchowe* i *kierująco-ruchowe*. Podział ten trudny do przeprowadzenia w połączeniach nerwowych złożonych, łatwym jest w połączeniach prostych, gdzie występuje para nerwów połączonych z sobą za pomocą komórki. Pamiętać w każdym razie potrzeba, że jest tkanka szara, która jest czynnikiem wyzwalającym ruch, jednocześnie i przeprowadza ruch odebrany, tak również włókna nerwowe, będące przewodnikami ruchu otrzymanego, po części także i wyzwalają ruch.

Łatwo teraz zrozumieć, w jaki sposób ruch cząsteczkowy zamieniają nerwy na ruch mas. Nerw doprowadzający, otrzymawszy ruch w obwodowéj swéj kończynie, podlega izomerycznéj przemianie, któréj fala w miarę, jak postępuje wzdłuż nerwu, nabywa coraz większą siłę. Doszedłszy do wewnętrznéj swéj kończyny, napotyka szarą materyą, niestałą, i udzieliwszy jéj cząsteczkowego ruchu, wywołuje w niéj przemianę rozkładową, wyzwalającą wielką ilość ruchu. Ruch ten przechodzi po kolei do nerwu odprowadzającego i powiększając się w miarę, jak się zbliża ku jego obwodowemu końcowi, spowodowuje w tkance mięsnéj, w któréj się rozgałęzia nerw odprowadzający, przemianę izomeryczną, objawiającą się skurczeniem jéj włókien.

Co się tyczy uporządkowania ruchu, to dla należytego téj rzeczy zrozumienia wystarczy zauważyć, że działalność ośrodków nerwowych, tak niższych, jak i wyższych, nie ogranicza się na samém tylko zwiększaniu i przeprowadzaniu otrzymanego ruchu, że nadto zachodzą w nich czynności bardziéj jeszcze złożone. Pamiętać bowiem należy, że we wszystkich ośrodkach, z wyjątkiem może najprostszych, znajdujące się komórki zaopatrzone są w liczne odrostki, które muszą być uważane za przewodniki, przeprowadzające w różne strony i w różnym stopniu ruch wywołany w komórce. Pobudzenie więc, udzielone szczególnemu ośrodkowi, przenosi się wnet, za pomocą nerwowych włókien, łączących się z odrostkami komórek, do ośrodków przyległych, które je ze swéj strony przesyłają przez nerwy odprowadzające do mięśni i wywołują w nich ruchy złożone, współczesne i nastepujące.

Taka jest ogólna teorya działania nerwowego systemu. Przechodzimy teraz do rozpatrzenia się w funkcyach pojedyńczych ośrodków nerwowych, jakie znajdują się w człowieku i w ogóle w zwierzętach kręgowych. Otóż, o ile można w tym przedmiocie mówić coś na pewno ze stanowiska dzisiejszych badań, wiadomém jest, że

rdzeń pacierzowy jest organem, przewodniczącym działaniu skóry i mięśni tułowia, oraz kończyn ciała, że większą część tych czynności, między któremi są nawet bardzo złożone, wykonywa on bez udziału wyższych ośrodków; że rdzeń przedłużony jest ogniskiem, w którémześrodkowują się bądź pośrednio, bądź bezpośrednio wrażenia pochodzące od wewnętrznéj powierzchni organizmu, od błony śluzowéj ust, kanału pokarmowego, płuc, zarówno jak wrażenia wyższych zmysłów, bezpośrednio słuchu i smaku, pośrednio, przez wzgórki czworacze wzroku. O móżdżku i mózgu można powiedzieć, że są to organy, za których pośrednictwem dokonywają się uporządkowywania podwójnie złożone. One układają liczne i złożone już wrażenia, wychodzące od rdzenia przedłużonego, w grupy coraz obszerniejsze, w szeregi coraz różnorodniejsze, a jednocześnie uporządkowują bodźce ruchowe złożone, wychodzące od rdzenia przedłużonego i wytwarzają z nich grupy czynności najbardziéj złożone, współczesne i następujące, które, przystosowując się do wrażeń złożonych, zadośćczynią celom dalszym. O właściwych funkcyach tak móżdżku jak mózgu, możnaby w drodze przypuszczenia powiedzieć: że móżdżek jest organem uporządkowywania podwójnie złożonego w przestrzeni, mózg zaś jest organem takiegoż uporządkowywania w czasie. Że hipoteza ta ma za sobą wiele prawdopodobieństwa, dowodzą tego liczne fakty, jakich nam dostarczają patologia, anatomia porównawcza, a w końcu wiwisekcya, czyli doświadczenia, robione na żyjących zwierzętach.

Każdy to łatwo pojmie, że działalność nerwowego systemu musi podlegać pewnym warunkom. Najważniejszym z nich jest ciągłość nerwowéj substancyi, ale ciągłość, opiérająca się nie na fizyczném zetknięciu się części, ale na cząsteczkowéj spójności. Ciągłość tę przerywa nietylko przecięcie nerwu, ale także cząsteczkowa dezorganizacya jego substancyi, czyli stan jéj chorobliwy, chociażby obsłonki nerwu pozostały nietknięte, daléj samo ciśnienie, jak naprz. przypływ krwi do jam mózgowych, albo silne uderzenie w głowę.

Oprócz ciągłości substancyi potrzebną jest jeszcze pewna temperatura, czego dowodem jest fakt, że przydłuższe działanie chłodu na zwierzęcy organizm przytępia działalność nerwową i usposabia do snu. Nareszcie wié to każdy z własnego doświadczenia, że nerwy nieodżywiane, albo odżywiane źle, niedostatecznie, tracą swą dzielność i nie są zdolne do prawidłowéj czynności. Czynność ta atoli nie od saméj tylko ilości krwi dostarczanéj nerwowemu systemowi zależy, ale także i od jéj jakości. Z jednéj strony krew musi zawierać pewne substancye, potrzebne do odżywiania nerwów, a z drugiéj

strony musi ona być wolną od pewnych pierwiastków, albo, właściwiéj mówiąc, muszą się one w niéj znajdować w nieznacznym stosunku. Do takich należą ciała, powstające z rozkładu organicznych tkanek, jak np. kwas węglowy, mocznik itd.

Konieczność tych warunków usprawiedliwia się tém, że one to właśnie umożliwiają powstawanie i przenoszenie się w nerwach cząsteczkowego ruchu, który, jak wiemy, stanowi istotę wszelkiéj czynności nerwowéj.

Każdy czynnik, zdolny naruszyć cząsteczkowy stan nerwu, pobudza go do działania. Czynnik ten atoli nie wywiera żadnego wpływu na naturę działalności nerwowéj, na jéj jakość. Bez względu na naturę czynnika, czy on jest mechanicznym lub chemicznym, czy termicznym lub elektrycznym, działanie jego na nerw, idący do mięśnia, nic innego nie wywoła, jak skurcz owego mięśnia, który może być większym lub mniejszym, stosownie do tego, czy początkiem działania jest punkt nerwu bliższy czy dalszy od mięśnia.

Działanie nerwu nie jest ciągłe, po pewnéj chwili nerw się wyczerpuje i staje obojętnym, nie czułym. Własność tę nerwu łatwo zrozumiéć, przypomniawszy, że prąd nerwowy stanowi cząsteczkowa zmiana nerwowéj substancyi, że zatém, zanim ta substancya nie powróci do swego pierwotnego stanu, nowa izomeryczna w niéj zmiana dokonać się nie może.

Ponieważ prąd nerwowy rozchodzi się falami kolejno po sobie idącemi, potrzebuje on przeto pewnego czasu na przebieżenie przez całą długość nerwu. Otóż liczne doświadczenia przekonywają, że prąd nerwowy przebiega blisko 90 stóp na sekundę.

Nerwowy system, zużywając się przez działanie, stopniowo traci na energii i po pewnym czasie staje się niezdolnym do działania tak długo, aż za pomocą dostarczonéj sobie krwi nie zastąpi utraconych części. To odnawianie się nerwowego systemu dokonywa się głównie podczas snu. Sen i czuwanie, działalność nerwów i następująca po niéj chwilowa niezdolność ich do działania, stanowią podwójny rytm, będący formą wszelkich pobudzeń i prądów nerwowych.

Ważnym jest nader fakt, że szczególne pobudzenie i wywołany przez nie szczególny prąd, nie stanowi całéj działalności nerwowéj, lecz że obok prądu głównego, powstają prądy podrzędne, odbite niejako, rozchodzące się po całym systemie nerwowym. W ten sposób każde pobudzenie nerwów, zwiększając energią pojedyńczych organów, zwiększają zarazem dzielność całego organizmu.

Jak dotąd zajmowaliśmy się wyłącznie temi tylko zjawiskami nerwowego systemu, które są dostępne zmysłom, są widoczne, sło-

wem, jego stroną przedmiotową; musimy teraz pokolei zastanowić się nad drugą stroną naszego przedmiotu, podmiotową; stanowią ją zjawiska świadomości.

Zanim do tego przystąpimy, musimy zwrócić uwagę, że wszelki stan świadomości umysłu dostępnym jest tylko temu samemu zmysłowi. Że podobne stany zmysłu znajdują się po za obrębem mojéj świadomości, dowiaduję się o tém dopiéro za pomocą licznych, nieraz bardzo złożonych wywodów indukcyjnych. Drogą tychże wywodów dowiedzieliśmy się, że każdemu stanowi naszego umysłu odpowiada pewna zmiana w nerwowym systemie. Potrzeba nam więc zbadać, jaki stosunek zachodzi między stanami umysłu a nerwowemi zmianami.

Otóż najprzód te same warunki, które są konieczne dla nerwowéj działalności, koniecznemi są także i dla stanów umysłu; bez nich świadomość powstać nie może. Wiemy już, jakie to są warunki, poprzestajemy więc na ich wyliczeniu: ciągłość nerwowéj substancyi, pewien stopień temperatury a następnie odpowiednia ilość krwi i jéj jakość, przez tę ostatnią rozumiejąc obecność w krwi pewnych ciał, a jednocześnie brak w niéj innych. Pod tym więc względem zachodzi wielkie podobieństwo między zmianami nerwowemi a ich stroną przedmiotową, stanami świadomości, pomimo że nie każdéj zmianie nerwowéj towarzyszy świadomość, i że są znowu inne, które w początkach życia będąc świadome, w wieku dojrzałym tracą te cechę.

Do zmian nerwowych nieświadomych należą te, które dokonywają się w systemie nerwów trzewiowych, czyli sympatycznych, oraz w nerwach naczynio-ruchowych. Jeżeli odbieramy kiedy jakie wrażenia od tych nerwów, to dochodzą nas one drogą pośrednią, za pomocą włókien rdzenio-mózgowych, które tamtym towarzysząc w ich przebiegu, doznają pewnego zakłócenia w swym stanie w skutek nieprawidłowego ich działania.

Większa część zmian, zachodzących w rdzeniu pacierzowym, jest świadoma; świadomość ta atoli powstaje nie w miejscu, w którém nastąpiło podniesienie i prąd nerwowy był zbudzony, ale w mózgu. Tłómaczy się to w ten sposób, że wyzwolony ruch w rdzeniowym ośrodku nie udziela się cały nerwowi odprowadzającemu, ale w części przechodzi w nerw dośrodkowy, który ów środek łączy z mózgiem, i tą drogą dostawszy się do mózgu, wywołuje w nim zmianę, stanowiącą świadomość. Daje to nam także możność zrozumieć, dla czego pewne zmiany nerwowe, zrazu świadome, stają się następnie automatyczne, działalność nerwowa staje się świadomą wtedy, gdy jest silną. Jeżeli prąd nerwowy jest słaby, wtedy cała jego ilość

przechodzi do nerwu odprowadzającego, nerw zaś dośrodkowy, wiodący do mózgu, pozostaje niewzruszonym. Otóż wiedzieć potrzeba, że w wieku dziecinnym prądy nerwowe, nie znając dla siebie dróg utorowanych w nerwach odprowadzających, zawsze udzielają się po części i nerwom dośrodkowym, dostając się w ten sposób do mózgu.

Dalej śledząc podobieństwo między nerwowemi zmianami a stanami świadomości, znajdujemy ją w tém, że stan podmiotowy, ażeby się stał świadomym, musi mić pewną, możebną do ocenienia trwałość; że każdy stan świadomości pociąga za sobą mniejszą lub większą niezdolność do podobnegoż stanu świadomości, niezdolność, która również trwa pewien czas oznaczony.

Powyższe uwagi dotyczą związku, jaki zachodzi między stanami świadomości a działalnością nerwów bierno-ruchowych (czuciowych) .Zobaczmyż, czy coś podobnego nie da się wykryć w stosunku do nerwów kierująco-ruchowych (ruchowych). Otóż wiadomo, że za każdém skurczeniem się mięśni następuje także mniéj lub więcéj oznaczone czucie. Czucie to jest bezpośrednim skutkiem samegoż prądu nerwego, oraz mięśni, przezeń podnieconych. A jakkolwiek słabém jest, daje nam ono przecież możność poznać najmniejszą zmianę w położeniu naszych członków, bez posługiwania się w tém oczami.

Przekonywamy się zatém, że związek między nerwowemi zmianami a stanami świadomości jest dość ścisły. Czy da się on oznaczyć ilościowo?

Zwróciwszy uwagę, że są czynności nerwowe nieświadome; że liczne stany przedmiotowe nerwowego systemu, świadome w początkach życia, przestają być niemi w wieku późniejszym; że w tym samym życia okresie pewne zmiany, zaszłe w nerwie doprowadzającym, mogą wywołać czucie lub téż nie wywołać, stosownie do tego, czy uwaga nasza jest wolną lub zajętą: możemy pod tym względem tyle tylko powiedzieć, że związek między czuciem a nerwową zmianą podlega tylu i tak złożonym warunkom, że jeżeli stosunek ich da się oznaczyć liczebnie, to tylko w bardzo ciasnych granicach. Stosunek ten należy rozumieć w ten sposób, że jeżeli np. podniecenie, działające na nerw doprowadzający i oznaczone przez 2 wywoła czucie 10, podniecenie 3 wywoła czucie 15. Dodać potrzeba, że stosunki liczebne zmieniają się z każdą nową seryą nerwów doprowadzających i odprowadzających, inne są dla nerwów dotykanych, a inne dla słuchowych i wzrokowych.

Mówiliśmy dotąd tylko o czuciach, pomijając tę formę podmiotowego stanu, który nazywamy uczuciem. Uczucie wszakże bę-

dąc stanem złożonym z pierwiastków czuciowych musi podlegać tym samym ogólnym prawom, co i czucie. Jakoż widzimy, że uczucia jak najściśléj zależą od ilości i od jakości krwi, że trwają czas pewien i nawet dość znaczny; że po każdém uczuciu następuje chwilowa niezdolność do podobnegoż uczucia; że nareszcie uczucie podlega również dziennemu rytmowi wzrastania i zmniejszania się jego żywości i siły, odpowiadającego kolejnym stanom snu i czuwania.

Jest jeszcze jedna forma stanów umysłu, bodaj nawet, czy nie najważniejsza, polegająca na wyróżnieniu w nich skrajnych przeciwności pod względem natężenia. Każdy stan umysłu bywa: albo żywy, który nazwiemy *czynnym*, albo słaby, który nazwiemy *idealnym*. Do stanu czynnego należą czucia i uczucia rzeczywiste; do idealnego zaś ich przypomnienia. Różnica ta stanów umysłu tłómaczy się w ten sposób, że pobudzeniom nerwowych ośrodków bezpośrednim, a więc silnym, towarzyszą zwykle stany umysłu czynne, czyli żywe; pobudzeniom ich zaś pośrednim, a więc słabym, stany umysłu słabe, czyli idealne. W każdym razie różnica ta dość wybitna w czuciach traci na swéj wyrazistości w uczuciach. Między uczuciem idealném a rzeczywistém nie masz wyraźnéj linii rozgraniczającéj.

Pozostaje nam jeszcze wyjaśnić: czém są żądze pragnienia ze względu na nerwowe zmiany. Są one naturalnie idealnemi stanami naszego umysłu, które powstają u nas wtedy, gdy przez dłuższy czas nie doświadczamy odpowiednich im stanów rzeczywistych. Albowiem nerwowe ośrodki, odnowione przez dłuższy wypoczynek, przez nieczynność w swym cząsteczkowym układzie, stają się nadzwyczaj czułemi na wszelkie pośrednie pobudzenia nerwowego systemu, odbijane w różnych jego kierunkach.

Te są ogólne prawdy, dotyczące stosunku czucia i uczucia do zmian, dokonywajacych się w nerwowym systemie. A jakkolwiek trudno za ich pomocą dowieść, że stan naszego umysłu i nerwowa działalność nie są czém inném, jak dwiema stronami téjże saméj zmiany—zewnętrzną i wewnętrzną, z tém wszystkiém hipoteza ta bynajmniéj nie sprzeciwia się owym prawdom, a nadto jest jedyną, która tłómaczy wszystkie fakty znane z psychologii.

Rozpatrzenie się w tych prawdach pozwala nam przystąpić do saméj psychologii. Wprzód atoli musimy odpowiedzieć na dwa następujące pytania: co jest przedmiotem psychologii i jakie zajmuje ona miejsce w szeregu innych nauk?

Przedmiotem psychologii jest stosunek między związkami współczesności i następstwa wewnętrznemi, a takiemiż związkami zewnętrznemi. Z takiego określenia możnaby wnosić, że psychologia nie róż-

ni się wcale od biologii. Tak jednakże nie jest. Posiadając wiele cech wspólnych z biologią, różni się psychologia od biologii tém, że ma właściwy sobie tylko przedmiot, jakim jest grupa fenomenów, objętych rodzajową nazwą umysłu, a w owych badaniach posługuje się metodą, również jéj tylko właściwą, wewnętrzną obserwacyą. Psychologia przeto jest nauką samodzielną, stojącą między biologią, na której prawdach opiéra się w swych badaniach, a socyologią, któréj dostarcza podstaw.

A. Comte i jego zwolennicy odrzucają wewnętrzną obserwacyą, twierdząc, że jest ona złudzeniem. Na to wystarczy odpowiedziéć, że dla tego, bym mógł badać np. uczucie w zewnętrznych jego przejawach za pomocą obserwacyi przedmiotowéj, to muszę wiedziéć najprzód, czém jest uczucie w ogóle, muszę je wprzód poznać, jako pewien stan mojéj świadomości, mego *ja*. Do tego poznania jedna tylko wewnętrzna obserwacya nas prowadzi.

Psychologią można podzielić na dwie części: na psychologią przedmiotową, badającą psychiczne zjawiska w zewnętrznych ich objawach, drogą obserwacyi zewnętrznéj, doświadczenia; i na psychologią podmiotową, która posługując się wewnętrzną obserwacyą zajmuje się analizą psychicznych fenomenów, jako stanów umysłu. Przedmiotem niniejszego artykułu jest psychologia objektywna.

Psychologiczne indukcye. Pierwszém pytaniem, jakie nam się nastręcza u wstępu do psychogii, jest: jaka jest istota duszy? Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, co rozumiemy przez duszę. Jeżeli nią nazywamy grupę fenomenów, dostępnych wewnętrznéj analizie, grupę, która się nam wydaje czémś jednorodném i niepodzielném, natenczas możemy powiedziéć, że istota duszy nie jest nam nieznaną zupełnie, że możemy o niéj coś wiedziéć. Przeciwnie zaś, jężeli przez duszę rozumiemy jakieś substratum, podścielisko psychicznych fenomenów, natenczas o jéj istocie, jako nieprzystępnéj dla ludzkiego poznania, i mowy być nie może. Cała nasza wiedza musi się przeto ograniczyć tylko do fenomenów psychicznych, jako stanów naszéj świadomości.

Świadomość naszę stanowią czucia (wrażenia) i uczucia (wzruszenia) indywidualne, tak rzeczywiste, jako i idealne. Wszystkie te pojedyncze stany naszéj świadomości zdają się nam być jednorodne, niepodzielne i proste. Z tém wszystkiém wykrywamy między niemi takie, które są złożone. Upoważnia to nas do przypuszczenia, że i inne stany są również złożone, że zatém nie masz takiego stanu umysłu, któryby się nie dał rozłożyć na pierwotne składniki.

Stanem naszéj świadomości, pozornie prostym i jednorodnym, a w rzeczy złożonym, jest dźwięk muzyczny, na którego wywołanie

składa się szereg równych, w równych po sobie odstępach idących uderzeń w ilości większéj niż 16 na sekundę. Pierwotnym więc składnikiem dźwięku jest uderzenie fizyczne, któremu odpowiada, jako jego podmiotowy skutek, uderzenie nerwowe. Otóż do téj samėj jedności dają się sprowadzić i inne stany naszego umysłu, których cala różnica polega na tém tylko, że w każdym z nich składowe jednostki odmiennie są ugrupowane. Uderzenie nerwowe, którego szybkie powtarzanie się stanowi różne formy naszéj świadomości, może mieć natężenie stosunkowo bardzo słabe. Jest ono, że tak powiem lekkiém pulsowaniem podmiotowych zmian.

Hipoteza ta ma to za sobą, że ona jedna zdoła nam wytłómaczyć, w jaki sposób powstają wrażenia tak różnorodne, jak ciepło, smak, kolor, dźwięk itd. w nerwowych ośrodkach, które są z sobą tak ściśle zjednoczone pod względem chemicznego składu i wewnętrznéj budowy; a następnie, w jaki sposób drogą powolnego rozwoju mogły się wyróżnić wszystkie rodzaje i gatunki zmysłowych wrażeń.

Wyrozumienie téj hipotezy ułatwia nam atomistyczna teorya materyi. Z tego wszakże, że przez to porównanie odkrywa się ścisły paralelizm między materyą a duszą, nie można jeszcze wnosić, że między niemi nie masz żadnéj różnicy, że są one jednem i tém samém. Jak stanów naszego umysłu niepodobna tłómaczyć za pomocą własności materyi, tak odwrotnie własnści materyi nie można sprowadzić do pierwiastków naszéj świadomości. Materya i dusza są to dwie grupy fenomenów, które na pomieszaniu się z sobą nietylko nic nie zyskują, ale tracą, jakkolwiek trzeba wyznać, że łatwiéj byłoby własności materyi spowadzić do stanów naszéj świadomości, niż odwrotnie. Materyą bowiem znamy tylko pośrednio, bezpośrednio zaś znamy tylko stany naszego umysłu.

Przechodzimy teraz do złożoności duszy, jak ona się przedstawia wewnętrznéj obserwacyi. Ta wykrywa w naszym umyśle dwa różne rodzaje pierwiastków: stany świadomości i stosunki między stanami świadomości.

Cechą stanów świadomości jest to, że każdy z nich zapełnia pewną cząstkę świadomości, o tyle znaczną, że nabiéra ona przez to pewnéj indywidualności, która ją wyróżnia jakowościowo od innych przyległych jéj cząstek; co się tyczy stosunku między stanami świadomości, ten nie zajmuje w świadomości dość znacznéj części, któraby się dała ocenić. Usuńmy terminy, który on łączy, a wraz z niemi i on ginie, jako nie mający ani niezależnego miejsca, ani właściwéj sobie indywidualności. Niezawodnie, że jest on także pewnym stanem świadomości, ale chwilowym, który towarzyszy przejściu od je-

dnego stanu świadomości wyraźnego, do drugiego. Nie można mu przeto odmawiać pewnego charakteru jakościowego, dostępnego poznaniu. Możnaby go uważać za jedno z owych uderzeń nerwowych, z których się składa każdy stan umysłu. Dla tego też, pomimo wydatnéj różnicy, jaką odkrywamy między stanami świadomości a stosunkami tych stanów, różnica ta nie jest wcale absolutną; polega ona głównie na tém, że gdy stany świadomości dają się rozłożyć na składowe pierwiastki, to stosunki tych stanów nie dają się na nic rozłożyć.

Różne są gatunki stanów świadomości. Można je podzielić na stany świadomości, pochodzące ze środka, i na stany świadości pochodzące od obwodu: uczucia (wzruszenia) i czucia (wrażenia). Te ostatnie dzielą się na dwie grupy: na wrażenia, wywołane w kończynach nerwów, znajdujących się na powierzchni ciała, a więc przez czynniki zewnętrzne, i na wrażenia wywołane przez jakąkolwiek czynność w kończynach nerwów, rozchodzących się wewnątrz ciała.

Oprócz téj klasy stanów świadomości pierwotnych, czyli *rzeczywistych*, jest jeszcze, jak już wiemy, klasa stanów świadomości drugorzędnych, czyli *idealnych*, podlegających temu samemu podziałowi.

Wiemy, że warunkiem wszelkiego stosunku stanów świadomości, jest zmiana, przejście od jednego stanu świadomości do drugiego. Podział więc stosunków musi się oprzéć na stopniu różnicy między stanami świadomości. Ztąd podział ich na stosunki *podobieństwa*, łączące stany świadomości równe sobie, i na stosunki *różnicy*, łączące stany nierówne. Te ostatnie można jeszcze podzielić na stosunki różnicy *jakościowéj* i *ilościowéj*. Pomijając zaś w stosunkach wszelki wzgląd na podobieństwo i różnicę terminów, a biorąc pod uwagę tylko porządek, w jakim one następują, jednoczesny lub następny, można je podzielić na stosunki *współbytności* i *następstwa*.

Określiwszy w ten sposób stany umysłu i ich stosunki, będące dla wewnętrznéj obserwacyi prostemi składnikami, możemy się teraz zastanowić, w jaki sposób, za pomocą jakich kombinacyj wytwarza się z nich umysł, dusza.

Wymieniliśmy powyżéj wszystkie rodzaje stanów świadomości. Tu zwracamy uwagę, że główna między niemi różnica stanowi to, że gdy jedne z nich są bardziéj określone, wyraźniéj odgraniczone od innych, to inne znowu bardzo mało zawierają w sobie pierwiastku stosunkowości. Do pierwszych, najwyraźniéj odgraniczonych, należą wrażenia, wywołane w nerwach przez zewnętrzne czynniki; do drugich wrażenia pochodzące od nerwów rozpostartych wewnątrz ciała, oraz wzruszenia, czyli uczucia, których rozgraniczenie tak pod względem czasu, jak i przestrzeni są niepewne i niestałe.

Najwyraźniéj rozgraniczonemi są wrażenia wzroku, równie jak i wrażenia dotykowe, lubo te zawsze mniéj są wyraziste i określone, niż tamte. Za niemi idą wrażenia słuchowe, których rozgraniczenie pod względem następstwa ich jest nadzwyczaj jasne. Najmniéj oznaczonemi są wrażenia smaku i węchu.

Co się tyczy wrażeń, wywołanych przez wewnętrzne zakłócenia, to najbardziéj oznaczonemi z pomiędzy nich są wrażenia mięśniowe, szczególniéj te, które pochodzą od mięśni małych i w ciągłéj zostających czynności, jak np. mięśnie oka, palców i organów mowy.

Stany świadomości, zwane uczuciami (wzruszeniami), są nadzwyczaj słabo odgraniczone, tak pod względem ich początku i końca w czasie, jak i umiejscowienia w przestrzeni.

Powyższa różnica stanów świadomości ma jeszcze to do siebie, że się łączy z inną jeszcze ważną właściwością, a mianowicie, że im stany świadomości są wyraźniejsze, bardziéj rozgraniczone między sobą, tém też większą posiadają spójność, łatwiéj się łączą w pewne całości, i przeciwnie, że stany słabo rozgraniczone odznaczają się bardzo małą spójnością. Wrażenia wzrokowe silniéj łączą się w jednę całość, jak wrażenia słuchowe. Wrażenia mięśniowe i uczucia prawie się nie łączą, nie spajają z sobą.

Jak pojedyncze stany świadomości, tak i całe ich serye mogą się łączyć z sobą mniéj lub więcéj ściśle w oddzielne grupy, stosownie do tego, czy ich rozgraniczenia są mniéj lub więcéj wyraźne. Na tém nie koniec. Oddzielne grupy stanów, wyraźnie określone w swém rozgraniczeniu, wchodzą w stosunki z innemi, również oznaczonemi grupami i tworzą wraz z niemi oddzielne całości, które po kolei tak samo zlewają się z innemi całościami, z innemi grupami złożonemi i tworzą grupy bardziéj złożone. Ten wyższy stopień kombinacyi możliwym jest tylko w zakresie wrażeń zewnętrznych.

Oprócz tych związków są jeszcze inne, a mianowicie: wrażenia różnych rodzajów łączą się z sobą w pewną całość, lubo mniéj spójną, niż wrażenia tego samego rodzaju.

Takie są związki i kombinacye stanów świadomości pierwotnych czyli żywych. Otóż wiemy, że oprócz nich są jeszcze stany wtórne czyli słabe. Co do tych ostatnich potrzeba zauważyć, że tak pojedyncze stany świadomości żywe, jak i ich grupy, łącząc się z innemi stanami i ich grupami, łączą się zarazem i ze stanami słabemi czyli idealnemi i z ich grupami. Na tém układaniu się w związki stanów świadomości żywych ze słabemi opiera się cała budowa naszego umysłu. Z nich powstaje to, co nazywamy *pojęciami* (ideami). Dla uzupełnienia rzeczy dodać potrzeba, że to samo, co się dzieje ze

stanami świadomości, dzieje się także i ze stosunkami między stanami świadomości. Ztąd powstają *pojęcia* stosunków.

Zastanawiając się teraz nad budową umysłu ze stanowiska teoryi rozwoju, łatwo się przekonać, że ukształtowywanie się jego zgadza się najzupełniéj z prawami, po za tą teoryą wykrytemi. Widzimy tu najprzód stopniowe skupianie się pierwiastków umysłowych w grupy coraz więcéj złożone; następnie, że pierwiastki bardzo słabo oznaczone, rozgraniczone, nieokreślone zaledwie wchodzą w skład tego, co nazywamy zwykle myśleniem. Równolegle z coraz większém skupianiem się i wyróżnianiem się składowych części następuje coraz ściślejsze ich jednoczenie się w jednę całość.

Poznawszy, jakie są stosunki wrażeń między sobą, możemy teraz zastanowić się, jaki jest ich stosunek do rzeczy, znajdujących się zewnątrz świadomości umysłu. Naturalnie, że mamy tu przedewszystkiém na myśli wrażenia żywe, rzeczywiste, wywołane przez działanie zewnętrznych czynników na nerwy obwodowe. W téj rzeczy przekonywamy się, że wszystkie wrażenia są względne, że jak ilość, tak i jakość wrażenia wywołanego przez daną ilość zewnętrznéj siły zmienia się nietylko w stosunku do rodzajowéj i indywidualnéj budowy organizmu, zarówno jak i budowy téj części organizmu, na którą zewnętrzna siła działa, ale także w stosunku do wieku, stanu organizmu lub jego części, spowodowanego działaniem temperatury, obiegu krwi, ustalonych nawyknień, a nawet względnego ruchu podmiotu i przedmiotu. Otóż, jeżeli zważymy, że najmniejsza zmiana w powyższych warunkach pociąga za sobą zmianę we wrażeniach, przez ten sam czynnik wywołany, nasuwa się mimowoli przekonanie, że podmiotowa świadomość nie może być brana za miarę dla przedmiotowego istnienia, że wywołane w nas przez zewnętrzne przedmioty wrażenia nie są czém inném, jak symboliczném przedstawieniem rzeczy, które się znajdują zewnątrz nas i o których naturze nic nie możemy wiedzieć.

Z tego jednakże nie można jeszcze wnosić, jak to robią idealiści, że nie masz żadnéj przedmiotowéj egzystencyi. I owszem, wszystko, co się powiedziało o względności wrażeń, zmusza nas do przypuszczenia czegoś, co jest po za naszą świadomością, zewnątrz naszego umysłu, co jest światem przedmiotowym.

Nastręcza się pytanie, czy nie to samo dzieje się i ze stosunkami, jakie zachodzą między wrażeniami? Wiadomo nam, że stosunki te wskazują albo współbytność, albo następstwo, albo téż różnicę. Otóż to, co my pojmujemy jako stosunki przestrzenne, nie może ani pod względem natury, ani stopnia odpowiadać związkom, jakie zachodzą między przedmiotami zewnątrz nas istniejącemi. Pojęcia bo-

wiem przestrzennych stosunków są również jak i wrażenia względne i ulegają zmianom, stosownie do warunków, w jakich pozostają, warunków tych samych, jakim wrażenia podlegają. To samo ma się rozumiéć i o stosunkach czasu. Te prawdopodobnie nie są podobne jakościowo do stosunków, którym odpowiadają, że zaś nie są do nich podobne ilościowo, można utrzymywać z pewnością. Z większą jeszcze pewnością możemy to powiedziéć o stosunku różnicy, który jest więcéj jeszcze złożonym i którego ocenienie zależy ściśle od wszystkich warunków, jakim podlegają wrażenia i stosunki między wrażeniami. Prowadzi to nas do wniosku, że stosunki współbytności, następstwa i różnicy, jak je pojmujemy, nie mają żadnego znaczenia po za obrębem naszego umysłu. Wniosek ten wszakże nic innego nie znaczy, jak, że nasze pojęcia owych stosunków są symbolami warunków, w jakich objawia się przedmiotowość po za naszym umysłem.

Wszystkie w ogóle stany umysłu dzielą się ze względu na funkcyą na żywe, czyli pierwotne, któreby można nazwać obecnemi, i na wtórne, czyli słabe, któreby można nazwać przypomnianemi. Otóż musimy zastanowić się, w jaki to sposób po żywych formach stanów umysłu powstają późniéj odpowiednie im słabe, co spowodowuje ich wskrzeszenie i jakie warunki robią je mniéj lub więcéj wyraźnemi.

Ogólném tu prawem jest, że stany świadomości, które najwięcéj zawierają w sobie cech stosunkowych, posiadają téż największą zdolność wracania do życia.

Wrażenia obwodowe zewnętrzne przypominają się najłatwiéj, mniéj łatwo wrażenia obwodowe wewnętrzne. Co się tyczy wzruszeń, te nietylko, że przypominają się trudno, ale nadto wcale inaczéj, niż np. barwa, albo dźwięk. Niepodobna je przywołać, odtworzyć w świadomości w jednéj chwili. Posługiwać się w tém możemy tylko wyobraźnią, która przywołując na pamięć właściwe do ich wywołania okoliczności potrzebuje na to pewnego czasu.

Zdolność odtwarzania się stanów świadomości przeszłych zmienia się w stosunku do żywości stanów obecnych. Antagonizm ten jaskrawo występuje między stanami przeszłemi a obecnemi do tego samego rodzaju należącemi. Zależy ona następnie od ilości powtórzeń. Im częściéj stan przeszły doświadczał się, tém łatwiéj przypomina się. Wielkie pod tym względem mają znaczenie nerwowe ośrodki, a mianowicie, o ile są uzdolnione do cząsteczkowych zmian, co znowu zależy od dobrego ich stanu, od dzielnego krwi biegu i od jakości krwi, bogatéj w potrzebne do odżywienia pierwiastki.

Odtwarzanie, przypominanie stosunków podlega tym samym warunkom, co i odtwarzanie stanów świadomości. Dodać wszakże należy, że stosunki w ogóle łatwiéj się przypominają niż stany.

Wiadomo nam z poprzednich uwag, że wzajemna spójność tak stanów jak stosunków jest tém większą, im ściślejsze, wyraźniejsze zachodzi między niemi rozgraniczenie. Stanowi to ich zdolność do kojarzenia się z sobą. Zdolność ta jakiemu podlega prawu? Oto, że każdy stan świadomości kojarzy się ze stanem uprzednio doświadczonym, i do téj saméj klasy, rzędu, rodzaju lub gatunku należącym. Jest to podstawowe, pierwotne kojarzenie się, które jest automatyczném. Wszystkie inne są tylko dalszém jego rozwinięciem, łączeniem się skojarzonych stanów z również skojarzonemi stosunkami.

Prawa odtwarzania się stanów i stosunków opiera się na prawach fizyologicznych. Zmiany w nerwowych komórkach są współczynnikami tego, co my znamy podmiotowo, jako stany naszego umysłu; prądy zaś przebiegające po nerwowych włóknach, łączących komórki odpowiadają temu, co my znamy jako stosunki między stanami. Ztąd wypada, że kojarzenie się stanu świadomości z innemi do téj saméj klasy, rodzaju, gatunku należącemi, odpowiada umiejscowieniu nerwowych zmian w pewnéj masie nerwowych komórek albo tylko w jéj części; jak również skojarzenie się stosunków odpowiada umiejscowieniu prądów nerwowych w pewnéj grupie, w pewnéj wiązce nerwowych włókien. Silne pobudzenie jednéj komórki, jednego włókna nerwowego odbija się echem w komórkach i włóknach, które z tamtemi są skojarzone i to stanowi fizyologiczną podstawę przypominania i w ogóle myślenia.

Mówiąc o stanach umysłu i podawszy ich podział, z umysłu pominęliśmy jednę ich kategoryą, a mianowicie stan przyjemny i przykry, które są najmniéj zbadane i o których możemy z osobna kilka słów powiedziéć.

Uczucie przyjemne lub przykre towarzyszy zwykle pewnym stanom świadomości. Musimy więc zastanowić się nad tém, jakie stany świadomości spowodowują przyjemność, a jakie przykrość.

Jest pewien rodzaj przykrości, który pochodzi z bezczynności organów. Ten rodzaj przykrości stanowi to, co zwykle nazywamy potrzebą. Przykrości, wynikające z bezczynności organów, które są źródłem wrażeń epiperyferycznych (obwodowych zewnętrznych) rzadko bywają silne z powodu, że organy te rzadko pozostają w zupełnéj bezczynności. Najsilniejszą bywa przykrość, pochodząca z bezczynności narządów entoperyferycznych (obwodowych wewnętrznych), jak o tém świadczy np. uczucie głodu. Przykrość, będąca wyrazem potrzeby wzruszeń, pochodząc z bezczynności nerwowych ośrodków, również bywa bardzo silną, jak o tém każdy wié, kto był dotkniętym w swych bezinteresownych uczuciach.

Naprzeciwko téj przykrości staje inna, będąca następstwem nadmiaru czynności. Nadmiar gorąca, ciśnienie, ciągły hałas, blask jaskrawy, zapach siarki i t. d. stają się powodem przykrości nieraz nie do zniesienia. To samo ma się rozumiéć i o stanach świadomości entoperyferycznego pochodzenia, jak np. przykrość z przejedzenia się, albo z nadmiernego ruchu. Stany świadomości, zwane wzruszeniami, nie bywają nigdy przykremi przez samo tylko spotęgowanie się, wzmaganie.

Zważywszy więc, że przykrość bywa zwykle towarzyszką dwóch ostateczności, bezczynności i nadmiaru czynności, zmuszeni jesteśmy przyjąć wniosek, który się sam nastręcza, że przyjemność towarzyszy czynnościom, zajmującym środek między owemi ostatecznościami. Mówiąc wyraźniéj, przyjemność towarzyszy czynności umiarkowanéj, gdy ta czynność z natury swéj zdolną jest przejść w nadużycie, albo w bezczynność; jeżeli zaś czynność jaka nie jest zdolną wpadać w jednę z owych ostateczności, natenczas przyjemność wzrasta w stosunku do wzmagającéj się czynności, z wyjątkiem gdy ta czynność jest ciągła, nieprzerwana, alboli téż automatyczna, mimowolna.

Możnaby tu zapytać, co stanowi owę czynność umiarkowaną? gdzie są granice jéj, po za któremi z jednéj strony jest przykrość ujemna, potrzeba, z drugiéj, przykrość dodatnia, ból?

Ażeby odpowiedziéć na to pytanie, musimy wprzód zwrócić uwagę, że oba zarówno stany, którym towarzyszy przykrość tak ujemna jak dodatnia, nie mogą się pogodzić z równowagą żywotnych spraw, która stanowi zdrowie organizmu; gdy tymczasem stan środkowy między dwiema ostatecznościami zgadza się z ową równowagą jak najdoskonaléj. Dowodzą tego liczne fakty, czerpane z doświadczenia, które uczy, że przykrość zostaje w bezpośrednim związku z czynnością, szkodzącą organizmowi; przyjemność zaś z czynnością, sprzyjającą jego zdrowiu. Że to skojarzenie się uczucia przykrości z czynnością szkodliwą dla organizmu, uczucia zaś przyjemności z czynnością pożyteczną, jest wypadkiem powolnego rozwoju, albo ściśléj mówiąc, naturalnego wyboru, łatwo każdy zrozumié, kto obeznanym jest z hipotezą ewolucyi.

Można więc powiedziéć, że przyjemność pobudza nas do czynności, które są pożyteczne dla zachowania życia, przykrość zaś powstrzymuje od czynności zagrażających życiu. Napotykane pod tym względem wyjątki są następstwem niedokładnego przystosowania się organizmu do warunków otoczenia.

Jakaż jest natura przykrości i przyjemności z psychologicznego punktu widzenia? Za odpowiedź niech służą następujące uwagi: 1) przykrość i przyjemność w znacznéj mierze mogą być albo dodane,

albo odjęte od stanów, z którémi je utożsamiamy; 2) przyjemność i przykrość mogą być nabyte powoli; 3) między przyjemnościami ściślejsze zachodzi podobieństwo, niż między stanami świadomości, które je spowodowują. To samo dzieje się i z przykrościami. Naprowadza to nas na przypuszczenie, że przykrości i przyjemności są spowodowane w części tylko przez stany świadomości wybitne, umiejscowione, wywołane przez szczególne bodźce; głównie zaś składają się na ich wytworzenie stany świadomości wtórne, pośrednie, powstające w skutek rozchodzenia się bodźca po nerwowym systemie.

III. *Synteza ogólna.* Jeżeli teorya rozwoju jest prawdziwą, to musi ona nam wytłómaczyć także stopniowe wytwarzanie się umysłu, zaczynając od zwierząt najniższych a kończąc na człowieku. Naturalnie, możemy tu zacząć od rozwoju umysłu w formie najbardziéj uogólnionéj, i dopiéro późniéj będzie można przystąpić do szczegółów.

Nikt nie zaprzeczy, że między zjawiskami umysłowemi a życiowemi (biologicznemi) zachodzi najściślejszy związek i podobieństwo, stanowią one dwie strony życia w ogóle. Otóż wiadomo nam z Biologii, że życie jest ciągłém przystosowywaniem się stosunków wewnętrznych do stosunków zewnętrznych; że w miarę, jak organizm staje się coraz bardziéj złożonym, przystosowywanie się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych przybiera coraz większe rozmiary, staje się szczegółowszém, bardziéj złożoném, a jednocześnie ściśléj zjednoczoném i spojoném. Stopnie tego rozwoju nietrudno wykryć także w życiu umysłowém.

O ile życie w najwyższym swym rozwoju znajduje się w otoczeniu najbardziéj złożoném, o tyleż życie istot najniższych upływa w otoczeniu nadzwyczaj prostém. Po większéj części każde otoczenie zawiera naraz stosunki współczesne i następcze; są wszakże między niemi takie, które trwając okres czasu nader ograniczony przedstawiają tylko stosunki współczesne. W otoczeniu należącém do téj ostatniéj kategoryi, powstają formy organiczne najniższe, jak grzybek *protococcus nivalis* i żyjąca komórka *gregarina*, których życie składa się z niewielkiéj liczby czynności współczesnych, odpowiadających współczesnym własnościom otoczenia. Przystosowywanie się ich, albo lepiéj odpowiedniość między ich wewnętrznemi i zewnętrznemi stosunkami jest *bezpośrednia* i *jednorodna*. Dla tego téż wszelki ruch i przenoszenie się z miejsca na miejsce jest dla nich zgoła niepotrzebny. Odpowiedniość staje się *różnorodną* wtedy dopiéro, gdy w otoczeniu zachodzą zmiany, gdy do stosunków współczesnych przyłączają się pewne stosunki następcze. W takiém otoczeniu pozostają rośliny i zwierzokrzewy. W każdym razie i tu odpowiedniość jest bezpośrednia: brak tu zupełny przystosowywania się stosunków

wewnętrznych do zewnętrznych *odległych*. Wyższy stopień odpowiedniości następuje wtedy dopiéro, gdy przystosowywanie się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych może się dokonać w pewnéj odległości, a więc wtedy, gdy zaczną się wytwarzać w organizmie zmysły węchu, wzroku, słuchu i ostatecznie wyższych zdolności. Im z większéj odległości dokonywa się to przystosowywanie, tém liczniejsze powstają stosunki następcze, tém bardziéj powiększa się zdolność zachowania życia. Ztąd nasuwa się wniosek, że życie i zdolność zachowania go są dwiema stronami téj saméj rzeczy. W dalszym ciągu rozwoju, kiedy zmysły węchu, wzroku i słuchu stają się doskonalsze i zastępują zmysł dotyku, którego są one tylko dalszém rozwinięciem, wytwarza się w organizmach zdolność ruchu, za pomocą którego dykonywa się przystosowywanie stosunków wewnętrznych do zewnętrznych nietylko w przestrzeni, ale i w czasie z pewnéj odległości. Ten nowy stopień rozwoju pociąga za sobą przyrost dzielności życia i większą jego trwałość.

Specyalizowanie się odpowiedniości dostrzega się już w organizmach najprostszych, których otoczenie jednorodne pod względem stosunków współczesnych staje się różnorodném w stosunkach następczych. Głównie atoli objawia się ono wtedy, gdy nastąpi wyróżnienie się zmysłów i ich wydoskonalenie, gdy organizm uczuje się zdolnym dostrzedz najmniejsze różnice, zaszłe we własnościach zewnętrznych przedmiotów. Specyalizacya ta dokonywa się na raz w przestrzeni, w czasie i w przedmiocie: czynność organizmu odpowiada wszelkim zmianom, jakie zachodzą w pewnym szczególnym przedmiocie w pewnym szczególnym czasie i w pewném szczególném miejscu. Tu dopiéro występuje na jaw ten rodzaj czynności umysłowéj, który nazywamy *przewidywaniem*, a które w życiu codziennem bywa *jakościowém* i dopiéro w ścisłych umiejętnościach staje się *ilościowém*.

W miarę, jak przystosowywanie się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych coraz bardziéj specyalizuje się, staje się ono coraz ogólniejszém. Nowy ten stopień odpowiedniości objawia się w rozpoznawaniu tych stałych stosunków współbytności i następstwa, które nie służą do ustalenia szczególnych klas, ale są wspólne mnogim klasom i za pomocą których łączą się w jedno rzeczy, uważane przedtém za podobne do siebie. Że ten nowy stopień odpowiedniości daje się dostrzegać tylko w wyższych formach umysłu, łatwo odgadnąć. Powiększająca się ciągle ze wzrostem cywilizacyi odpowiedniość odznacza się właśnie tém najwięcéj, że w niéj wytwarzają się coraz liczniejsze i zrozumialsze uogólnienia. Nadzwyczajny rozwój nauk polega głównie na połączeniu wielu szczególnych danych

w ogóle prawdy, na sprowadzaniu wielu ogólnych prawd do prawd bardziéj ogólnych i t. d.

Naukowe uogólnienia, przyczyniając się do rozwoju sztuk i rzemiosł, zapewniają pomyślność rodzajowi ludzkiemu, a tém samém sprzyjają większéj długości życia i wyższemu rozwojowi umysłowych czynności.

Każdy stopień odpowiedniości między organizmem a otoczeniem każe się domyślać dwóch rzeczy: odbieranie wrażeń i wykonywanie odpowiednich im czynności. W najniższych tworach zwierzęcych dotknięcie pociąga za sobą skurczenie się dotkniętéj części, prostemu wrażeniu odpowiada prosta czynność. W zwierzętach wyższych rodzajów objawia się stopniowo zdolność odbierania wrażeń coraz bardziéj złożonych, i wykonywania coraz więcéj złożonych czynności. Ta strona przystosowywania wewnętrznych stosunków do zewnętrznych pod względem złożoności stanowi nowy stopień rozwoju odpowiedniości.

Wykonywanie pewnéj czynności złożonéj, odpowiadającéj pewnemu złożonemu wrażeniu wymaga czegoś więcéj, niż być dotkniętym przez każdy w szczególe składnik złożonego wrażenia i czegoś więcéj, niż módz wykonać zosobna każdy ruch, wchodzący w skład złożonéj czynności. Potrzeba tu, ażeby wrażenia i odpowiadające im skurcze mięśni były uporządkowane we właściwy sposób, i dla tego doskonałość odpowiedniości zostaje w prostym stosunku doskonałości uporządkowania. Najwyższy stopień uporządkowania, a zarazem i odpowiedniości występuje w umiejętnościach ilościowych, w których nietylko mnogie szczegóły muszą się łączyć w pewne, ściśle określone kombinacye z mnogiemi ogólnemi prawdami, ale nawet składowe pierwiastki owych szczegółów i całéj kombinacyi muszą być wyraźnie i dokładnie określone.

Uporządkowanie pociąga za sobą zjednoczenie, zespolenie. Wrażenia złożone i wywołane przez nie ruchy złożone zewnętrznym swym charakterem zbliżają się coraz więcéj do wrażeń i ruchów pojedyńczych; składowe pierwiastki tak bodźców, jak ruchów, właściwie uporządkowane, dążą do zlania się z sobą i zjednoczenia tak ścisłego, że tylko za pomocą rozbioru można je odróżnić, oddzielić; związek między bodźcem a czynnością staje się coraz ściślejszym, tak że w końcu stanowi tylko dwie strony jednéj i téj saméj zmiany. Temu to prawu zawdzięcza odpowiedniość najwyższy stopień swéj doskonałości. Bez niego złożone wrażenia nie zdołałyby wywołać z dostateczną szybkością złożonych ruchów i nie starczyłoby czasu dla nieskończonéj mnogości przystosowań, stanowiących istotę wyższéj formy życia. Mocą tego prawa odpowiedniości bardziéj złożone

przybierają powoli automatyczny charakter odpowiedniości prostych, odruchowych i instynktowych.

Z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli o odpowiedniości jako o głównych charakterach życia w ogóle, łatwo można przekonać się, że wszystkie objawy umysłowe polegają głównie na ustalaniu się odpowiedniości między stosunkami zachodzącemi w organizmie a stosunkami znajdującemi się zewnątrz niego, w otoczeniu; że sam postęp umysłowy nie jest czém inném, jak postępem odpowiedniości w przestrzeni i w czasie, jak rozwojem jéj w kierunku coraz większego specyalizowania się i uogólniania, coraz z większéj złożoności i ściślejszego jednoczenia się składników. To nas także przekonywa, że umysł nie ma odrębnych stopni, że nie składa się z władz osobnych i niezależnych od siebie, że wszystkie objawy naszéj umysłowości, nie wyłączając najwyższych, są tylko wypadkiem przystosowywania się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych, że pomiędzy fazami umysłu stopniowo i w pewném następstwie wytwarzającemi się niepodobna przeprowadzić granicznéj linii. Instynkt, rozum, pojęcie, pamięć, uczucie, wola i t. d. i t. d. nie są czém inném, jak dowolnie ustanowionemi grupami szczególnych odpowiedniości, jak podziałem szczególnych działań umysłu, mających za zadanie ustalić pewne odpowiedniości. Z tém wszystkiém, chociaż wszystkie te formy umysłu są tylko szczegółowemi ogniwami sprawy przystosowania i dla tego téj saméj są natury, posiadają przecież właściwe sobie cechy, które je wyróżniają i czynią z nich coś osobnego, samoistnego niejako. Należy nam przeto rozpatrzyć się w tych cechach, poznać, czém się one od siebie różnią. Przechodzimy więc do syntezy szczegółowéj.

IV. *Synteza szczegółowa.* Dwie wielkie klasy życiowych zjawisk, któremi się zajmują fizyologia i psychologia, różnią się od siebie tém głównie, że gdy pierwsza zawiera w sobie zmiany naraz współczesne i następcze, to druga tylko następcze. Zjawiska, będące przedmiotem fizyologii, przedstawiają się nam w formie licznych połączonych z sobą szeregów, gdy tymczasem zjawiska, stanowiące przedmiot psychologii, objawiają się pod postacią prostego szeregu. Liczne sprawy, których ciągłość i nieprzerwalność stanowi życie cielesne w ogóle, są współczesne, dokonywają się naraz i we wzajemnéj zależności; przeciwnie, czynności, należące do sfery myślenia, odbywają się nie razem, nie jednocześnie, ale jedna po drugiéj.

Z tém wszystkiém nie należy téj różnicy uważać za absolutną. Między temi dwiema klasami zjawisk nie masz przepaści, któraby wszelką łączność między niemi zrywała. W najniższych formach psychicznego życia różnica zaledwie daje się dostrzegać, i występuje

widocznie i w całéj rozciągłości dopiéro w wyższych formach, jakkolwiek i tu nie staje się ona bezwzględną. Tylko drogą stopniowego wyróżniania się zmiany psychiczne, które przedtém były i współczesnemi i następczemi, stają się wyłącznie następczemi. Wyróżnienie się to atoli nie może jeszcze być uważaném dzisiaj za zupełne. U zwierząt niższych rodzajów, każda część organizmu, wykonywając sama przez się i dla siebie tylko wszystkie sprawy żywotne, odpowiada także sama przez się i dla siebie tylko na wszystkie zewnętrzne bodźce. Psychiczne zmiany, jeżeli można je nazwać psychicznemi we właściwém tego słowa znaczeniu, są naraz współczesne i następcze i to w téj saméj prawie mierze, co i zmiany fizyczne. Dopiéro za ukazaniem się nerwowego systemu zaczynają się uporządkowywać zmiany psychiczne. Między rozmaitemi ich szeregami ustala się pewien związek. W miarę zaś, jak system nerwowy staje się doskonalszym, łączenie się tych szeregów staje się ściślejszém i zupełniejszém. A jakkolwiek główném dążeniem tego łączenia się szeregów jest wytworzenie z nich jednego pasma, cel ten nie może być osiągniętym zupełnie.

Zmiany, stanowiące istotę życia psychicznego ześrodkowują się najprzód na powierzchni ciała, późniéj na pewnych jéj częściach, a następnie na tych szczególnych miejscach, które stanowią zmysły, będące źródłem wszystkiéj działalności nerwowego systemu. Zmiany wewnętrzne idą za zmianami zewnętrznemi, jako ich następstwa; otóż w miarę, jak zmiany zewnętrzne zaczynają występować pod postacią szeregów, tę samę postać przybierają i zmiany wewnętrzne.

Konieczność układania się zmian psychicznych szeregowo jest prostém następstwem rozwoju odpowiedniości między organizmem, a otoczeniem. Zdolność, jaką posiada istota rozumna, rozeznawać rozmaite przedmioty zewnętrzne i zgadzać swe działanie ze zjawiskami w najrozmaitszy sposób złożonemi, wymaga pewnéj władzy, któraby umiała uporządkowywać różnorodne wrażenia. Wrażenia te odbierane są przez zmysły, przez rozmaite części ciała. Jeżeliby one nie sięgały daléj po za punkt, w którym były odebrane, jeżeliby pomiędzy niemi żadnego nie było związku, stosunku, na nicby się one nie zdały. Lecz dla tego, by między niemi mógł się ustalić jakiś stosunek, potrzebnym jest pewien środek, w którymby się one mogły z sobą spotykać, bez tego uporządkowanie ich jakiekolwiek jest niepodobném. Ten środek wspólnego zetknięcia się jest jeden dla wszystkich wrażeń, i wrażenia te dostają się doń nie inaczéj, jak pokolei. W miarę, jak zewnętrzne zjawiska stają się liczniejsze i bardziéj złożone, powiększa się także rozmaitość i szybkość zmian, jakim podlega ów wspólny dla wszystkich wrażeń środek, a w skutek

tego wytwarza się ciągły szereg nerwowych zmian, których podmiotową stronę stonowi to, co nazywamy świadomością. Jakoż świadomość stanowi główne znamię psychicznych działań, chociaż są między niemi i takie, które świadomemi nie są.

Charakterystyczną cechą świadomości jest to, że w niéj wszelkie zmiany następują kolejno, szeregiem jedna po drugiéj, kolejność tę wszakże nie należy pojmować w znaczeniu bezwzględném, wykluczającém wszelką współczesność. Oko naprzykład doznaje jednocześnie licznych zmian w skutek oddziaływania na nie zewnętrznych przedmiotów. Zmiany te występują współcześnie w świadomości, ale jedne z nich mniéj, inne więcéj wyraźnie. Z tém wszystkiém, w miarę, jak jakiś przedmiot zajmuje wyłącznie myśl naszę, inne przedmioty znikają z myśli i pojawiają się w kolei wtedy dopiéro, gdy myślenie przestało się tamtym zajmować.

Ponieważ przedmiotem psychologii jest ciągły szereg zmian kolejnie po sobie następujących, zadaniem więc psychologii być musi wykryć prawo, podług którego to następstwo psychicznych zmian układa się. Widoczném bowiem jest, że zmiany te nie są przypadkowe, że posłuszne są pewnemu prawu, o którego istnieniu świadczy cały zakres umysłowych czynności.

Sformułowanie atoli tego prawa nie jest rzeczą łatwo. Pamiętajmy bowiem, że w otoczeniu wszystkie zmiany następują nietylko szeregowo, porządkiem następczym, ale także współcześnie, że zewnętrzne zjawiska występują nie raz w najróżnorodniejszych z sobą połączeniach. W jakiż sposób wyrazić prawo, któreby przedstawiało wiernie i ściśle stosunek zjawisk wewnętrznych, objawiających się porządkiem następczym, do zjawisk zewnętrznych, już to następczych i współczesnych, już to połączonych z sobą najrozmaiciéj?

Odpowiedniość między porządkiem wewnętrznym a zewnętrznym każe się domyślać, że stosunek między dwoma stanami świadomości odpowiada stosunkowi między dwoma zewnętrznemi zjawiskami, które owe stany spowodowały. Na czémże więc ta odpowiedniość polega? Oto na tém, że *trwałość* związku między dwoma stanami świadomości zostaje w prostym stosunku do *trwałości* związków między dwoma zewnętrznemi, odpowiedniemi tym stanom, zjawiskami. Jeżeli moc związku między stanami wewnętrznemi nie odpowiada trwałości związku między zewnętrznemi zjawiskami, dowodzi to wadliwości przystosowania; między porządkiem wewnętrznym a zewnętrznym nie masz odpowiedniości, i dla tego następuje między niemi niezgodność, sprzeczność. W działaniach zwierząt napotykamy liczne przykłady tego braku równoległości między porządkiem we

wnętrznym a zewnętrznym. Jest on skutkiem albo niskiego stopnia umysłowości, albo niedostatecznego wykształcenia.

Powyższe prawo stosuje się zarówno tak do fenomenów następczych jak i współczesnych. Stosunek bowiem współczesności nie jest czém inném jak podwójném następstwem, takiém mianowicie, którego ogniwa odtwarzają się w świadomości z równąż łatwością i z jednaką siłą tak w jednym, jak i w drugim porządku.

Niezawodnie, że w następstwie zmian psychicznych zdarzają się nieraz połączenia, których hipoteza, że siła dążności, jaką posiada poprzednik zmiany psychicznéj do wywołania swego następnika, jest proporcyonalną do trwałości związku między zewnętrznemi rzeczami, z trudnością tylko potrafi nam wytłómaczyć. Co więcéj, w licznych wypadkach nadzwyczaj wyjątkowy a więc przygodny charakter stosunku zewnętrznych zjawisk staje się właśnie przyczyną nadzwyczajnéj trwałości stosunków wewnętrznych. Ależ trzeba pamiętać, że powyższe prawo nie jest prawem jakiéjkolwiek bądź umysłowości istniejącéj. Jest to prawo umysłowości pojętéj abstrakcyjnie; wyraża ono tylko powszechną dążność wszystkich zjawisk psychicznych do łączenia się z sobą w stosunki, któreby w mniejszym lub większym stopniu odpowiadały stosunkom rzeczy zewnętrznych. Bądź co bądź, mocą tylko tego prawa może nastąpić przystosowanie się stosunków wewnętrznych do zewnętrznych, stanowiące istotę życia; ono jedno zdoła nam wytłómaczyć, dla czego stosunki bezwzględne na zewnątrz są także bezwzględnemi i w nas, stosunki prawdopodobne lub przypadkowe w otoczeniu są takiemiż i w naszéj świadomości.

Im umysłowość dosięga wyższego stopnia doskonałości, tém prawo to ściśléj i dokładniéj wypełnia się. Postęp pod tym względem trzy przechodzi stopnie. Każdy organizm, umieszczony w otoczeniu zawierającém nieskończoną ilość różnorodnych stosunków, poczyna zrazu niedokładnie przystosowywać swe działanie do niewielkiéj ich tylko liczby i to do najprostszych. Przystosowanie więc działania do téj niewielkiéj liczby prostych stosunków *bardziéj ściste* stanowi pierwszy stopień postępu. Drugim stopniem jest przystawanie czynności do coraz *większéj liczby* prostych stosunków, trzecim nareszcie stopniem jest przystosowanie czynności do stosunków *złożonych*.

Jakież są warunki tych trzech stopni postępu?

Ponieważ w otoczeniu istnieją stosunki różnéj trwałości, od bezwzględnych aż do przygodnych, wypada więc, że i w umyśle, stosownie do stopnia odpowiedniości, jaka zachodzi między nim a otoczeniem, muszą być związki różnéj mocy i trwałości. W jakiż

sposób powstają te różne stopnie spójności? Na to jedna tylko jest odpowiedź: siła dążności, jaką posiada każdy szczególny stan świadomości do wywołania innego stanu, zależy wprost od mniéj lub więcéj częstego powtarzania się ich w doświadczeniu. Odpowiedź znajduje swe potwierdzenie w teoryi o kojarzeniu się wyobrażeń, w powszechnie znanéj prawdzie, że od niewiadomości dziecinnéj do wiedzy człowieka dojrzałego postępuje się krokiem bardzo powolnym, we wszystkich nareszcie teoryach i praktykach pedagogicznych, opiérających się głównie na wdrażaniu, przyzwyczajaniu, a w końcu w samych nałogach i przyzwyczajeniach, o których mówi przysłowie: nawyknienie jest drugą naturą.

Jedynemi pod tym względem wyjątkami zdają się być te zmiany psychiczne, które noszą nazwę *odruchów* i *instynktów*. Po bliższém atoli zbadaniu rzeczy przekonywamy się, że to są wyjątki pozorne. Chociaż bowiem jasném jest, że następstwa tak odruchowe jak instynktowe nie są wypadkiem indywidualnych doświadczeń organizmu, pozostaje przecież hipoteza, która ich wytworzenie się przypisuje doświadczeniom rasy. Otóż za tą hipotezą przemawiają liczne fakty, dowodzące, że tak rośliny jak zwierzęta, a w końcu ludzie odziedziczają po przodkach nie same tylko właściwości fizyczne, ale i psychiczne.

Czynność odruchowa w najprostszéj swéj formie jest pojedyńczym skurczem następującym w skutek pojedyńczego podrażnienia. Wrażenie odebrane w obwodowéj kończynie nerwu rozchodzi się wzdłuż nerwu doprowadzającego i wchodzi do nerwowego zwoju w którym wyzwala się ruch. Ten drogą nerwu odprowadzającego dostaje się do mięśniowéj tkanki i w niéj rozbudza ruch cząsteczkowy, objawiający się skurczem. W téj najprostszéj formie psychicznego działania dostrzega się przystosowanie szczególnego wewnętrznego stosunku do szczególnego zewnętrznego. Między zmianą np. dotykową a mięśniową zachodzi ten sam stosunek, co między oporem a rozciągłością w zewnętrznéem otoczeniu. Łatwo zrozumiéć, że ten wewnętrzny stosunek, powtarzający się nieskończoną ilość razy w codziennéem działaniu zwierzęcia zgodnie ze stosunkami zewnętrznemi, ustala się w organizmie i w dalszych pokoleniach, pod wpływem dziedzictwa, występuje w postaci stosunku organicznego, wrodzonego.

Od najprostszéj formy odruchu do najbardziéj złożonego, takiego, w którym kilka naraz skurczów w połączeniu odpowiada na zewnętrzny bodziec, przejście jest nieznaczne. W każdym razie, nawet w formie najbardziéj złożonéj działanie odruchowe będąc naj-

niższym objawem psychicznego życia stanowi przejściową formę, w któréj poraz pierwszy występuje różnica między życiem fizyczném a psychiczném.

Instynkt, pojęty nie w tém znaczeniu jak go ogół rozumié, nazywając nim umysłowość inną od téj, jaką człowiek posiada, ale w znaczeniu ciaśniejszém i ściślejszém, nie jest czém inném, jak działaniem odruchowém złożoném. To téż między instynktem a zwyczajnym odruchem trudno przeprowadzić rozgraniczenie. Możnaby powiedzićć co najwięcéj, że instynkt jest odruchem, w którym kombinacya bodźców wywołuje naraz całą grupę mięśniowych skurczów, w odpowiedni sposób uporządkowanych, skombinowanych z sobą.

Instynkt, będąc wyższą formą psychicznego życia, jest bardziéj oddalonym od życia czysto fizycznego, i kiedy działanie odruchowe jest właściwe wewnętrznym sprawom trzewiów i zewnętrznym zwierzęcego życia, to instynkt ogranicza się głównie do działania narządów nerwowo-mięśniowych, będących czynnikiem życia psychicznego. Jakoż w instynktowych działaniach daleko mniéj dostrzega się współczesności, wszystkie one są przeważnie następczemi. Co więcéj, w najwyższych jego formach musi nawet być coś podobnego do tego, co nazywamy świadomością. Różni się on nareszcie od spraw fizycznych i tém, że działanie jego odpowiada zewnętrznym stosunkom bardziéj złożonym, takim mianowicie, któremi się odróżniają jedne grupy przedmiotów i czynności od drugich.

Lecz w jaki sposób z prostych odruchów, drogą doświadczenia ciągle powtarzającego się, może się wytworzyć działanie, które zowiemy instynktem? Ażeby to zrozumiéć, potrzeba przypomniéć, że prawem jest tak dla nas jak i dla zwierząt, że im częściéj powtarzają się w pewnym porządku psychiczne stany, tém silniejsza powstaje w nich dążność do połączenia się z sobą w tym samym porządku tak, że w końcu stają się nierozdzielnemi; że, ponieważ dążność ta odziedzicza się, jeżeli więc doświadczenia pozostają te same, każde pokolenie następne odziedzicza swą dążność powiększoną nieco. Ztąd wynika, że między czynnościami nerwów ustala się automatyczny związek, odpowiadający stosunkom zewnętrznym, których organizmy pewnéj rasy ciągle doświadczają.

Rozwój instynktu, idący od form najprostszych do najwyższych, jest w ogóle postępem, dążącym do odpowiedniości coraz bardziéj złożonéj i szczegółowszéj. Pierwsze jego formy odpowiadają stosunkom najprostszym i najpowszechniejszym, a przez to samo najczęściéj powtarzającym się w doświadczeniu; najwyższe zaś—stosunkom najbardziéj złożonym i szczególnym, które tylko zrzadka przytrafiają się.

Wynika z tego, że w miarę, jak instynkt dosięga wyższego stopnia, czyli innemi słowy, w miarę, jak jego działanie staje się bardziéj złożoném, staje się ono zarazem mniéj określoném, mniéj oznaczoném, zatraca powoli swój automatyczny charakter, który go odróżnia od innych działań psychicznych, i przechodzi w wyższe formy psychicznego życia. Temi wyższemi formami są: *pamięć* i *rozum*.

Przystosowanie stosunków wewnętrznych do zewnętrznych w najprostszym swym kształcie jest działaniem zupełném i niepodzielném, w swym zaś kształcie złożonym składa się ono z wielu stanów, które w sposób mniéj lub więcéj zupełny dają się oddzielać jeden od drugiego, które mogą się odtwarzać w sposób niezależny i tém samém stanowić osobne części odpowiedniości. Ztąd wynika odrębny rodzaj psychicznych działań, między któremi pamięć zajmuje pierwsze miejsce z porządku. W działaniu instynktowém przystosowanie stosunków wewnętrznych do zewnętrznych jest najzupełniejsze, w pamięci to przystosowanie nietylko nie jest zupełném, ale często nawet bardzo niepewném i nieoznaczoném. Niezawodnie, że szereg wyobrażeń, stanowiących pamięć, przedstawia doświadczenia poprzednio miane; ale ponieważ nasze wspomnienia odnoszą się najczęściéj do zewnętrznych stosunków czysto przypadkowych, które tylko chwilowo istniały i nie nastręczą się może nigdy więcéj, przeto wewnętrzne stosunki, przez to wspomnienie odtworzone, nie odpowiadają często żadnym istniejącym teraz, albo mogącym kiedyś istnieć stosunkom.

Dla lepszego uwydatnienia różnicy między instynktem a pamięcią, możnaby powiedzieć, że instynkt jest pewnym rodzajem uorganizowanéj, ustalonéj pamięci; pamięć zaś pewnym rodzajem powstającego, wytwarzającego się instynktu. Jakoż, gdy jednym z głównych warunkiem pamięci jest powolne następstwo psychicznych stanów, o tyle, by każdy z nich mógł być nieco poznanym; to w instynkcie następstwo to dokonywa się nadzwyczaj szybko.

Pamięć objawia się każdym razem, gdy działanie automatyczne jest niezupełne. Przypomnieć sobie kolor różowy znaczy być w słabym stopniu w tym samym stanie psychicznym, w jakim się było gdy się doznało rzeczywistego wrażenia czerwonego koloru; przypomnieć sobie ruch ręki, znaczy być w słabym stopniu w tym samym stanie psychicznym, w jakim się było, gdy się wykonywało rzeczywisty ruch ręki.

Że pamięć słusznie może się uważać za powstający instynkt, dowodzi tego fakt, że skoro związek stanów psychicznych przez ciągłe powtarzanie staje się automatycznym, przestaje on tworzyć składową część pamięci. Najlepszym przykładem stopniowéj przemia-

ny pamięci w działanie automatyczne jest gra na fortepianie, pisanie, czytanie itd.

Rozum, zarówno jak i pamięć, będąc tylko wyższemi formami psychicznego działania, różni się od instynktu tylko stopniem rozwoju. W instynkcie dokonywa się przystosowanie stosunków wewnętrznych do zewnętrznych prostych i powszechnych; w rozumie—do stosunków złożonych, szczególnych, oderwanych i rzadkich. Gdy zaś wszystkie te charaktery podlegają nieskończonemu stponiowaniu, za pomocą którego ostateczności stykają się z sobą, jasném więc jest, że przejście od instynktu do rozumu nie jest nagłe, lecz również ma liczne, często trudne do oznaczenia stopnie.

Gdy przystosowanie automatycznych stosunków wewnętrznych do zewnętrznych z powodu wzrastającej komplikacyi i mniéj częstego powtarzania staje się niepewném i wahającém; natenczas działanie psychiczne, stanowiące naturę instynktu, przemienia się powoli w inne działanie psychiczne, zwane rozumem.

Pomiędzy działaniami rozumu należy przedewszystkiém odróżnić to, które bezpośrednio nie prowadzi do żadnéj czynności, ale za pomocą którego poznaje się cała nieskończoność zewnętrznych następstw i współbytności. Jest to tak zwane rozumowanie. Istota jego polega na tém, że w miarę, jak w skutek zorganizowania się doświadczenia wytwarza się zdolność oceniania wrażeń bardziéj złożonego charakteru, natenczas przymioty i stosunki, połączone w jednę grupę, stają się zanadto licznemi, ażeby mogły być przedstawiane jednocześnie nietylko umysłowo, ale nawet fizycznie. Z tego nagromadzenia się doświadczeń wynika, że każda grupa zewnętrznych zjawisk ustala w świadomości odpowiednią grupę stanów, która to ma do siebie, że zawiéra w sobie daleko więcéj stanów, niż ich kiedykolwiek mogło wywołać i wywołać kiedyś potrafi jakieś wrażenie złożone. Jeżeli więc kiedy, w czasie późniejszym, drogą wrażeń odebranych przez zmysły, powstanie jedna z owych grup stanów psychicznych, natenczas i różne inne stany psychiczne, związane przez poprzednie doświadczenie z ową grupą, objawią się w stanie słabym; następuje wyobrażenie przymiotów niepostrzeżonych, przymioty niepostrzeżone *wywnioskowują się*.

Wiemy już, że pamięć, drogą ciągłego powtarzania się, stając się automatyczną, przemienia się w instynkt. Otóż to samo dzieje się i z rozumowém działaniem. Przykładem tego są wszystkie spostrzeżenia nabyte, jakiemi się kierujemy w ocenianiu odległości, kształtu itd. zewnętrznych przedmiotów. Zdaje się nam, że znamy to wszystko bezpośrednio, tymczasem są one wypadkiem wnioskowania, które przez ciągłe powtarzanie stało się automatyczném.

Do tego rodzaju automatycznych działań rozumowych należy zaliczyć także wszystkie tak zwane formy myślenia, albo wrodzone idee idealistów. Do nich szczególniéj należą pojęcia czasu i przestrzeni.

Ponieważ stosunków czasu i przestrzeni doświadczają wszystkie w ogóle zwierzęta, nie wyjmując naturalnie i człowieka, przeto uorganizowanie się odpowiednich wewnętrznych stosunków musiało nie tylko w nich ustalić się, ale co więcéj z każdem nowém pokoleniem coraz większéj siły nabiérać tak, że w skutek tego stały się one trwalszemi od wszystkich innych. Czas i przestrzeń, będąc podścieliskiem wszystkich zewnętrznych stosunków, muszą odpowiadać pojęciom, które ze swéj strony są podścieliskiem wszystkich stosunków wewnętrznych. Te, będąc stałemi i zawsze powtarzającemi się pierwiastkami myślenia, stają się w końcu automatycznemi pierwiastkami każdéj myśli, pierwiastkami, których się pozbyć, których oddzielić od myśli niepodobna. Stają się, słowem, formami intuicyi.

Hipoteza ta opiéra się na znanych w fizyologii prawdach, że każde działanie psychiczne zależném jest od budowy nerwowego systemu, że w miarę, jak przechodzimy od zwierząt niższéj umysłowości do zwierząt, które objawiają ją w wyższym stopniu, znajdujemy coraz większy i bardziéj złożony pod względem budowy system nerwowy. W każdym bowiem wypadku zdolność uporządkowywania wrażeń i wykonywania odpowiednich czynności może się objawić wtedy dopiéro, gdy się wytworzą nerwy we właściwy sposób uporządkowane. Mózg np. ludzki, przedstawiający nieskończoną mnogość najrozmaiciéj skomplikowanych stosunków składowych swych części, przedstawia zarazem tyleż *ustalonych* drogą wiekowego rozwoju stosunków między psychicznemi stanami. Każdy z nieskończenie mnogich związków między włóknami mózgowéj masy odpowiada jakiemuś stałemu związkowi zjawisk, doświadczanych przez rasę. Organiczne uporządkowanie nerwów w mózgu nowo-narodzonego dziecięcia nietylko czyni możliwemi pewne kombinacye wrażeń, ale nadto czyni je koniecznemi przy odpowiednich warunkach, kombinacye te muszą się dokonać w przyszłości, tworząc pojęcia złożone, odpowiadające kombinacyom zjawisk zewnętrznego świata.

Pierwiastek uczuciowy od umysłowego nie da się oddzielić. Rozum i uczucie są to dwie strony téj saméj rzeczy, dwa kształty tego samego rozwoju. Z jednego pochodzą źródła i w jednaki sposób powstają.

Materyałem każdego działania rozumowego są albo wrażenia, albo ich przypomnienia, otóż tak jedne, jak drugie zawsze są do

pewnego stopnia albo przykre, albo przyjemne. Dla tego też, jak żaden akt poznania nie jest absolutnie wolnym od pierwiastku uczuciowego, tak żadne znów uczucie nie jest absolutnie wolném od pierwiastku rozumowego, każde bowiem uczucie wymaga spostrzeżenia, albo przypomnienia przedmiotów i działań zewnętrznych.

W jakim stosunku zostaje uczucie do rozumu, wyjaśni nam dokładnie rozpatrzenie się w stosunku, jaki zachodzi między spostrzeżeniem a czuciem, które jest składowym pierwiastkiem uczucia.

Ani spostrzeżenie bez czucia, ani czucie bez spostrzeżenia istniéć nie mogą. Każde czucie musi być spostrzeżoném i każde spostrzeżenie jest do pewnego stopnia uczuciowém. Mimo tak ścisłego z sobą powinowactwa, różnią się one tém, że gdy w czuciu świadomość zajmuje się organicznemi wrażeniami, to w postrzeganiu głównym przedmiotem jéj zajęcia się są stosunki tych wrażeń. Postrzeganie powstaje wtedy, gdy zmiany psychicznych stanów są zbyt szybkie, gdy stany, tworzące poprzedniki i następniki, trwają czas tak krótki, że świadomość, zajęta prawie wyłącznie samą zmianą, może ująć tylko stosunki tych stanów; przeciwnie, gdy zmiana psychicznych stanów jest powolna, gdy w niéj nie zacierają się wrażenia, jakie po sobie zostawia w świadomości każdy stan psychiczny, natenczas powstaje to, co nazywamy czuciem.

Jak między spostrzeganiem a czuciem zachodzi żywy antagonizm, tak samo i między rozumem a uczuciem trwa nieprzyjaźń wieczna. W miarę, jak się zastanawiamy nad doznawaną przyjemnością, bądź szukając jéj przyczyny, bądź ją samę poddając rozbiorowi, przyjemność ustaje.

Podobnyż antagonizm widzimy między uczuciem a automatyczném działaniem, tak, że można powiedziéć, że brakowi pamięci i rozumu towarzyszy zwykle zupełny brak uczucia. Uczucie bowiem, tak samo jak pamięć i rozum, powstaje wtedy dopiéro, gdy działanie psychiczne przestaje być automatycznem.

Zastanówmy się teraz, w jaki sposób powstają uczucia bardziéj złożone.

Gdy działania automatyczne, w skutek wzrastającéj komplikacyi i mniéj częstego powtarzania, stają się wahającemi niepewnemi, i nie zawiérają w sobie nic więcéj, jak grupę odebranych wrażeń i rozbudzonych przez nie zjawisk wytwarzającego się ruchu; natenczas powoli układa się uczucie w coraz większe i różnorodniejsze skupiania psychicznych stanów, łączące w jedno bezpośrednie wrażenia z przypomnieniami innych wrażeń, przypomnienia wrażeń z bezpośrednią czynnością, albo z przypomnieniem innych czynności.

To wytwarzanie się coraz rozległejszych i rozmaitszych grup psychicznych stanów jest koniecznym wypadkiem doświadczenia, które łącząc z sobą pewne stany psychiczne utrwala między niemi spójność i powinowactwo. Tak bowiem postęp rozumu od form prostych do najbardziéj złożonych jest dziełem przystosowania stosunków wewnętrznych do zewnętrznych; tak i postęp uczucia od form najprostszych do najbardziéj złożonych tłómaczy się tém, że stosunki zewnętrzne stają się powodem ustalania się odpowiednich im stosunków wewnętrznych. O złożoności uczuć daje nam dokładne pojęcie uczucie, jakiego doznajemy na widok pięknego krajobrazu. Na wytworzenie tego uczucia składają się najprzód wszystkie wrażenia jakich doznawaliśmy w życiu od drzew, pól, rzek, wodospadów, skał, przepaści, gór, obłoków itd. a które teraz, potrącone widokiem krajobrazu, przebudzają się i łączą z rzeczywistemi wrażeniami; następnie przebudzają się także prawdopodobnie i te mętne, głęboko leżące w umyśle wrażenia, które odziedziczyliśmy po przodkach, a których oni doznawali w owych czasach barbarzyńskich, kiedy jedyném źródłem doświadczanéj przez nich przyjemności były lasy i wody. Pamiętajmy, że prawo odziedziczania tak tu, jak i wszędzie, odgrywa ważną rolę. Każde uczucie, każda skłonność powstają drogą powolnego rozwoju, przez skupianie się w oddzielne, coraz rozleglejsze grupy psychicznych stanów. Grupy te z każdém nowém pokoleniem nabiérając coraz większéj mocy, stają się w końcu organicznemi. To téż jak formy myśli, tak samo i formy uczuć, będące wypadkiem doświadczenia rasy, każde nowo-narodzone dziecię przynosi z sobą w stanie utajonym. Gdy się nastręczą odpowiednie zewnętrzne okoliczności, utajone formy uczucia przebudzają się z razu słabo, a następnie, przy częstszém powtarzaniu z coraz większą siłą i z większém uwydatnieniem swych różnic.

Nietylko pamięć, rozum i uczucie powstają gdy psychiczne działania automatyczne stają się niepewne i wahające; w tychże samych warunkach objawia się także i wola, a mianowicie, gdy po odebraniu pewnego złożonego wrażenia powstają zjawiska odpowiedniego im ruchu, które jednakże nie mogą przejść w ruch rzeczywisty z powodu jednoczesnego wystąpienia innych zjawisk ruchu, również dążących do objawienia się i odpowiadających jakiemuś wrażeniu ściśle związanemu z pierwszém. Powstaje wtedy starcie się owych szeregów zjawisk, które nie są czém inném, jak słabą formą stanów świadomości. W każdym przeto akcie woli, gdy odłączymy odeń te stany świadomości, które stanowią pobudkę czynu, nie znajdujemy nic więcéj, jak umysłowe przedstawienie czynu, mającego się wykonać. Naturalnie, że w formach woli wyższych, bardziéj złożo-

nych, stan świadomości, poprzedzający działanie woli, oprócz wyobrażenia czynu, zawiéra jeszcze liczne uczuciowe wrażenia, które będąc słabém powtórzeniem doświadczonych już uprzednio w działaniu stanowią to, co nazywamy *chceniem*.

Wiemy już, że wola powstaje wtedy, gdy działanie psychiczne przestaje być automatycznem, łatwo więc domyśléć się, że i odwrotnie, przez ciągłe powtarzanie pewne psychicze działania dowolne mogą się przemienić w automatyczne. Przykładem tego są nawyknienia, nałogi. O ludziach, oddanych złym nałogom, powiadamy: „stracił on wszelką władzę nad sobą; nie umié nad sobą zapanować.“

Pojęta w ten sposób wola sprzeciwia się ustalonemu przekonaniu o wolności woli. Przekonanie to wszakże opiéra się na złudzeniu; a jest niém przypuszczenie, że *ja* w każdéj danéj chwili jest czémś więcéj, jak pewnym złożonym stanem świadomości, właśnie w owéj chwili trwającym. Jeżeli *ja* nie jest pewnym stanem świadomości, więc musi ono być czémś, czego świadomi nie jesteśmy, czego poznać nie możemy, nie możemy nawet wiedziéć, azali istnieje: co zatém jest dla nas, jakby nie było, czyli, mówiąc wyraźniéj, jest prostą niedorzecznością. Jeżeli pewne pobudzenie, odebrane z zewnątrz, wywołuje zjawiska odpowiedniego mu ruchu w słabéj formie i wyobrażenie pewnych uczuciowych wrażeń, które mają towarzyszyć rzeczywistemu ruchowi, albo być jego następstwem, to ów złożony stan psychiczny, będący pobudką do czynu, chceniem, jest zarazem owém *ja*, które czynu tego chce dokonać. Ten więc, kto doznaje owego psychicznego stanu, ma wszelkie prawo powiedziéć, że chce swego czynu dokonać, ponieważ w téj chwili nie jest on niczém więcéj, jak swym stanem psychicznym, który pobudza do działania. Każdy może robić, co chce, o ile temu nie przeszkadzają zewnętrzne warunki; ale nikt nie może chciéć lub nie chciéć czegoś. Chęć, pragnienie czegoś, lub wstręt do czegoś nie od nas zależy.

V. *Synteza fizyczna*. Rozdział ten, obszernych rozmiarów, zapełniony przykładami, wziętemi z anatomii porównaczéj, trudnym jest do streszczenia z dwóch względów; raz że takowe zajęłoby więcéj miejsca, niż na to nas stać, a powtóre, że bez wielkiego byłaby pożytku dla czytelnika, któryby musiał zadawalać się skąpemi napomknieniami w kwestyach i bez tego trudnych do pojęcia. Dla tego też ograniczam się tu na przedstawieniu w krótkich wyrazach założenia rozdziału i zasadniczéj jego myśli, rozwiniętéj o tyle, żeby czytelnik mógł przynajmniéj zdać sobie sprawę z tego, w jakim kierunku, na jakiéj drodze szuka Spencer odpowiedzi na sformułowane przez siebie na początku rozdziału pytanie.

Pytanie to brzmi w sposób następujący: W jaki sposób rozwój umysłowy może być podciągnięty pod rozwój ogólny, powszechny, rozważany jako postępowa przemiana fizyczna?

Całe zadanie sprowadza się do wytłómaczenia umysłowego rozwoju za pomocą podziału materyi i ruchu. Chociaż bowiem umysł pod względem podmiotowym znanym jest nam tylko jako grupa stanów świadomości, które nie mogą być brane za formy materyi i ruchu, i niekoniecznie mają się zgadzać z temiż samemi prawami podziału; z tém wszystkiém pod względem przedmiotowym pojmujemy umysł jako grupę działań pewnego organizmu, a więc, jako współczynnik pewnych zmian materyalnych, które muszą wejść w skład ogólnego procesu materyalnego rozwoju, inaczéj bowiem proces ten nie będzie miał powszechnego znaczenia.

Przedmiotem więc naszych badań, jest budowa i sprawy nerwowego systemu, rozważanego, jako wypadek przystosowania się organizmu do otoczenia. Mamy właśnie wykazać, w jaki sposób stosunki zewnętrzne, oddziaływając na organizm, wytwarzają w nim odpowiednie stosunki wewnętrzne.

Wiemy, że prawem umysłu jest, że siła powinowactwa, jaką posiada poprzednik pewnéj zmiany psychicznéj do swego następnika, jest proporcyonalną do związku między zewnętrznemi przedmiotami, których te zmiany są symboliczném przedstawieniem. Otóż ponieważ zmiany psychiczne nie są czém inném, jak podmiotową stroną tego, co pod względem przedmiotowym stanowi nerwowe działanie; zatém chcąc powyższe prawo umysłu podciągnąć pod prawo powszechne, musimy odpowiedziéć sobie na pytanie następujące: z jakiego ogólnego prawa podziału materyi i ruchu wynika, że gdy fala cząsteczkowéj przemiany przechodzi wzdłuż nerwowego mechanizmu, w mechanizmie tym następuje pewna zmiana, taka mianowicie, że gdy przy tych samych warunkach nowa, podobna do tamtéj fala wystąpi, fala ta przejdzie przez nerwy z większą łatwością od poprzedniéj?

Biologia nas uczy, że cały rozwój nerwowego systemu jest wypadkiem owego prawa mechanicznego, które powiada, że ruch dokonywa się w kierunku największego ciągnienia, albo najmniejszego oporu, albo w kierunku wypadkowéj ich obu.

Cząsteczkowe zakłócenie, spowodowane przez zewnętrzny czynnik w jakiéjkolwiek części żyjącego organizmu, udziela się natychmiast częściom przyległym, i w ten sposób wytwarza się fala cząsteczkowych zmian, zmierzająca ku innym częściom organizmu. Fala ta, nie napotykając w koloidalnych substancyach organizmu doskonałéj jednorodności, pójdzie naturalnie raczéj w tym, jak w in-

nym kierunku. Kierunkiem tym będzie mianowicie droga, na któréj fala cząsteczkowéj zmiany napotka jak najmniejszy opór, czyli innemi słowy, kierunkiem tym będzie droga, wzdłuż któréj napotykać się będą cząsteczki, uzdolnione do zmian, jakie im zakomunikuje odbywająca się fala ruchu i nie pochłaniająca w swéj zmianie zbyt wiele tego ruchu, słowem, cząsteczki, uzdolnione do izomerycznych przemian. Taka jest w najogólniejszym kształcie geneza nerwów. W podobnyż sposób tłómaczy się udoskonalanie się komunikacyjnych linij nerwowych, mocą którego każda nowa fala z większą łatwością odbywa drogę swego przebiegu. Linia nerwowych komunikacyj ustala się, staje się coraz bardziéj określoną i pewną, najprzód przez to, że wzdłuż niéj, mocą przebiegającego prądu zmian cząsteczkowych wytwarza się materya, zdolna do izomerycznych przemian; powtóre, że cząsteczki, składające nerwową materyą, będąc zrazu ułożone mniéj symetrycznie względem siebie, w miarę jak prąd cząsteczkowych zmian częściéj wśród nich przechodzi, przybierają układ coraz regularniejszy, a więc bardziéj uzdolniający je do izomerycznych przemian. Słowem, przybierają ów układ biegunowy, który jak najmniéj okazuje oporu rozchodzącéj się fali cząsteczkowego ruchu.

Władysław Kozłowski

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Po ucieczce Henryka. Dzieje bezkrólewia 1574—1575 przez Wincentego Zakrzewskiego. Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie. 1878, 8-o str. XVI i 440.

Uboga, bo zaledwie parę niewielkich i nie bardzo źródłowych prac licząca (Albertrandi, Tomek, Wojciechowski, Hüppe, Umaniec), literatura drugiego bezkrólewia znakomicie została zbogaconą dziełem prof. Zakrzewskiego, które, opiérając się na wielu nowych materyałach, dużo światła rzuca na wypadki tego dwulecia, a odznaczając się obok tego umiejętném przedstawieniem i opracowaniem słusznie zaliczoném być może do najlepszych dzieł, jakie w ostatnich latach w zakresie naszych dziejów wydane zostały.

Zaczyna się ono wstępem, traktującym „o literaturze i źródłach.“ Dla czego nie „o źródłach i literaturze?“ Skoro ta ostatnia jest wynikiem lub opiera się na pierwszych, przeto ten ostatni porządek przedstawienia byłby, zdaje się, istocie rzeczy odpowiedniejszy. Oczywiście nie zmniejsza to wartości wstępu, zasadzającéj się na dokładném wyliczeniu monograficznych prac o pierwszém i drugiém bezkrólewiu wraz z krótką ich charakterystyką, tudzież na przeglądzie wydanych dotychczas źródeł z trafnemi o nich uwagami (np. o Orzelskim, Heidensteinie i in.). Następnie podaje autor wiadomości o źródłach archiwalnych, z których korzystał a między któremi pierwsze miejsce zajmują zbiory w c. k. archiwum domu, dworu i państwa w Wiedniu i współczesny bogaty w ważne akty rękopism: „De electione ac interregno sub Henrico et Stephano regibus.“

Z wielkiém zajęciem czyta się rozdział I: „Reforma wewnętrzna i elekcya Henryka,“ w którym autor przedstawia koleje dążności do reform wewnętrznych za panowania ostatnich Jagiellonów i w czasie pierwszego bezkrólewia (geneza artykułów Henrykowskich). Tym ostatnim i czasom Zygmunta Augusta, w których te dążności ciągle niemal były na porządku dziennym, poświęca słusznie p. Z. najwię-

céj miejsca. Za panowania tego króla w różnych kierunkach myśl reformy wewnętrznéj poruszono i przeprowadzać chciano, w celu utworzenia silnego rządu, uorganizowania państwa na nowych podstawach; wówczas téż, według zdania autora, gdy państwa średniowieczne przekształcały się w nowożytne, i u nas był czas najlepszy i sposobność do przeprowadzenia odpowiednich reform. Dążności jednak, jakie się w tym kierunku objawiły, urzeczywistnione nie zostały (wyjątek: egzekucya dóbr, czyli częściowa reforma skarbu, oraz unia), a jednę przyczynę tego widzi autor w przymiotach Zygmunta Augusta, który powołaniu i stanowisku swemu nie odpowiedział, który nie był zdolny i nie rozumiał zadania, rozwiązać które trzeba było. Nieszczęśliwy król! stał się prawdziwym kozłem ofiarnym, na którego całą winę zwalić można, włożono nań odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia, a znakomite czyny i przymioty jego zacne ledwie że na wzmiankę zasłużyły. Autor, znalazłszy takiego kozła, zapomina zupełnie o innych dziejowych czynnikach, mianowicie zaś o tém, że przy takim układzie rządu, jaki był u nas, nie można samego tylko króla (i to króla z tak ograniczoną władzą, jaką mieli polscy królowie) słusznie winić o to, co się stało lub nie stało; że pomijając rozliczne trudności, które przeprowadzeniu reformy stały w drodze, a które powoli i mądrą polityką usuwać należało, oraz inne kwestye, załatwienie których czasowo było ważniejsze, ci, którzy stronnictwu reformy przewodzili, jak i całe stronnictwo, nie mieli należytéj świadomości celu swoich dążności i środków, jakich dla osiągnięcia tego celu chwycić się trzeba było.

Pogląd p. Z. na Zygmunta Augusta nie wszystkie znane fakta uwzględnia. Zdawałoby się, że p. Zakrzewski, mając na uwadze jedynie ideę reformy, z tego wyłącznie stanowiska patrząc na owe czasy, nakreślił sobie w myśli postać takiego króla, jaki mu się odpowiednim do okoliczności być zdawał, i do tego idealnego króla przymierzał Zygmunta Augusta; a ponieważ rzeczywista osoba modelowi nie dorównała, więc i sąd o ostatnim Jagellonie wypadł oczywiście dla niego niepomyślnie. Na miejsce Zygmunta Augusta autor chciałby mieć króla „rycerskiego i dzielnego wodza (do przeprowadzenia reform wewnętrznych warunek, zdaje się, nie bardzo nieodzowny), natury silnéj, zdrowéj, energicznéj ożywionéj zapałem i zdolnéj zapał powszechny podzielać,“ gdyż taka tylko osobistość mogła zbudować „silny gmach potęgi państwa.“ Dobrze to i pięknie wygląda, ale zdaleka i w teoryi. Przy bliższém wpatrzeniu się w rzeczywistość, nasuwają się pytania, na które u autora nie znajdujemy odpowiedzi. Czy natura taka, z zapałem i energią wziąwszy się do wypełnienia programu szlachty, mogłaby go istotnie urzeczywistnić

w obec wielkich przeszkód i trudności, jakieby temu stawiali magnaci i duchowieństwo, Litwa i Prusy? czy zamiast silnego rządu nie spowodowałaby jeszcze większych walk zewnętrznych i rozkładu? a gdyby jéj się i udało cały ten program urzeczywistnić, czyby ta budowa trwałą była? Zdaje się, że nie. W czasach takich, jak Zygmuntowskie, w czasach, gdy Litwa z Rusią i Prusy zaczęły się dopiéro z koroną lepiéj konsolidować i odrębności swe zgładzać, gdy szranki sporów i emulacyi katolicyzmu z wyznaniami protestanckiemi i sekt protestanckich między sobą rozszerzyły się na kraj cały, gdy silne rozterki między stanem świeckim a duchownym, szlachtą a magnatami wynurzyły się, gdy i zewnętrzne stosunki wymagały ciągłéj czujności, baczenia na sąsiadów, w takich czasach nie można było gwałtownie i prędko przeprowadzić rdzennych reform, zwłaszcza zaś łącząc się z jedném stronnictwem, jego tylko program przyjmując; w takich czasach podobna osobistość, jakąby chciał mieć p. Z., była na tronie bez niebezpieczeństwa wielkiego dla kraju niemożebną. Wówczas potrzeba było króla, obdarzonego wielką miłością kraju i wielkim rozumem, toleranta i niepochopnego do gwałtownych środków, nie jak węzeł gordyjski, rozstrzygającego kwestye stante pede, ale po zimném i długiém rozważeniu, chwiejnego (często na pozór tylko) i zwlekającego decyzyą, gdy takowa rozjątrzyć lub stanowczo zwrócić mogła jedno stronnictwo przeciw drugiemu; króla samodzielnego, rozważającego dane rady, ale zawsze mającego własne zdanie, nie ulegającego wyłącznym wpływom, umiejącego wysoko po nad wszystkimi utrzymać swój majestat; króla, rozumiejącego dobrze interesa kraju i w imię ich działającego, mistrza w polityce, w znajomości ludzi, w dobiéraniu środków dla osiągnięcia zamierzonego celu. Takim królem, odpowiednim potrzebom czasu, był Zygmunt August. Rozumiał on dobrze, iż Polsce reform, bo o tych tu głównie mowa, potrzeba; rozumiał lepiéj, aniżeli przywódzcy stronnictwa reformy, jakich potrzeba i jakiemi środkami je przeprowadzać; wiedział, że najprzód należy przyprowadzić do skutku unią a dopiéro na jéj podstawie urządzać finanse, wojsko, sądy, aby te reformy nie stały się tak połowiczne jak egzekucya, przeprowadzona jakby na prędce w potrzebie piénięžnéj i wskutek bardzo silnych nalegań i krzyków szlachty. Prawda tylko, że do reform wziął się za późno; ale na jego usprawiedliwienie przytoczyć się godzi, że nie od razu mogły się zmienić stare porządki z ostatnich lat panowania jego ojca, że niepodobieństwem było usunąć odrazu wpływowych i możnych magnatów, tém bardziéj, że w nich znalazł podporę przeciw szlachcie w sprawie małżeństwa z Barbarą, że nie mógł się brać do reform, gdy stosunek szlachty do senatorów i wyższego dochowieństwa był

najmocniéj napięty, gdy reformacyjna (w znaczeniu religijném) gorączka była najsilniejsza, gdy czasowo sprawa inflancka nabrała pierwszorzędnego znaczenia i ciągłéj uwagi ze strony króla wymagała. Skoro się to wszystko trochę uciszyło, doszła dopiéro do skutku unia; za nią poszłyby i inne reformy, do uskutecznienia których tylko Zygmunt August (a po nim Batory) najwięcéj miał zdolności, i które przyprowadziłby bez wątpienia do skutku, jeżeliby niestety nie umarł przedwcześnie, a co smutniejsza, sam jeszcze nie przyspieszył sobie zgonu swojém życiem w ostatnich latach panowania.

Autor, ostro sądzący Zygmunta Augusta, na złą oczywiście stronę wyzyskuje stosunek króla do trzeciéj żony i te ostatnie lata panowania, twierdząc, że co do moralnéj wartości, Zygmunt August stał w tym względzie bardzo nizko. Prawda zupełna, że wspomniane fakty są ciemną stroną w osobistości ostatniego Jagiellona: pożycie jego z Katarzyną rakuszanką rzeczywiście musiało wywoływać zgorszenie, a rozpusta w ostatnich latach życia budziła obrzydliwość. Ale jeżeli potępiamy za to Zygmunta Augusta, to uwzględnijmy także okoliczności w jakich wszystko to miało miejsce, zwróćmy mianowicie uwagę, o czém p. Z. zupełnie zapomina, na to jaką była ta jego trzecia żona, jakie miała wady i przeciwne dążności polityczne, jak zły wpływ na męża wywarła. Czyż można zrobić jaki zarzut Zygmuntowi Augustowi, jako małżonkowi Barbary Radziwiłłówny? Gdyby Zygmunt August co do moralnéj wartości bezwzględnie stał tak nizko, to stosunek jego do drugiéj żony nie nosiłby tylu pięknych, szlachetnych i sympatycznych rysów (owe, niby bardzo blizkie stosunki ich przedślubne, bądź co bądź dowiedzione nie są). Dla czegóż autor, dla wyjaśnienia téj zmiany w Zygmuncie Auguście, tego, zgadzamy się, moralnego upadku, nie bierze faktu, który jest pod ręką i rzecz choć w części objaśnia, lecz ucieka się do „przewrotu wszystkich stosunków w XVI wieku, humanizmu, zamętu w pojęciach religijnych,“ co, nawiasem mówiąc, nie ma tu zastosowania i nadto trąci nieco komunałami.

Co do innych zdań i zarzutów (np. że Zygmunt August używał w polityce dysymulacyi i fałszu, posługiwał się przekupstwem, że częściéj miał na widoku dobro osobiste niż publiczne), robionych przez p. Z. temu królowi, to i te nie są słuszne i ze skutkiem możnaby o nie z autorem polemizować. By jednak za bardzo nie rozszerzać ramy sprawozdania, zauważę tylko, że autor w wielu razach zbyt szybko robi uogólnienia, nie uwzględniając wszystkich faktów, z małoznaczących rzeczy lub okoliczności wyciąga wnioski zbyt ważne i za oszczędny jest niekiedy w przypiskach. „Na to wystarczy jeden tylko z wielu przytoczyć przykład.“ Na str. 23 opo-

wiada p. Z., że Abraham Zbąski, witając wstępującego w granice Polski Henryka Walezyusza, ostro bardzo wyrażał się o Zygmuncie Auguście, wśród ogromnego zgromadzenia wszystkich stanów. I daléj p. Z. mówi: „A wszyscy słuchają spokojnie, z uznaniem, żaden głos nie zaprzeczy; *oczywisty dowód, że to wyraz opinii publicznéj.*“ Mnie się zdaje, że wówczas wszyscy ciekawie patrzyli na nowo przybyłego króla, nim, jego orszakiem byli zajęci, nie zaś słuchaniem tego, co IM-ść Pan Zbąski powiada; milczenia ich w ten sposób komentować nie można, bo czyby się z mówcą zgadzali czy nie, krzyczeniem lub głośném protestowaniem wypowiadać swego zdania nie mogli, gdyż krzyk lub wołanie w podobnych razach wzięty byłby za oznakę nieokrzesania i złe dałby królowi wyobrażenie o nowych jego poddanych, jeżeliby już nie był poczytany za uchybienie majestatowi królewskiemu.

W dalszéj części rozdziału I-go, zwraca uwagę geneza artykułów Henrykowskich, które autor uznaje za poroniony płód dążności do reformy, jak niemniéj charakterystyka niektórych dygnitarzy duchownych i świeckich (Uchańskiego, Karnkowskiego, Myszkowskiego, Radziwiłłów, Łaskiego i in.), uzupełniona wielu nowemi i dosadnemi rysami. Nie zdaje mi się tylko, żeby ona tu była na miejscu, gdyż te rysy wzięte są prawie wyłącznie z listów Dudycza z drugiéj połowy roku 1574, więc z czasów drugiego już bezkrólewia; stosowniejsze miejsce dla tego ustępu, sądzę, byłoby w rozdziale III.

Rozdział II „Polska i jéj sąsiedzi“ przedstawia nam stosunek ościennych państw do Polski w ciągu lat kilkunastu dla wyjaśnienia stanowiska, jakie one zajęły do Polski po ucieczce Henryka. Tutaj także wiele nowych rzeczy znajdujemy „a najbardziéj zajmującym i najlepiéj opracowanym jest ustęp „Austrya i Polska,“ przedstawiający w krótkości zabiegi Maksymiliana II o koronę polską dla Ernesta w czasie pierwszego bezkrólewia, stosunek cesarza do Rzeczypospolitéj po elekcyi Henryka; nadewszystko zaś epizod „Dudycz i Maksymilian“ napisany jest znakomicie: portretowo wiernie rysuje nam osobistość posła cesarskiego, program i sposób postępowania, które proponował cesarzowi na początku drugiego bezkrólewia, dla osiągnięcia korony polskiéj, wreszcie także charakterystykę osobistości i polityki Maksymiliana II. Ta ostatnia obejmuje dosyć rysów zanadto pochlebnych. Przyznaję, że Maksymilian II jest jedną z najwięcéj sympatycznych osobistości domu habsburskiego, ale nie zgadzam się jednak na tak pochlebną jego charakterystykę i mniemam, że sam p. Z. nie napisałby takiéj, jeżeliby nie szedł w tym względzie tak bardzo za zdaniem posłów weneckich, ale raczéj za faktami, których mu dostarczały badane przez niego materyały „Polonica,“ doty-

czące stosunku cesarza do Polski. W charakterystyce téj szczególniéj chroma porównanie Maksymiliana II z Zygmuntem Augustem co do sympatyj z reformą, zawiedzionych nadziei przeprowadzenia, przyznanie wyższości pierwszego nad drugim talentami, uczciwością polityki, moralną wartością. Co do „sympatyj z reformą,“ to mniemam przeciwnie, że stoją oni na przeciwległych biegunach i porównywani być nie mogą. Maksymilian w gruncie serca był protestantem a katolicyzmu trzymał się tylko i popiérał go, ze względów polityki; gdy, przeciwnie, Zygmunt August był istotnie szczerym katolikiem i jeżeli postępowaniem swojém czy patrzeniem przez szpary zdawał się sprzyjać różnowiercom, robił to nie z powodu swojéj niby sympatyi dla protestantyzmu, ale dla utrzymania równowagi i spokoju między burzliwemi reformacyjnemi żywiołami a katolicyzmem, w imię przynoszących mu zaszczyt, wyznawanych przez niego wzniosłych zasad tolerancyi. Od przechylenia się zupełnego na stronę reformy Maksymiliana II wstrzymywały, powtarzam, interesy polityki, Zygmunta Augusta zaś—wewnętrzne przekonanie. Dziwném się tedy zdaje, że na porównanie ich w tym względzie pozwolił sobie autor, który przecie zna prace Maurenbrechera i Reimanna, a zapewne i Kocha (Quellen zur Geschichte Maximilian II), który zna pamiętniki Commendonego i dobrze (skoro w „Początku i wzroście reformacyi w Polsce“ cytuje je więcéj zapewne niż 100 razy); wspomniane prace i źródła dobrze wyświetlają prawdziwe przekonania Maksymiliana, świadectwo zaś Commendonego, przytaczane nieraz przez niego własne słowa króla, co do istotnych przekonań religijnych Zygmunta Augusta wątpliwości również budzić nie mogą. Zagadkowo także brzmią słowa autora, że Maksymilian od Zygmunta Augusta „wyższy talentami,“ że „sprawiedliwością i wartością moralną o całe niebo nad nim góruje“ (str. 96). Jakie talenty Maksymiliana (sądzę przecie, że nie do stolarstwa czy tokarstwa, któremi pono Maksymilian w wolnych się zajmował chwilach) ma autor na myśli? tego nie powiedział; na czém zasadza się jego wyższość moralna (miarą któréj nie są przecież jedynie stosunki familijno-domowe), w czém on „o całe niebo“ (!) sprawiedliwszy od Zygmunta Augusta, tego również trochę trudno się domyśléć. Pewną illustracyą w tym przedmiocie są: częste skargi samego Dudycza, że poddani polscy w sprawach z poddanymi cesarza nie mogą się nigdy doczekać sądu i wymiaru sprawiedliwości; sprawa Gomuliński-Hommonay; sprawa Beaty z Kościeleckich Ostrogskiéj (prosimy tylko przeczytać o tém szkic Przezdzieckiego w V tomie Jagiellonek, a będzie się można przekonać, że sprawiedliwość i poczucie moralne Maksymiliana wyższe jeszcze od całego nieba!); ciągłe podburzania i intrygi, aby przez sprawę wołoską wmięszać Polskę do woj-

ny z Turcyą; zmowy z Janem Groźnym; cała sprawa Cyrusa; układy z panami litewskimi przez Commendonego jeszcze za życia Zygmunta Augusta; chęć oszukania Anny Jagiellonki czczemi obietnicami; blaga i czcze również słowa i obietnice w sprawie barskiéj; ciągłe szpiegowanie, co się w Polsce dzieje; tajne pertraktacye z panami polskimi i rozległe przekupstwa, praktykowane w czasie bezkrólewia; konszachty z magnatami litewskimi na rozerwanie unii, dawanie im na to najuroczystszych piśmiennych zobowiązań, zdradzieckie pertraktacye z miastami pruskiemi i pruskim księciem, pisanie do nich jako swoich poddanych i wdrażanie im myśli, że one do cesarstwa należą. Czy w obec tych faktów wypadało wynosić sprawiedliwość i wysoką moralność Maksymiliana, twierdzić, że „politykę jego niezwykła cechuje uczciwość" (str. 96), że „cesarz zbyt uczciwy, zbyt przezorny, aby rozbijać unią" (str. 97) i t. d.? Jakąż wartość mogą mieć zdania, którym przeczą nie jeden i nie kilka najautentyczniejszych dokumentów, wydanych przez samego cesarza i jego dyplomatów? Żeby można porównywać tych dwóch monarchów, jednego wynosić a poniżać drugiego, trzeba spuścić z uwagi wszystko to, co przeczy porównaniu i owéj mniemanéj wyższości; uda się nam to, jeżeli mierzymy ich nie jednym i tym samym, ale różnym łokciem, jeżeli np. jednemu, Zygmuntowi Augustowi, poczytamy za bardzo złe, że się w polityce posługiwał przekupstwem, a przekupstwa, praktykowane przez drugiego, Maksymiliana, uznamy za rzecz naturalną i godziwą.

Rozdział III „Dziesięć miesięcy bezrządu" przedstawia nam sytuacyą po ucieczce Henryka Walezyusza, stronnictwa, które się utworzyły, co do pojmowania tego wypadku i jego następstw głównie ze względu na elekcyą, konwokacyą warszawską i stosunki do jéj uchwał Prus i Litwy, a wreszcie niektóre wewnętrzne sprawy, jako to ustanowienia i funkcyj nowych sądów, zburzenia zboru w Krakowie, sprawę o Lanckoronę. Tytuł nie zdaje mi się bardzo odpowiedni; sejm stężycki nie położył końca bezrządowi, nie trwał on więc *dziesięć* miesięcy, tylko i takim samym był po sejmie a nawet do koronacyi Batorego, jak i przed sejmem stężyckim. Do tego rozdziału również miał autor dosyć nowych materyałów i umiejętnie je użył; lecz przedstawienie, względnie do zakresu dzieła, mającego zawierać „Dzieje bezkrólewia," zdaje mi się, za ograniczone. Dokładniéj powinienby autor wejrzeć w wewnętrzne stosunki rzeczypospolitéj i opisać je w wielu innych względach a nietylko w politycznym, coby zapewne bardziéj i dokładniéj udowodniło, lub nie, ów bezrząd. W danem miejscu byłaby ku temu pora, gdyż w następnéj części dzieła o sprawach wewnętrznych po sejmie stężyckim autor mówi już mało (sejmiki, konwokacya, napad Tatarów) i tylko polityczną

historyą się zajmuje, zabiegami kandydatów, jednaniem przez nich stronników i t. d.

Stosunkiem Hernyka Walezego do Polski po ucieczce i wykazaniem, że ze względu na sprawy francuzkie nie mógł do Polski powrócić, zaczyna się rozdział IV. Daléj przedstawia w nim autor historyą kandydatur Alfonsa II księcia Ferrary, Jana III króla szwedzkiego, Iwana Groźnego, Piasta, Wilhelma z Rożemberka i domu habsburskiego. Kończą ten rozdział ustępy, poświęcone Annie Jagiellonce i wysłanemu do Stężycy poselstwu cesarskiemu.

Historye wszystkich tych kandydatur w stosunku do historyi kandydatury habsburskiéj, znacznie mniejsze zajmują mniejsce. Prawda, że nie miały one tak wielkiéj wagi jak ta ostatnia, że nie były z taką usilnością propagowane, więc téż i do skreślenia ich historyj mniéj jest materyałów, a niektóre z nich nie mogły być autorowi przystępne, lub okoliczności nie pozwoliły mu z nich korzystać; wskutek tego zabiegi innych pretendentów należycie wyjaśnione w tém dziele nie są. Ale z drugiéj strony znowu, nie powiem, ażeby i te materyały, któremi p. Z. rozporządzał, zostały należycie wyczerpane, osobliwie zaś te, które są w Wiedniu. Z korespondencyj Dudycza i innych osób dałby się wydobyć nie jeden jeszcze szczegół (nazwisko np. nieznanego p. Z. posła jest Garriezo, list Dudycza do cesarza z 19 Lipca 1574); do historyi kandydatury Wilhelma z Rozemberka pominięte np. zostały przez autora listy Myszkowskiego do Fogelwedera z początku Września 1574, Władysława z Lobkowic do cesarza z 20 Sierpnia 1574, bezimienna wiadomość z 6 Września 1574, list Bogusza do Dudycza z 3 Kwietnia r. 1575, własnoręczna notatka Marcina Gerstmanna o agencie Rozemberka, na niemieckiém tłómaczeniu protestacyi szlachty spisanéj przy rozjechaniu się ze Stężycy, z początku Czerwca roku 1575 i t. d. Szczegóły te kwestyi nie rozświecają ostatecznie i pierwszorzędnéj wartości nie są, ale znowu i nie do pogardzenia w takiéj sprawie o któréj wié się bardzo mało.

Zabiegi i praktyki rakuskie, jak wspomniałem, opracowane są bez porównania obszerniéj. Wynikło to z bogactwa materyałów w archiwum państwowém w Wiedniu; materyałów tych tak jest obficie, że każdy prawie dzień od połowy 1572 do połowy roku 1576 obstawić można kilku, niekiedy kilkunastu dokumentami; porównawszy ogrom tych materyałów, z odpowiedniemi częściami książki p. Z., nie można oczywiście powiedzieć, że takowe zostały wyczerpane, co zresztą widać i z samego przedstawienia, nie wtajemniczającego nas w wiele szczegółów; autor starał się wyczerpać z tych materyałów tylko najważniejsze rzeczy i to mu się, przyznać trzeba,

powiodło; rzadko tylko uszedł jego uwagi jaki ważniejszy dokument, mniéj za to ważne (jak np. pełnomocnictwa) przerzucał często bez czytania, jak tego dowodzą niektóre zdania w książce, w sprzeczności z takiemi dokumentami będące: np. na str. 272 bez przytoczenia na to dowodów powiedziano, że Uchański „z oburzeniem wyrażał się o Dudyczu i nie chciał mieć z nim nic spólnego," co zdaje mi się rzecz. istości nie bardzo odpowiada, gdyż trudno to pogodzić, choćby z następującym np. ustępem listu Uchańskiego do Dudycza z 19 Stycznia 1576: „Za tę chęć WM-ści ku mnie, o któréj mi w liście swym pisać raczysz, WM-ści bardzo dziękuję, chcąc téż rad WM-ści także to po sobie pokazować, jakobyś WM-ść znać raczył, że się ja w przyjaźni WM-ści kocham i onéj szanuję." Z powodu drugiego małżeństwa Dudycza z Zofią Zborowską, autor po dłuższym wywodzie mówi: „Maksymilan nie wysłuchał *więc* ustawicznych próźb swego internuncyusza i nie poparł jego konkurów swoją powagą." (str. 273). Tak cały wywód jak i wniosek nie są ścisłe i z prawdą zgodne, gdyż w „Polonica" jest koncept listu cesarskiego z 7 Lipca 1574, adresowany imiennie do Piotra, Antrzeją, Jana, Krzysztofa „et coeteris fratribus Sboroviis coniunctim vel divisim," w którym to liście cesarz dziękuje im za przychylność dla Dudycza i daléj pisze, że ponieważ Dudycz potrzebuje ich życzliwości i obecnie w pewnym swoim prywatnym interesie, prosi ich przeto, żeby ten interes popiérali i do dobrego końca doprowadzili a on im to przy sposobności swoją łaską odpłaci.

Również mylném jest twierdzenie autora, że Maksymilian polecił posłom swoim na sejm stężycki, Marcicowi Gerstmannowi i Bertoldowi z Lipy, „porozumiewać się we wszystkiém z Dudyczem, ale go do nich nie dodał jako trzeciego posła, choć mu to także Dudycz podsuwał" (str. 313). Przeczy temu list uwierzytelniający do stanów rzeczypospolitéj z 7 Maja. Dudycz nietylko, że był trzecim posłem, ale owszem sam jeden miał odprawiać poselstwo w tym przypadku, jeżeliby prędko przystąpiono do elekcyi i dwaj inni posłowie nie byli w stanie przybyć na czas do Stężycy z nad granic Polski; na ten przypadek miał także Dudycz osobne listy uwierzytelniające, 3 Maja przez cesarza wydane.

Bez podstawy jest także zdanie autora, że cesarz upoważniał posłów wysłanych do Stężycy, aby *wydali* Litwinom asekuracyą co do uczynionych im poprzednio obietnic względem unii etc. (str. 316), jako téż, że posłowie musieli ją wydać na przywiezionym blankiecie (str. 344, w uwadze). Posłowie mieli nie wydać, ale tylko *wręczyć* Litwinom wspomnianą asekuracyą; przywieźli ją z sobą już zupełnie gotową, była zaś napisaną jeszcze w Wiedniu, gdyż koncept jéj ręką

P. Obernburgera dotąd się tam znajduje (w archiwum ministeryum spraw wewnętrznych).

Przystępne autorowi i dosyć obfite materyały do historyi sejmu stężyckiego, którym p. Z. zajmuje się w następnym V rozdziale: „Nieudana elekcya i jéj skutki,“ mogłyby być lepiéj wyzyskane; osobliwie zwraca uwagę, że autor nic prawie nie mówi o tém, co tam robił w Stężycy cesarski internuncyusz. Dudycz siedział przecież w Stężycy przez cały czas sejmu i nie dla tego chyba tylko, żeby się przebiegowi sejmu przypatrywać, skoro mu do pomocy umyślnie trzech jeszcze agentów dodano. W rzeczywistości sam i za ich pomocą tajnie, ukrywając się za cudze plecy, ale usilnie intrygował i w znacznéj części był przyczyną tych niezgód, które rozerwanie sejmu spowodowały „sejmu niefortunnego, któremu przewodniczył duch zawrotu“ — słowa te wypowiada sam Dudycz! — a któż jeżeli nie on był tym „duchem zawrotu,“ może nie jedynym, ale przynajmniéj jednym z nich: on podżegał do uporu i obstawania przy swojém cezaryanów; on był sprężyną manewrów Litwy; on inscenyował sprawę dekretu, odsądzającego Henryka od tronu, bo tak mu nakazywały dane przez cesarza instrukcye; on podsycał spory, żeby nie przystąpiono do elekcyi, nimby posłowie z nad granicy nie przybyli. Na podstawie tedy materyałów wiedeńskich możnaby na działalność Dudycza w Stężycy rzucić niejakie światło, a byłoby to pouczające.

Druga połowa rozdziału zajmuje się następującemi po sejmie stężyckim sejmikami, historyą zwołania sejmu konwokacyjnego i nim samym (5 Października 1575), ostatniemi zabiegami w interesie Henryka, wreszcie strasznym napadem Tatarów na jesieni roku 1575, a jako ilustracyą do tego podaje rys stosunków z Turcyą od ucieczki Henryka. Wspomniałem już wyżéj, że ten rozdział jest niedostateczny względnie do zakresu i przedmiotu całego dzieła. Co najmniéj oczekiwaćby tu można skreślenia następstw i wrażenia sprawionego przez sejm stężycki, uwydatnienia różnicy między senatorami, jako przedstawicielami partyi habsburskiéj a całą szlachtą, usposobienia jednych i drugich, silnéj agitacyi, rozpoczętéj wśród szlachty przeciw kandydatowi habsburskiemu, moralnéj klęski w Stężycy i upadku na duchu cezaryanów. O tych „skutkach“ nieudanéj elekcyi mowa jest tylko w tytule rozdziału, ale nie w nim samym, są one zaledwie zaznaczone, i to nie na miejscu, jak sądzę, bo na początku VI-go rozdziału, główną treścią którego jest już elekcya, wypadki z Listopada i Grudnia.

Z tego VI-go i ostatniego rozdziału stosownem także zdawałoby mi się wyłączenie opisu dalszych zabiegów cesarza i jego posła o skupienie i rozszerzenie swego stronnictwa, tudzież zabiegi innych

kandydatów, z czasu między temi dwoma sejmami, stężyckim i warszawskim. Ten przedział czasu w historyi 2-go bezkrólewia tworzy osobny peryod, dosyć wyróżniający się charakterem od poprzedniego i następnego; koniecznėm więc było mu poświęcić osobny rozdział; p. Z. tymczasem rozerwał go na dwie części: część jednę przyłączył do 5-go rozdziału, który należałoby poświęcić tylko stężyckiemu, a drugą część złączył z rozdziałem 6-tym, który o samym tylko sejmie elekcyjnym warszawskim powinienby traktować.

Pod koniec dzieła autor jakby się spieszył, w wielu razach za nadto jest treściwy, tak w przedstawieniu wypadków przedsejmowych jak i w opowieści o samym sejmie elekcyjnym. Nie dowiadujemy się wielu rzeczy, jak np. nazwisk posłów arcyksięcia Ferdynanda i elektorów niemieckich, bliższéj treści robionych przez nich propozycyj, dokładniejszego opisu działalności posłów cesarskich i ich wpływu na przebieg wypadków; relacye ich wprawdzie nie wszystkie się dochowały i to tylko w konceptach pisanych przez Gerstmanna; wszelako i te, które są, mogłyby być lepiéj wyczerpane; nie znajdujemy również wzmianki o ważnym układzie posłów cesarskich z Litwinami (9 Grudnia 1575) względem elekcyi; nie widział również autor oryginalnego dekretu elekcyi Maksymiliana (z 58 pieczęciami), mimo że on znajduje się w tém samém archiwum, co i inne materyały (oczywiście nie między „Polonica“ ani „Hungarica,“ ale w oddziale dyplomatów). W ogóle, znać że wiedeńskie osobliwie materyały z drugiéj połowy roku 1575 autor studyował z większym pośpiechem, niż odnoszące się do czasu poprzedniego.

Doprowadza p. Z. swoje dzieło do wyboru Maksymiliana i Anny Jagiellonki z Batorym, do wysłania poselstw do obu elektów. Zakończeniu brak pewnego zaokrąglenia. „Dzieje bezkrólewia“ należałoby chyba doprowadzić do tego punktu, kiedy bezkrólewie rzeczywiście się skończyło, t. j. do koronacyi Stefana Batorego a studyowanie wypadków od elekcyi aż do 1 Maja r. 1576 nie byłoby zapewne bez wpływu i korzyści dla genezy i historyi habsburskiéj, a specyalnie Maksymiliana II, kandydatury do korony polskiéj.

Teodor Wierzbowski.

KRONIKA NAUKOWA.

Podział bezpośredni światła elektrycznego pp. Molera i Cebrian.

Sprawozdawca z dziedziny odkryć i wynalazków skazanym jest obecnie, z powodu chwilowego rozwoju pewnéj dziedziny wiedzy fizycznéj, na obracanie się ciągłe w sferze telefonów i oświetlenia elektrycznego. Dwa te przedmioty są ciągle na porządku dziennym, i co chwila wynalazcy z różnych stron świata częstują nas nowościami. Najwięcéj korzyści materyalnych obiecuje oświetlenie elektryczne, więc téż szczególniéj w tym dziale pojawia się mnogość najrozmaitszych propozycyj. W jednym z ostatnich numerów *Scientific American* znajdujemy opis interesującéj próby oświetlenia elektrycznego, opartéj na zupełnie nowéj zasadzie podziału.

Sprawa światła elektrycznego stoi obecnie tak, że tam, gdzie chodzi o wytworzenie jednego wielkiego ogniska, o potężnéj sile światła, tam opłaca się ono najzupełniéj i przedstawia nawet znakomite korzyści w obec innych świateł. Natomiast tam, gdzie trzeba z jednego źródła zapalić wiele świateł o mniejszéj sile, oświetlenie takie kosztuje za drogo, i właśnie wynalazcy zajęci są szukaniem taniego podziału. Wspominaliśmy o tém kilkakrotnie w kronice naukowéj. Obecnie pp. *Molero* i *Cebrian* z San Francisco, które to miasto, nawiasem mówiąc, pierwsze ze wszystkich na kuli ziemskiéj ma być całkowicie oświetlone elektrycznością, przedstawili projekt bezpośredniego podziału światła, uderzający nowością pomysłu. Wytwarzają oni potężne ognisko światła, a potém dzielą na części nie prąd elektryczny, ale same promienie światła, rozsyłając je na wszystkie strony.

Żeby poznać ich metodę oświetlania, miejmy jakiś praktyczny przykład na oku. Dajmy na to, że chodzi nam o oświetlenie wnętrza jakiegoś budynku. W tym celu ustawia się gdzieś w wygodném miejscu, np. w suterenach, maszynę magnetoelektryczną, która

za pomocą pary wytwarza silny prąd elektryczny, zapalający jednę lampę o sile kilku tysięcy płomieni gazowych.

Ognisko światła mieści się w środku sześcianu, którego ściany utworzone są przez soczewki wypukłe, dające promieniom światła taki kierunek, iż się nie rozpraszają w przestrzeni, lecz biegną równolegle. Ze wszystkich ścian wybiegają pasma światła skoncentrowanego o równoległych promieniach. Takich soczewek używają przy latarniach morskich, żeby światło z wielkiéj odległości na morzu mogło być widzianém. Kiedy promienie są zmuszone do równoległego biegu, wtedy strata na sile jest stosunkowo małą, nawet na wielkiéj przestrzeni i pochodzi głównie od absorbcyi powietrza i od rozproszenia. Dokładną konstrukcyą można to sprowadzić do nie zbyt wielkiego minimum.

Zobaczmy teraz jak pp. Molero i Cebrian zużytkowują tę własność do celów praktycznego oświetlenia. Przypatrzmy się przebiegowi jednego z pasm światła, rzucanego przez soczewkę. Przypuśćmy, że śledzimy przebieg pasma idącego pionowo do góry. Zamkniętém jest ono w rurze przechodzącéj przez wszystkie piętra. Zaraz na wysokości parteru część pasma w rurze pada na pryzmat, który załamuje je i rzuca w kierunku poziomym. Od pasma pionowego oddzieloną została jedna część, która w postaci pasma poziomego, o mniejszéj sile, bieży w rurze pionowéj umieszczonéj w suficie. W przebiegu po nad salonem znajduje się pryzmat, odbierający z kolei rzeczy pewną część pasma i rzucający je na reflektor oświecający salon. Pozostała część przechodzi daléj i rozdzielona jest na pojedyncze pokoje. Mamy tu coś podobnego do rozdziału wody lub gazu, za pomocą rur i kranów, z tą różnicą, że tu rury muszą być proste, a zamiast kurków są pryzmaty i reflektory.

Główne pasmo pionowe, którego część zużytą została na oświetlenie parteru, służy zupełnie w ten sam sposób do oświetlenia wszystkich piętr.

Inne główne pasma, wychodzące od ogniska w suterynach, zużytkowują się tak samo do oświetlania lamp przed frontem, lamp ulicznych, ogrodowych itp.

W każdéj chwili, można regulować w danym pokoju ilość światła odpowiedniém ustawieniem soczewki. Zresztą dla pewnych specyalnych potrzeb można zakładać inne soczewki, o odmiennym kształcie, kiedy np. chodzi o skoncentrowanie światła na jeden punkt w pokoju, przy doświadczeniach fizycznych i t. p. Soczewki mogą być kolorowe i zmieniać w dowolny sposób barwę oświetlenia.

Teoretycznie ta metoda wydaje się dobrą, lecz praktycznie dałoby się jéj wiele zarzucić. W czasopiśmie wyżéj wspomnianém nie

ma ani słówka o próbach z oświetleniem tego rodzaju, nie mamy więc jeszcze pewnych podstaw do sądzenia o jego przyszłości. Skoro jednak nadejdą bliższe szczegóły, nie omieszkamy o tém dać znać naszym czytelnikom.

Ciepło i światło.

W obec nadzwyczajnego rozwoju sprawy oświetlenia, kiedy już co chwila spodziewać się możemy jakiegoś wynalazku, który gaz na drugi plan usunie a natomiast wprowadzi elektryczność, na miejscu będzie podanie tutaj wyników z ostatnich badań w tym kierunku, zestawionych przez p. Preeca, jednego z najpierwszych dziś żyjących elektryków.

Dotąd chodzono jeszcze zupełnie omackiem, szukając najlepszego sposobu wydobycia z pewnéj ilości prądu, największéj ilości światła. Dziś są już pewne podstawy, dające wskazówki, w którym kierunku szukać rozwiązania należy.

W rozmaitych lampach elektrycznych, rozmaitych systemów otrzymuje się różną ilość światła, chociaż jeden i ten sam prąd się zużywa. Jak się zdaje, przyczyna tego leży w następującém. Wiadomo, że ciała świecą przez rozgrzanie, i w każdéj lampie elektrycznéj mamy wiele promieni światła i promieni ciepła.

Idealnie dobra lampa powinna dawać samo tylko światło, a tymczasem wszystkie, które znamy, wywiązują wielką ilość promieni cieplikowych ciemnych, które do oświetlania wcale się nie przyczyniają.

Im która lampa wydaje mniéj takich ciemnych promieni, tém jest jaśniejszą, bo prąd zużywa się na światło nie zaś, przeciwnie, na ciepło.

Światło i ciepło są bardzo do siebie podobne i nierozdzielnie złączone. Jeżeli ciało jakieś podniesiemy do wysokiéj temperatury, to ono zaczyna świecić i to tém jaśniéj, im wyższa temperatura.

Zauważono, że wszystkie ciała świecić zaczynają przy jednéj i téj saméj temperaturze, dochodzącéj do 1.000^0 Celciusza.

Jeśli jakieś ciało, np. drucik platynowy, będziemy rozgrzewali, to przy 1.000 stopniach zacznie on wydawać światło czerwone, mało bardzo jasne, i dopiéro przy wzmagającém się cieple, barwa świecącego drucika zmienia się ciągle, przechodząc przez wszystkie kolory widma. Z czerwonéj (1.000^0), staje się pomarańczową (1.200^0), potém żółtą (1.300^0) daléj błękitną (1.500^0) nareszcie fioletową (2.000^0).

Gdy temperatura daléj się wzniesie, to już światło jest czysto białém i zawiéra wszystkie promienie widma.

W oświetlaniu elektryczném, jak wspomnieliśmy, używane są dwie metody. Raz tworzy się tak zwany łuk woltaiczny, albo téż nie ma łuku wcale, a tylko ciała świecą przez rozżarzenie jak ów wspomniany wyżéj, drucik platynowy.

Otóż, w tym ostatnim wypadku daleko większe są straty na świetle, niż kiedy łuk powstaje. Elektryczność w znacznéj ilości zamienia się na ciepło, a tylko w małéj na światło. Oto zestawienie ilości promieni widzialnych i niewidzialnych przy gazie i obu metodach oświetlenia elektrycznego.

	Prom. widzialne		Prom. niewidzialne
Światło gazowe	1	do	24
Światło od drutu rozżarzonego	1	do	23
Światło od łuku woltaicznego	1	do	9

Ze wszystkich więc metod najkorzystniejszą jest ta, która wprowadza w użycie łuk woltaiczny. Jednakże są tu niewygody, których trudno uniknąć: światło jest nadzwyczaj silne i przykre dla oka oraz nie jest ono stałém i miga bez przerwy. Jeśli się natomiast użyje światło przez rozżarzenie, to otrzymuje się źródło światła miłe dla oka i nadzwyczaj stałe, nie przedstawiające zmian raptownych. Lecz za to, bardzo wiele prądu traci się na darmo, w postaci ciepła promienistego.

Zarzuty, jakie zrobić można dotychczasowemu oświetleniu elektrycznemu, dają się według Preeca streścić w następujących czterech punktach.

1⁰ Cienie, które to światło rzuca, są nadto bijące w oczy. Nie ma łagodnego przejścia w półcieniach, a cienie pojawiają się jako czarne plamy.

2⁰ Węgle sztuczne dotychczas używane wydają dość przykry ton, który daje się czuć jak brzęczenie muchy; przytém nigdy nie mogą one być dość jednostajne w swojéj masie, i dla tego spalanie się ich nie następuje jednakowo, co powoduje miganie światła.

3⁰ Trudno jest podzielić ognisko na części, chyba z bardzo wielką stratą. A jeden punkt o kilku tysiącach płomieni gazowych jest nieznośnym.

4⁰ Wiele jest nieregularności pochodzących od maszyny dającéj prąd elektryczny. Szczególniéj mocno wpływa mniéj lub więcéj szybki obrót maszyny.

W każdym razie w ciągu paru lat ostatnich zrobiono tak wielkie postępy, że jeśli tak daléj pójdzie, to za drugich lat parę prąd elektryczny wyciśnie gaz z ulic, gmachów publicznych i mieszkań, jak niegdyś tenże sam gaz wycisnął świéce i lampy.

Promieniejący stan materyi.

W jednéj z tegoczesnych kronik naukowych „Ateneum,“ pomieściliśmy sprawozdanie o zadziwiających i pełnych doniosłości poszukiwaniach Crookesa, nad własnościami gazów w stanie nadzwyczajnego rozrzedzenia. Pierwsze wiadomości, które o tém nadeszły, były tak niespodziewane i tak niekompletne, że trudno było wyrobić sobie o nich dokładne pojęcie.

Od tego czasu Crookes posunął swe prace daleko naprzód i na ostatnim zjeździe angielskich przyrodników w Sheffieldzie pokazywał doświadczenie w obec licznego audytoryum. Rezultaty, które otrzymał, wychodzą daleko po za granice powszedniości, i dla tego uważany za stosowne nieco dłużéj nad niemi się zastanowić.

Zwykliśmy uważać materyą jako przejawiającą się w trzech stanach: stałym, płynnym i gazowym. Już dawniéj, na początku bieżącego wieku przejawiały się poglądy, iż jest jeszcze czwarty stan wyższy od gazowego, który Faraday nazwał promieniejącym stanem materyi (radiant matter) a który wtedy istniał tylko w wyobraźni, ale nie podlegał doświadczalnemu badaniu.

Dopiéro Crookes, odkrywszy radiometr, począł poszukiwać przyczyny dziwnych zjawisk w tym przyrządzie i podał obecnie teoryą nową, posiadającą wiele stron przekonywających.

Wiadomo powszechnie, i kilkakrotnie to już podnosiliśmy, jak według obecnego stanu nauki wyobrażać sobie mamy gazy. Ich drobiny znajdują się zawieszone w przestrzeni w pewnéj a zmiennéj odległości od siebie, jak gwiazdy w przestrzeni niebieskiéj. Każda z tych drobin, tych najmniejszych, niewidzialnych cząsteczek gazu obdarzoną jest ruchem bardzo szybkim i we wszystkich kierunkach się odbywającym. Gdyby taka drobina nie spotykała zapory, toby posuwała się naprzód przez czas nieograniczony. Lecz naokoło niéj znajduje się niezmierna ilość innych drobin mających te same własności, i wskutek tego następują uderzenia, drobiny wracają, znów się spotykają z innemi, i tak ruch ten trwa bez przerwy i następują w nim tylko pewne zmiany, przy zmianie warunków fizycznych.

Otóż jeżeli weźmiemy pewną ilość gazu pod dzwon pompy pneumatycznéj i zaczniemy go rozrzedzać, to w jednéj i téjże saméj przestrzeni coraz mniéj będzie drobin, a każda z nich będzie mogła swobodniéj się poruszać i biedz przez większą przestrzeń, zanim uderzy o swą sąsiadkę i wróci w innym kierunku. Gdy to rozrzedzenie doprowadzoném będzie do dalekich granic, to wtedy gaz zaczyna okazywać nowe własności, które tak się różnią od zwykłego stanu

gazowego, jak ten ostatni od płynnego. Materya znajduje się wtedy w stanie promieniejącym.

Dla sprowadzenia tego stanu trzeba w przybliżeniu doprowadzić rozrzedzenie do jednéj milionowéj części atmosfery. Wtedy zjawiska najwybitniéj się przedstawiają.

Odsyłając interesujących się tą sprawą czytelników do dawniejszego sprawozdania w „Ateneum,“ przypomnimy tylko w kilku ogólnych zarysach pierwotne badania, dodając teraz do nich rezultaty nowych poszukiwań.

Jeżeli rozrzedzimy powietrze do wysokiego stopnia w szklanéj bańce do któréj wchodzą z dwóch stron dwa przeciwne bieguny doprowadzające prąd elektryczny, to zauważymy powszechnie znane zjawisko. Jasność napełni całą prawie bańkę, a około bieguna ujemnego powstanie ciemna przestrzeń.

Otóż znaczenie téj ciemnéj przestrzeni stara się Crookes bliżéj wyjaśnić. Powiada on, iż pod wpływem prądu drobiny powietrza odskakują od powierzchni ujemnego bieguna i lecą prostolinijnie naprzód. Tego ruchu postępowego nie widać wcale, i dopiéro gdy drobiny uderzą o swoje sąsiadki powstaje od uderzenia światło, które właśnie jest najaśniejszém na granicy ciemnéj przybiegunowéj przestrzeni. Energia ruchu w skutek uderzenia zamienia się w światło. Im więcéj rozrzedzimy powietrze, tém drobiny daléj lecieć mogą i tém ciemna przestrzeń staje się większą. Mierzy więc ona drogę, jaką drobiny odbite od ujemnego bieguna przebiegają zanim przez inne powstrzymane zostaną.

Jeśli rozrzedzenie daleko będziemy prowadzili, to ciemna przestrzeń zapełni nareszcie całą bańkę. Wtedy treść bańki znajduje się w zupełnie odmiennym stanie od zwykłego gazowego. Drobiny mogą lecieć bez żadnéj prawie przeszkody wzdłuż całego naczynia, i własności w ten sposób zapełnionéj przestrzeni nie były dotąd znane.

Przypatrzmy się nieco bliżéj tym własnościom. Pierwszą rzucającą się w oczy własnością jest, że *materya w stanie promieniejącym wywołuje silne światło w ciałach przez nią uderzanych.* Gdy drobiny uderzają o swe sąsiadki, tworzy się wtedy jasność wewnątrz bańki. Gdy ciemna przestrzeń dosięgnie ścian szklanego naczynia, to drobiny bombardują o szkło i zaczyna ono świecić fosforycznie. Rozmaite szkła rozmaite wysyłają wtedy barwy. Dyament wystawiony na uderzenie materyi promieniejącéj świeci tak jasno jak świéca a rubiny jak węgle rozżarzone. Zjawisko to jest łatwém do wywołania i każdy, kto posiada dobrą Szprenglowską pompę, może je powtórzyć. Crookes

przekonał się, że do wywołania opisywanych tu zjawisk, najlepsze rozrzedzenie powietrza jest do jednéj milionowéj części atmosfery (0.00076 milimetrów).

Drugą ważną własnością materyi promieniejącéj jest *poruszanie się jej w kierunku linij prostych.* Od powierzchni bieguna ujemnego drobiny odbijają się prostopadle, i jeżeli ten biegun zrobimy w kształcie płaskiéj tarczy, to lecą one wszystkie równolegle. Od powierzchni kulisto wklęsłéj, jak promienie światła od zwierciadła wklęsłego, drobiny odbite skupiają się w jednym punkcie, w ognisku.

Na dowiedzenie tego Crookes pokazywał na posiedzeniu British Association liczne doświadczenia, oparte przeważnie na tém, że drogę drobin można zrobić widoczną, ustawiając w ich przebiegu kawałek szkła, które świeci fosforycznie w miejscach przez które drobiny przebiegają.

Doświadczenie wykazało, iż na kierunek biegu położenie bieguna dodatniego nie ma wcale wpływu. Możemy go wprowadzić w dowolném miejscu do bańki a zawsze od bieguna ujemnego drobiny prostopadle odbijać się będą.

Innym, a bardzo ważnym dowodem biegu materyi promieniejącéj po linii prostéj są tak zwane *cienie drobinowe.* Jeśli na drodze materyi postawimy jakieśkolwiek ciało, choćby najbardziéj cienkie i najbardziéj przejrzyste, to drobiny w swym szybkim po linii prostéj pochodzie zostaną wstrzymane przez owo ciało i po za niém utworzy się cień. Widocznėm to jest, jeśli po za tém ciałem znajduje się tarcza ze szkła fosforyzującego pod wpływem uderzenia materyi promieniejącéj. Wtedy cień w najdokładniejszych zarysach jest widzialnym na świecącym tle szkła.

Trzecią własnością materyi promieniejącéj jest *wywieranie silnego mechanicznego działania na ciała przez nią uderzane.* Mały młynek umieszczony na drodze przebiegu drobin obraca się z wielką szybkością, skoro go ustawimy w prądzie drobin tak, jak ustawiamy koło młyńskie w strumieniu wody.

To mechaniczne działanie drobin może być wywołane nietylko prądem elektrycznym. Ciepłe ciało zbliżone do młynka w odpowiedni sposób wywołuje obrót, i na téj zasadzie tłómaczy Crookes działanie radiometru.

Czwartą własnością, znalezioną przez Crookesa, jest zbaczanie *materyi promieniejącéj z jéj drogi po linii prostéj pod wpływem magnesu.* Zjawisko to zauważone od początku przez odkrywcę radiometru, widocznėm jest za pomocą tabliczki szkła fosforyzującego, ustawionéj wzdłuż przebiegu drobin. Widać wtedy na niéj doskonale

ślad prostolinijny, który się potém wykrzywia pod wpływem magnesu.

Piątą własnością jest, *wywiązywanie się ciepła w razie powstrzymania biegu materyi promieniejącéj.* Już szkło fosforyzujące pod wpływem uderzenia drobin staje się ciepłem, i czuć to można pod ręką. Daleko wybitniéj zjawisko to występuje, gdy drobiny zostały skupione w jeden punkt za pomocą wklęsło-kulistéj powierzchni ujemnego bieguna. Wtedy w ognisku wywiązuje się bardzo znaczna ilość ciepła i Crookes na wspomnianém wyżéj posiedzeniu topił w niém spiż z platyny i irydyum, należący do najtrudniéj topliwych. W mgnieniu oka spiż się rozgrzewał do czerwoności, białości, wysyłał jarzące światło na wszystkie strony tak, że bańka mogła służyć jako nowy rodzaj lampy, i nareszcie topił się, spadając na dół.

Na zakończenie przytoczymy uwagi, które Crookes po okazaniu doświadczeń przytoczonych porobił.

Własności fizyczne w nowym stanie materyi pozostają te same dla wszystkich ciał, które były poddawane doświadczeniu pod rozmaitemi ciśnieniami. Najwyższe rozrzedzenie powietrza, które otrzymano, odpowiada jednéj dwudziestomilionowéj części atmosfery, to znaczy, że gdy kolumna rtęci w barometrze przy zwykłém ciśnieniu miałaby 3 mile angielskie długości, to przy takiém rozrzedzeniu spadłaby do jednéj tylko setnéj części cala.

„Można byłoby zarzucić w tego rodzaju zjawiskach, że nie należy przywiązywać szczególniejszéj wagi do obecności materyi, skoro tyle sobie trudu zadawałem, żeby usunąć z bańki tyle materyi ile tylko było można, i że doprowadzałem zwykle do jednéj milionowéj części atmosfery. Przy zwykłém ciśnieniu atmosfera nasza nie jest gęstą i do nowych czasów należy uznanie jéj jako składnika materyalnego w świecie. Zdawałoby się, że skoro ją rozrzedzimy do milionowéj części, to zostanie tak mało téj materyi, iż możemy nie zwracać uwagi na pozostałą resztkę i zastosować nazwę *próżni* do przestrzeni tak przygotowanéj. A jednak byłoby to błędem wielkim, chociaż niewidocznym z powodu niezdolności naszego umysłu do obejmowania bardzo wielkich liczb. Zdaje się nam zwykle, iż gdy jakąś liczbę podzielimy przez milion, to iloraz musi być bardzo mały, gdy tymczasem może się tak zdarzyć, iż liczba pierwotna jest tak wielką, że podział przez milion nie ma wielkiego wpływu. Według obecnie uznanych poglądów bańka szklana, wielkości 13,5 centymetrów w średnicy, zawiéra więcéj niż 1.000.000.000.000.000.000.000.000 drobin. Liczba ta olbrzymia nazywa się kwadrylionem. Jeżeli rozrzedzimy treść bańki do jednéj milionowéj części atmosfery, to zawsze jeszcze pozostanie cały jeden

trylion drobin, a tego lekceważyć nie można i wnętrze bańki trzeba przyjąć jako zapełnione materyą.

Żeby dać jakie takie pojęcie o tych wielkich liczbach biorę tak wypróżnioną bańkę i przedziurawiam ją za pomocą iskry elektrycznéj. Iskra wybiła mikroskopijnie mały otwór, jednakże dosyć duży, aby drobiny mogły wchodzić przez ściankę do wnętrza bańki i zapełniać ją. Wpadanie powietrza porusza skrzydłami młynka i obraca nim jak wiatrakiem. Przypuśćmy, iż drobiny są téj wielkości, że w sekundzie czasu sto milionów może przechodzić. Jak długo sądzicie będzie to trwało, zanim bańka się napełni? Godzinę? Dzień? Rok? Stulecie?

Nie, prawie całą wieczność! Czas tak olbrzymi, że wyobraźnia nasza objąć go nie może. Gdybyśmy przypuścili, że ta bańka wypróżniona jest niezniszczalną i że przedziurawioną została przy utworzeniu się układu słonecznego, że była obecną kiedy ziemia nie miała jeszcze kształtu, że była świadkiem późniéj wszystkich zmian geologicznych, widziała pierwsze żyjące stworzenia i zniknięcie ostatniego człowieka, że przeżyła matematyczną przepowiednię, że słońce, źródło energii, w cztery miliony wieków po swém utworzeniu zagaśnie, przypuściwszy to wszystko, ta mała bańka, w warunkach przez nią przyjętych, nie zdołałaby się jeszcze zapełnić.

Lecz co sądzić będziecie, jeśli wam powiem, że wszystkie te drobiny, ten kwadrylion drobin przejdzie przez mikroskopijną dziurkę, zanim opuścicie tę salę? Wytłómaczymy sobie to tylko wtedy, jeśli przypuścimy, iż drobiny niezmiernie są mniejsze i że zamiast 100 milionów, przeciska się ich 300 trylionów na sekundę.

Studyując ten czwarty stan materyi, zdaje się, iż objąć możemy naszą kontrolą małe, niepodzielne drobiny, które tworzą podstawę fizyczną światła. Widzimy, że w niektórych swych własnościach materya promieniejąca jest tak materyalną jak ten stół, gdy tymczasem w innych posiada charakter promieniejącéj energii. Dotknęliśmy się tutaj owéj granicy, gdzie siła i materya zdają się zlewać z sobą, cienistéj granicy między Znaném i Nieznaném, która dla mnie zawsze szczególniéj była pociągającą.

JUBILEUSZ KRASZEWSKIEGO.

Znaczący i uroczysty obchód przerwał na tydzień poważny, trochę martwy spokój grodu podwawelskiego, zwracając nań uwagę całéj prasy europejskiéj. Płynęły fale ludu, znaleźli się przybysze ze wszystkich końców świata, w jednéj zespoleni myśli, na kłębiących się bałwanach było jak zwykle dużo piany, były téż i świetne błyski wzniosłego entuzyazmu; w ogólnym rezultacie pozostało nie dające się zatrzéć wspomnienie o wrażeniu estetycznie pięknéni, pełném majestatu. Najrozmaitsze żywioły składały się na ten rezultat, w samym układzie obchodu leżało pomieszanie miejscowego z galicyjskim krajowym, krajowego z ogólno-narodowym, Kraszewskiego z Sukiennicami. Co wspólnego pomiędzy Sukiennicami a jubileuszem?—chyba to tylko, że nie było w Krakowie innego odpowiedniego gmachu dla obchodu jubileuszowego, więc pośpieszono z ukończeniem budowy, aby dać obchodowi odpowiednie scenarium. Była chwila gdy, jak powiadają, z powodu opóźnienia o 3 dni jubileuszu, ze względu na przypadające wybory w Poznańskiém, z 30 Września na 3 Października, sprzęgane akty omal się nie rozprzęgły: na otwarcie Sukiennic stawiłyby się w wielkiéj okazałości i pompie żywioły miejscowe, poczém odbyłby się pewną przerwą czasu oddzielony jubileusz, od którego mogliby się uchylić rozmaici niechętni, potrosze ultramontanie, potrosze mieniący się arystokratami, nie zbyt pochlebnie w powieściach Kraszewskiego portretowani, potroszę niektóre osoby z tak zwanego koła stańczykowskiego, mające z jubilatem zadawnione a niepokończone osobiste rachunki. Stało się inaczéj, komitet jubileuszowy, przeważnie z rajców miejskich złożony, utrzymał zjednoczenie obu obchodów, przybył dla

odbycia pierwszego z nich biskup krakowski; wszakże związane jednoczesnością pierwiastki obchodu, kościelny i świecki narodowy, nie stopiły się w jedno i uwydatniły swoję odrębność, jak gdyby zlane do jednego naczynia oliwa i woda. Do tych dwóch pierwiastków przyłączył się w ostatniéj chwili trzeci, oficyalno-rządowy, przez nadanie literatowi polskiemu, cudzoziemcowi, komandorskich znaków orderu Franciszka Józefa, w skutek czego koniecznėm stało się uczestnictwo władz urzędowych galicyjskich w świeckiéj części uroczystości, to jest w obchodzie jubileuszowym, którego główną sceną wedle ułożonego programatu miały być Sukiennice. Scena nadawała się do uroczystości i pasowała z wielu względów do głównéj działającéj osoby—jubilata.

Sukiennice, to najprostsza i przed niewielu jeszcze laty wielce zaniedbana halla kramarska, którą rozmiłowany w sztuce renesans udekorował przepysznie, ale tylko zwierzchu i na zewnątrz, nie tykając brudnego wnętrza, zaś czas obecny oczyścił, uporządkował, rozszerzył, z wielkiém poszanowaniem stylu historycznego, ostrołuk dołu godząc z renesansowemi fantazyami szczytów; wreście po zadośćuczynieniu wszystkim warunkom hygienicznym, dół oddał napowrót dawnym posiadaczom kupczącym, a piętro na przybytek sztuki przeznaczył. Kramarska halla pozostała hallą jako za onych czasów, gdy w ostatnich latach XIV wieku, mistrz Marcin Lindintolde sklepy sukienne zamknął w czworoboku murów, przerzniętych czterma bramami na krzyż i przykrytych ostroszczytowym dachem, ozdobionym licznemi okienkami; albo gdy po pożarze w r. 1555, który zniszczył wiązania szczytu, pod umiejętną ręką Włocha Jana Maryi Padewczyka z przydomkiem il Mosco z halli zrobiono rodzaj sklepionego tunelu o spłaszczoném sklepieniu, a nad nim postawiono dekoracyjną attykę z wnękami i pilastrowaniem, uwieńczoną wazonami i maskaronami, usadowionemi na przemian. W pobliżu halli działy się wielkie rzeczy, składanie hołdów królowi przez lenne mocarstwa, pasowanie na rycerzy po koronacyi, wymiar sprawiedliwości, egzekucye u pręgierza; ale wypadki te działy się około halli, nie płynęły zaś przez nią, a była ona najpospolitszém, krzyżowém przejściem krytém, dalszym ciągiem dwóch głównych ulic przecinających się w rynku, który był zacieśniony mnogiemi sklepikami, jatkami, drobnemi zabudowaniami. Dziś przeznaczenie gmachu zostało toż samo, ale najprzód właściwość jego podniesiono przez zmianę otoczenia, przez uprzątnienie na rynku wszystkiego co go szpeciło, zburzono nawet odwach, a śród wielkiego placu naprzeciw wieży Maryackiéj stoją dziś tylko, oprócz Sukiennic, kościół św. Wojciecha i wieża niegdyś ratuszowa. Zrobiło się przestronno, przybyło per-

spektywy i powietrza. Powtóre, wychowaną w kościołach i pałacach piękną sztukę sprowadzono do kramarskiego gmachu, nietylko, jak to było za czasów odrodzenia, w rodzaju koronki rzuconéj dekoracyjnie na przykrycie śmiecia i rupieci; ale aby przenikła do samego wnętrza i dokonała skojarzenia pięknego z pożytecznėm przez zastosowanie do najpospolitszych użytków form estetycznych, wyrobionych wiekami i przekazanych przez tradycyą. Z dawnych Sukiennic zachowano wszystko cokolwiek można było zachować; na oczyszczonych ze szpetnych narośli miejscach z podłużnych boków budynku wzniesiono ostrołukowe arkady gotyckie, którychby się nie powstydził mistrz Lindintolde, na nich oparto oporęczowane koronką z głazu galerye i tarasy, po nad same arkady wysunęły się środkowe fronty w stylu odrodzenia, na jednym zasiadły dwie zagadkowe Dyany, przy drugim stanęły dwa dorobione ptaki pomysłu Matejki: dziarski kogut na śmiejącéj się i napuszony indyk na płaczącéj masce; uzupełniono potworne maskarony, śmiech przepleciono z powagą, wspaniałość z groteskiem. W robotach z głazu, w głowicach kolumn, rzeźbionych w rośliny, w girlandy, w nagie dzieci, w główki męzkie i żeńskie, kamieniarz słuchał najgenialniejszego i najbardziéj przesiąkniętego duchem średnich wieków malarza, budowniczy był potrosze snycerzem i otrzymywał dzielną pomoc od kowala i ślusarza, w kratach, wąsach ankrów na ścianach i wiszących latarniach. Muzeum sztuki osiadło na bazarze, a wyglądają jak jedno ciało, jak gdyby kwiat sztuki był najnaturalniejszém uzupełnieniem łodygi przemysłu a oboje stanowiły jednę roślinę. Kamienny wytwór kilku zupełnie różnych wieków, wykończony przez Prylińskiego, wygląda niby dzieło w jednéj poczęte myśli, zrodzone zdrowo, i trwać będzie, da Bóg, wieki, a przeto dożyje czasów, gdy przyćmiona oddaleniem pamięć o odbytéj w tym gmachu uroczystości, która uczestnikom tak żywe zostawiła wrażenie, istnieć będzie tylko w moralnych swych skutkach. Zbywa budowie na wybitnéj oryginalności, któréj brak w ogóle naszemu wiekowi, góruje nie ogień natchnienia, lecz trzeźwa umiejętność, praktyczność, pożytek i czuć w niéj dojście do przeważnego wpływu tych klas średnich, które urabiają grunt pod demokracyą, posługując się środkami całéj tradycyjnéj cywilizacyi, cywilizacyą zaś tę objęły one w spadku po wiekach średnich, które nam dały zamki rycerskie, królewskie pałace i tumy gotyckie.

Otóż zdaje mi się, że tu jest najbliższy punkt zetknięcia jubilata z Sukiennicami. O nim rzec można bezwarunkowo, że jest on z dzieł własnych rodem, a dzieł wielkich dokonał najsłabszém i najkruchszém narzędziem, bo gęsiém piórkiem, które mu stało za lemiesz i szablę. Ten człowiek książkowy i gabinetowy działał zawsze na

swoję rękę jako jednostka, nie oddając się żadnemu stronnictwu, ale trzymając się w zgodzie z ogółem publiczności, odgadując jéj potrzeby, prowadząc ją w duchu umiarkowanego postępu. W ścisłém znaczeniu słowa żaden z jego utworu nie może być nazwany genialnym; chociaż w każdym zawodzie sił swych próbował, głównie pracował jednak w rodzaju najgminniejszym literatury pięknéj i hierarchicznie wedle estetyki najpośledniejszym, bo był po prostu bajarzem. W tym obranym rodzaju nie dużo wykuł posągowych postaci, ale przedewszystkiém niezmordowanie fotografował, całych kilka zeszłych pokoleń dałyby się wyrestaurować historycznie z tych nie secin, ale tysięcy z wielką spostrzegawczością zdjętych szkiców i fotografij. Kraszewski mało analizował, oderwanych teoryj nie podawał żadnych, nawet nie zawsze trzymał się jednakich zasad, odstępował od powziętych opinij skoro się przekonał inaczéj, ale w każdéj danéj chwili wyznawał to, w co wierzył gorąco a szczerze. Będąc głównie człowiekiem instynktu i serca, Kraszewski spostrzegając i notując, nietylko badał, ale i sądził, nietylko sądził, ale i uczył. Sądy jego były sądami człowieka téj, o któréj mówiłem, klasy średniéj, w żaden stan nieujętéj, nie znającéj kast żadnych, nie cierpiącéj osobistéj niewoli i rekrutującéj się tak z tego, co z gminu po nad ten gmin wyrasta moralną siłą i rozumem, jako i z tego, co do niéj od uprzywilejowanych stanów napływa to jest z ludzi żyć chcących nie zaś nosić nazwę: *morituri*. Kraszewski walczył heroicznie ze zwierzęcemi popędami mas; opierając się zbydlęceniu, niósł podniesione światełko ideału. Nikt nie ukochał bardziéj od Kraszewskiego moriturów, ale nikt téż nie okazał dowodniéj, że schodzą niepożyteczni, bezdzietni i nieopłakani. Światełko ideału co moment ćmi się i, zda się, zgaśnie w nierównéj a tragicznéj walce człowieka serca, poety ze światem; ale rozpacz trwa niedługo, tendencye postępowe odzyskują sprężystość. Malując teraźniejszość w bardzo ciemnych kolorach, umiał Kraszewski wpajać najprostszym i najliczniejszym czytelnikom miłość i wiarę w niechybny postęp ku lepszemu. Kraszewski jako pisarz jest niby olbrzymia rzeka, wzbogacona tysiącem dopływów, szerokiém i nieraz zmienioném korytem, lecz niezbyt głębokim nurtem zwolna płynąca śród nie wysokich, nie skalistych brzegów. W téj rozmaitości, w tym ogromie każdy przejrzy jak w zwierciadle, wynajdzie i odpyta obchodzące go żywo rzeczy i kwestye. Nikt z żyjących polskich autorów nie może się poszczycić równą Kraszewskiemu popularnością, to téż na rzuconą myśl złożenia hołdów publicznych jubilatowi, odezwały się ochoczo wszystkie części świata, cała, rzec można, kula ziemska przyłożyła się do splecenia mu wieńca. Przy téj sposobności, na téj uczcie umysłowéj, można było skupić się w myśli,

przejrzéć się w sobie. Tak było pojmowane znaczenie jubileuszu. Na niby się nie zdało powtarzać wszystkie szczegóły, podane już przez gazety, więc zaznaczymy tylko niektóre główne i najcharakterystyczniejsze uroczystości téj momenta.

Podług zebranych przez urząd miejski i komitet jubileuszowy wiadomości, przybyszów meldowanych liczono 11.200. Rozlokowanie się gości odbyło się jednak bez szczególniejszego kłopotu, dzięki niezmiernie ochoczéj gościnności krakowian. Powiadano, że były numera w hotelach większych i droższych niezajęte; były hotele, które dla delegatów z obcych stron nie chciały cen podnosić po nad normę zwyczajną, a przytém wszystkie domy prywatne stały otworem dla nieznanych nawet gości. Deputacyą szewcką z Warszawy przyjmowali majstrowie kunsztu szewckiego, zecerów warszawskich podejmowali zecerowie krakowscy, adwokat stawał u adwokata, obywatel ziemski u obywatela. W urzędowéj roli gospodarzy występowali, z natury rzeczy, rada miejska i prezydent Dr. Zyblikiewicz. Deputacya, z prezesa izby handlowéj krakowskiéj Baranowskiego i wiceprezydenta miasta D-ra Weigla złożona, towarzyszyła jubilatowi z samego Drezna. Na granicy do wagonu jubilata wsiadł bibliograf Karol Estreicher; on to dał pomysł do szafy Kraszewskiego w bibliotece jagiellońskiéj i do wstęgi papiérowéj z tytułami dzieł jubilata, wijącéj się wężem na improwizowanych odrzwiach alkierza, w jaki dało się na chwilę przerobić jedno ze środkowych wejść bocznych do Sukiennic. A stoi na téj wstędze wypisane, że w ciągu półwieku jubilat wydrukował 250 dzieł w 440 tomach, krom tego nieobrachowaną ilość korespondencyj dziennikarskich; co zaś do listów prywatnych, tych liczba, przez przybliżenie podana, wynosi 170.000 numerów (po 3.400 na rok, więc przeciętnie prawie po 10 co dnia), a wszystko pisane własną ręką, pracującą z szybkością trudną do ujęcia nawet za pomocą wyobraźni.

Mało kto wiedział dokładnie kiedy przybędzie pociąg, a jednak tłumy cisnęły się na dworzec kolei; młodzież akademicka z kokardami i straż ogniowa ochotnicza tworzyły szpaler, śród którego przeszedł jubilat, otoczony radą miejską i członkami komitetu, i wsiadł do skromnego powozu wraz z prezydentem krakowskim. Otoczyły powóz, niby gwardya przyboczna, miejskie cechy z chorągwiami; dzięki téj mocnéj straży nie dopięły skutku poczęte usiłowania wyprzęgania koni z powozu. Dobre pół godziny minęło zanim śród gromkich okrzyków wiwatowych ten fiakr, zmieniony w rydwan tryumfalny i ocieniony chorągwiami cechów, przecisnął się po ulicy Floryańskiéj do hotelu Drezdeńskiego, gdzie się demokratycznie i dla wszy-

stkich na czas obchodu dostępnie, z narażeniem się na szwank ze zmęczenia jubilat rozlokował.

Tak się odbył krótki i czysto miejski, krakowski prolog przyszłego festu w dniu 2 Października między 3 a 4 po południu; właściwa uroczystość rozpoczęła się nazajutrz 3 Października. Z całego obchodu dzień ten był najbardziéj wydatny i znaczący.

Gdyby kto chciał praktycznie przeprowadzać znaną zasadę separacyi rzeczy kościelnych od świeckich, nie mógłby się zdobyć na dobitniejszy téj separacyi wzorek nad ten, jaki widziano w dniu 3 Października. Najprzód odbyła się msza bez kazania w kościele Panny Maryi, potém procesya do Sukiennic, święcenie gałki szczytowéj, w któréj zamknięto piéniądze pamiątkowe i numera spółczesnych gazet i czasopism polskich, wreście przemówienie biskupa, w którém ani słówka o wypadku ściągającym do Krakowa przybyszów z najdalszych kończyn świata. Gości uczczono wprawdzie tém, że samego jubilata, deputacye od miast, towarzystw, zakładów i ziem pomieszczono w stalach w prezbiterium, podczas tego nabożeństwa, wyłącznie poświęconego inauguracyi odnowionego budynku publicznego. Po téj ceremonii, celebrujący pasterz usunął się i już nie zasiadł nawet do uczty dnia następnego. Żywioł kościelny odtąd znika, w przerwie użytéj na podpisanie aktu otwarcia Sukiennic przez radę miejską i na obrząd oddania nowemu komandorowi znaków orderowych, które jakoś wyglądały na osobie nowokreowanego kawalera jak gdyby nie on stworzony dla nich, one nie dla niego, wreście na zrobienie wolnego miejsca na estradzie naprzeciwko głównego wejścia od ulicy Siennéj.

Na tém wzniesieniu miał jubilat na wysokiém krześle poręczowém zasiąść po nad tłumami ludzi, przesłuchać kantatę układu Asnyka i odbyć przegląd delegacyj, ciągnących by złożyć temu mocarzowi myśli i drukowanego słowa złoto darów, kadzidło hołdów i mirrę życzeń szczerych a gorących. Kantata była piękna i ze wszech miar godna poety, który ją napisał, i kompozytora (Żeleńskiego), który do niéj muzykę ułożył, a wyrażała dokładnie nastrój i rytm chwili. Przywódzcą chóru daronośców był burmistrz krakowski, w świetnym jaskrawym stroju polskim o barwach miasta (biała z niebieską) ubrany, który zagajając pochód hołdowników wyrzekł te prawdziwe słowa: „Kraszewski więcéj książek napisał, niżeli inni czytali.“ Wieńce laurowe wiązane, ciosane i kute z twardego metalu padały u stóp solenizanta, słowa uznania były ważone, krótkie, lapidarne; a jednak gdyby przesłuchać wszystkie, 120 delegacyj, nie

stałoby sił ludzkich i czasu; musiano przerwać po trzydziestu kilku przemówieniach, do których się liczyły głosy i z Ameryki i z Australii, i jeszcze bardziéj poruszające, a okrzykami: *sława*! witane odezwania się potomków mitycznego Czecha. Z ust panów Czelakowskiego i Morawianina Fanderlika mowa apostołów chrześciaństwa w Polsce płynęła piękna, dźwięczna i tak zrozumiała, że każdemu się wyjaśniało, iż to najbliżsi krewni kollateralni, niby rodzeni bracia, i że mimo historyczne różnice krew dotąd tworzy potężne łącznie i między ludźmi i między ludami, szczególniéj gdy do téj łączni przybędzie sympatya i szacunek.

Cisza nastała wielka, gdy rozganiając dymy wonnych kadzideł, stojące słupem w powietrzu, powstał jubilat i przemówił, czyniąc akt najtrudniejszy szczeréj pokory, publiczną spowiedź, jak za pierwszych czasów chrześciaństwa z całego życia, rachunek niby onego sługi biblijnego który z powierzonych mu talentów sprawę zdaje, rachunek będący zarazem czémś w rodzaju testamentu. Mały, suchy, przygarbiony pod ciężarem lat i pracy, z życiem, które całe, zda się, skupiło w głowie, z głową, któréj cały wyraz był w oku i w pomarszczoném od ciągłego natężenia uwagi i pracy myśli czole, jubilat nie spuszczając się na pamięć i nie udając mówcy, którym nigdy nie był, czytał rzecz swoję z drukowanéj karty, to jest właściwie obcował w ten sposób w jaki przez pół wieku porozumiewał się z setkami tysięcy czytelników. Tegoż dnia jeszcze mowa ta rozeszła się na wszystkie świata końce, i można ją było dostać na rynku nawet w niemieckim przekładzie. W przemówieniu tém Kraszewski odmalował się i określił i osądził. Przed nami stał staréj daty idealista, niby Trojanin unoszący ze zburzonego grodu swoje śpiżowe bogi, swoje penaty, domowe prastare ideały i wołający: wolę te stare ideały niż zwierzęcą walkę o byt, wolę wierzyć w prawo słabości niż w prawo pięści, wolę sumienie niż egoizm, a przedewszystkiém wierzę w sprawiedliwość Bożą. W téj wędrówce ku lepszemu nasz Eneasz nie dość może uwzględniał, że piastowane w ręku bogi nie są skrzepłe i nieruchome, że ideały ulegają prawom wzrostu, kolejom rozwoju, że niesie on właściwie nie martwe palladium, ale gorejący ogień znicza, który wciąż trzeba żywić pracą, robotą mózgu, biciem serca i wysiłkami poświęceń. Ale to dobrze on rozumiał, że trzeba wciąż iść w górę, nigdy zstępować, a zarazem że podnosić się można nie inaczéj jedno po *drewnianych szczeblach rzeczywistości*. „Co mię pchnęło na tę drogę, powiada Kraszewski, co mię utrzymało—nie wiem, chyba miłość ojczyzny, to pewna, że nie żądza sławy ani nagrody.“ Po téj drodze idąc przekonał się, że dobrobyt, oświata, pragnienie

postępu nie odejmują ludowi ani religii, ani prastarych tradycyj. „Starałem się wpajać,“ powiada Kraszewski, „że możemy i powinniśmy utrzymać w sobie życie pracą nieustanną, spokojną, nie siejąc nienawiści, nie rzucając kamieniem ani na żywych, ani na groby. Wybrałem sobie za narzędzie proletaryusza literatury—powieść, która mnogich czytelników tworzy i jest propedeutyką do myślenia i umysłowego zajęcia. Piekłem przez pół wieku ten chléb razowy dni powszednich. Były w nim ości i otręby, ale nie było zakalca.“ Chwałę dnia dzisiejszego nie sobie przypisuje patryarcha, ale wielkiéj idei, któréj służył—idei pracy ducha więc zebrane wieńce składa na wielkich grobowcach poprzedników, którzy torując drogi przedzierali się przez ciernie i, mniéj szczęśliwi, zawcześnie pomarli. Gdyby nie osłabiająca wrażenie słowa okoliczność odczytania, głos Kraszewskiego do publiczności w Sukiennicach, uważalibyśmy za kulminacyjny punkt obchodu, jako najlepsze jego pojęcie i streszczenie w całéj jego doniosłości.

Obrząd składania darów tak był świetny, tak dotrzymany w charakterze, iż przy nim mniejszéj już były wagi wszystkie inne dnia tego wypadki, nawet przedstawienie w teatrze Miodu Kasztelańskiego przez takich artystów, jak P. Modrzejowska, Królikowski, Ładnowski, Rychter, przedstawienie, którém się rozkoszować mogło zaledwie ośmset szczególniéj przez los faworyzowanych szczęśliwców, bo tyle tylko mieścić może widzów sala teatralna.

Dzień następny 4 Października zeszedł już nie tak harmonijnie i składnie. Dla rozrywki przyjezdnych, którzyby nie wiedzieli czém się zrana zająć, użyto wycieczki w półtora tysiąca osób do kopalni Wielickiéj. Jubilatowi przedstawiały się w kościele Ś. Anny szkoły średnie i niższe, potém w bibliotece jagiellońskiéj odbyło się oddanie mu dyplomu na doktora filozofii, przez rektora uniwersytetu krakowskiego, zasiadającego w gronie profesorów odzianych w togi i birety, a jak się wyraził rektor Dunajewski, pasowanie na rycerza ducha męża, który urósł nie z roli i nie z soli, ale z tego co go boli. O godzinie 6-éj wieczorem począł się obiad składkowy w Sukiennicach na cześć jubilata, obiad, który się przeciągnął do 10-éj. Komitet jubileuszowy, jak wiadomo, nikogo nie zapraszał, przyjmował tylko zgłaszających się i ich zapisy ze składkami; wkrótce zapisów tych namnożyło się tyle, że dla braku miejsc krakowianie ustąpili bilety swe przybyszom. Zasiadło do uczty przeszło 800 osób, u środkowego stołu, pomiędzy wejściami od frontów bocznych pomieszczono wydatniejszych gości i tych co się do głosu u prezydenta zapisali. Od tego głównego stołu na obie strony na skrzydłach ciągnęły się

przez całą długość gmachu trzy rzędy takichże stołów. Oświecenie gazowe było rzęsiste, posługa zwinna i liczna, jadła, napojów w wielkiéj obfitości; nie pomyślano tylko o warunkach umożebniających korzystanie z duchowego obroku. W halli stosunkowo wązkiéj a na 160 kroków długiéj, każdy dźwięk się odbija, z odbitych dźwięków tworzy się głuchy gwar, tak że dwie muzyki po obu końcach jednocześnie grające nie przeszkadzają sobie wzajem, bo ledwie siebie słyszą. Należało przedsięwziąć stosowne środki, ażeby głos mówcy mógł dosięgać chociażby do połowy słuchaczy, wypadało urządzić mównicę, prezydującemu dać pod rękę rzeczywisty dzwon, chociażby z wieży kościelnéj zdjęty, uprzedzić publiczność, aby się nie ruszała i nie odzywała po podniesieniu chorągwi wywieszanéj podczas mowy. Nic podobnego nie obmyślono, więc stał się fakt przeciwny opisanemu w przedmowie Słowackiego do Balladyny, przypisanéj autorowi Irydiona. Tam ślepy Homer rzuca w bałwany morskie arfę, sądząc że śpiewał niesfornemu tłumowi; tu przygłuszone mowy tłumu naśladowały do niepoznania szum fal śród burzy, na przekrzyczenie których nie starczyły żadne ludzkie płuca. Więc zaledwie kto z bliższych słyszał urzędowy w pięknéj i ozdobnéj formie toast, wygłoszony przez marszałka sejmowego Wodzickiego, na cześć austryackiego monarchy; następujący mówca prezes Akademii Umiejętności Meyer, z pewnością sam nawet nie słyszał wyrazów, które wymawiał, zaczęło się stopniowe wspinanie się mówców z za stołu na krzesła, z krzeseł na sam stół obiadowy, jednakże bezskutecznie. Wygłaszano mowy nie dla uszu słuchacza, rzucano je poprostu w gwar, jak we wrzący kocioł, aby je wyłowiła ztamtąd prasa i podała z notatek mówców na sąd publiczności. Więc głosy sędziwego Aug. Cieszkowskiego i Wrotnowskiego, Zyblikiewicza i jubilata i toast na cześć jubilata imieniem nieobecnego, ale listownie tłómaczącego się Turgieniewa wzniesiony, i replika na ten toast przez rektora uniwersytetu lwowskiego Liskego i wiele innych, chociaż mówione, ale mało słyszane albo i wcale niesłyszane, w téj formie w jakiéj przeszły do gazet, należą raczéj do literatury pisanéj nie zaś do działu wymowy. Reporterowie przestali notować, mowy odbiegły nawet od przedmiotu w najrozmaitszych kierunkach, każdy się zaczął skarżyć na to co mu najbardziéj dolega: ksiądz Polkowski, Danilewski, delegaci z Poznańskiego występowali energicznie przeciwko Niemcom,—zaczęły coraz bardziéj uwydatniać się partykularyzmy. Nad rozstrzelającemi się głosami podołał wreście wziąć górę i potrosze zapanować rektor Dunajewski, na końcowy toast: *kochajmy się*, motywowany bardzo dowcipnie „na cześć

téj miłości, która przedewszystkiém o miłości własnéj zapomina i w nadziei, że wezbrane fale szlachetnych uczuć, które gród krakowski dziś prawie zatopiły, zatopią i drobne nasze, a przecież szkodliwe swary i niezgody.“ Toast ów nie był daremném życzeniem: w hałaśliwéj wrzawie biesiady nie zamarł przecież główny ton harmonijny. Rozchodzono się w najlepszém usposobieniu, a nawet może w przekonaniu, że trudno, aby inaczéj być mogło, aby to co było na sercu nie wylało się w gorącéj chwili na usta, tak samo jak było pomyślane i odczute. Już się zaczynała uwydatniać i druga cecha narodowego charakteru, bliski związek uczucia z czynem, pochop do ofiarności ludzi serdecznych, gdy się trochę rozruszają. Pod wrażeniem chwili P. Męciński dużo zebrał na rzecz teatru polskiego w Poznaniu. Tę ofiarność do najwyższéj potęgi i wyrazu podniósł i doprowadził, dzięki Henrykowi Siemiradzkiemu, dzień następny niedzielny a właściwie końcowy względem jubileuszu, dzień 5 Października, na który przypadły dwa wypadki: obiad literatów i artystów w restauracyi Herteux i bal przez miasto dany na cześć przyjezdnych gości.

O balu nic prawie nie powiem; był wspaniały, paradny, doskonale uorganizowany, co wszystko umiejętnemu wzięciu się do rzeczy głównego dyspozytora P. Feliksa Szlachtowskiego przypisać należy. Tunel, zalany światłem, okazał się najdoskonalszą salą balową, dość rzec, iż jednocześnie mogło par siedmset kilkadziesiąt stanąć do ostatniego tańca. Pełno brylantów, ubiory męzkie staropolskie w wielkiéj ilości i bardzo świetne, na górném piętrze obszerne bufety, w których obficie było jadła, a wina lało się co nie miara. Takiéj uczty nie oglądał Kraków pono od czasów króla Kazimierza i Wierzynka; ale była to tylko zabawa na rozjezdném, odznaczająca się nieobecnością jubilata, który z bohatéra obchodu omal że się nie stawał jego ofiarą, i wyczerpany na siłach musiał się położyć do łóżka. Reprezentanci kraju i Czechowie mieli nazajutrz po balu odjechać do Wiednia, na posiedzenia wstępne przed otwarciem rady państwa.

Dla głębszego postrzegacza ludzi i stosunków, śniadanie budziło nieskończenie większe zajęcie. Uczestniczyło przeszło sto osób, prawie wszyscy ludzie pióra i pendzla, a było to największe może w tym wieku nagromadzenie w masie inteligencyi polskiéj na powierzchni kilku sążni kwadratowych. Nie wszystko co się tu mówiło było jednako rozumne i uzasadnione. W zagajeniu mów obiadowych z racyi obrania Kraszewskiego honorowym prezydentem europejskiego towarzystwa literackiego w Paryżu, twierdził jeden z mówców,

że grubo się pomylili cudzoziemcy, gdy Kraszewskiego ukoronowali wyborem, ponieważ nikt im większéj niż Kraszewski szkody nie wyrządził, wypędzając z użycia cudzoziemskie romanse i podając własne. Słuchając cofałem się myślą o lat 50, albo przynajmniéj 30, kiedy wywalczać trzeba było samoistne stanowisko dla literatury polskiéj, wyzwalać ją z lennego stosunku względem obcych, zmywać grzech naśladownictwa i stać mocno na tym jednym probierzu: dobre bo swoje a złe bo cudze. Dziś swoje własne do czytania, to chléb powszedni, co nie przeszkadza czytaniu w większéj ilości arcydzieł cudzoziemskich, bo bez ciągłego obcowania z obcymi myśl własna nasza wyjałowiałaby i upadła.

Do stołu zasiedli i rzekomi oponenci jubileuszu, podnoszący jako swą własność, od nich samych pochodzące nazwisko Stańczyków w obec lwowskiéj tromtadracyi, profesorowie Szujski i Tarnowski. Wielkiéjby sztuki dokazał, ktoby te dwa nic nie wyrażające przezwiska określił, a jednak tkwi zasadnicze przeciwieństwo w dwóch miastach, w dwóch stronnictwach, w dwóch poglądach na przeszłość i przyszłość. Grunt sam w Krakowie jest głównie stańczyków, we Lwowie tromtadratyczny; istnieją w myślach i usposobieniach takie kontrasty jak siły dośrodkowéj i odśrodkowéj, z jednéj strony co moment strzelająca fantazya, swoboda z nawyknieniami warcholstwa, z drugiéj — żelazna, ostra jak nóż karność, ujęcie wszystkiego w śruby twardego, ale ściśle obmyślanego systematu. Najznakomitszy z żyjących dziejopisów polskich sam się podał za naczelnika straży ogniowéj, pośpieszającego wszędy gdzie gore z sikawkami. Jak w bęben bito, powiadał, że upadamy w skutek przygasania ognia i braku entuzyazmu — to farsa, jubileusz pokazał, że mamy tego dobra do zbytku. Nie nam ten zapał wytwarzać, jest bo jest, zależy od natury narodu miękkiego jak wosk, wrażliwego jak kobiéta, zapalnego jak dynamit. Więc nie o ten ogień się troszczyć, lecz o wyrzeźbienie alabastrowéj lampy, w któréj się ma przechowywać, a rzeźbić ją mamy pilnując się hasła, od którego odstępować nie wolno: „Mierz siłę na zamiary, Lecz zamiar podług sił.“ Profesor Tarnowski, odpowiadając za Zyblikiewicza na toast na cześć nieobecnego prezydenta miasta, nic nie mówił o jubileuszu, ale podniósł gości z Pragi czeskiéj jako krewnych związanych z ucztującymi nietylko przypadkiem pokrewieństwa, ale i uczuciami przyjaźni i szacunku. „Moglibyśmy im zazdrościć, gdyby braterstwo dopuszczało zazdrość, skrzętności, pracy, bogactwa, społecznéj harmonii i tego, że swoję podstawę, swój lud wiejski zdobyli. Czeska odpowiedź na ten toast P. Czelakowskiego była bardzo obrazowa i wymówna, ze zwrotem znów do jubilata, malowała w czarnych

kolorach okres dziesięciu lat reakcyi po r. 1849, na który przypadło pojawienie się czeskich przekładów powieści Kraszewskiego (Poeta i świat 1852), podnosiła ich znaczenie, porównywała niedawną przeszłość do dawniejszych Sukiennic brudnych, odartych, cegłę po cegle tracących, a teraźniejszość obu dźwigających się pokrewnych literatur do Sukiennic odnowionych.

Śród obiadu wszedł burmistrz krakowski i w humorystycznéj formie podniósł zdrowie artystycznéj gwiazdy, która się pojawiła na horyzoncie krakowskim, Henryka Siemiradzkiego, przez co dał możność Siemiradzkiemu objawić to, co było już ułożone między obu mówcami, ale dla innych obecnych pozostawało tajemnicą i największą niespodzianką. Chociaż sławny na całą Europę P. Siemiradzki ma skromność i prostotę początkującego. Z całą tą prostotą i naiwnością wytłómaczył jako w niemałym znalazł się kłopocie, gdy mu dano do rozporządzenia ścianę jednę w Sukiennicach, czémże miał ją zająć? oto daje co ma dotychczas najlepszego a mianowicie poświęca na zapełnienie téj ściany swoje *pochodnie Nerona* z żywém poczuciem prawdy, zawartéj w dewizie obrazu: „a światłość w ciemnościach świeci a ciemności jéj nie ogarnęły.“ Wrażenie téj mówki było podobne do uderzenia elektrycznego. Otóżeśmy się pięknie pokwitowali, powiedział Zyblikiewicz, my jemu ścianę a on nam obraz. Siemiradzki odsadził się od wszystkich ucztujących i mówców na całą przestrzeń, jaka dzieli piękne słowa, ale tylko słowa, od wzniosłego czynu, stał się wedle szczęśliwego wyrazu Jana Dobrzańskiego prawdziwym w Polsce magnatem, bo w téj chwili z rąk jego gród, jak obwieściły natychmiast plakaty, otrzymał dar prawdziwie królewski. Można nie lubić rodzaju sztuki uprawianego przez Siemiradzkiego, jego patrzenia na świat przez pryzmat antyku; ale wyrósł on w jednéj chwili ogromnie jako człowiek, i w obec téj wielkości, kwestye estetyczne na drugi plan zejść muszą.

Uchwalenie przez radę miejską medalu pamiątkowego z popiersiem Siemiradzkiego, marsz z gorejącemi pochodniami do niego przez miasto a z nim do jubilata—były to wypadki dnia 6 Października. Cóż więcéj? okazało się, że przykład ofiarności skutkuje: kilkunastu artystów poszło za przykładem Siemiradzkiego. Zamiast projektowanego na górze w Sukiennicach przemysłowego, ma się urządzić muzeum artystyczne, którego prawdziwym fundatorem będzie Siemiradzki. Za przykładem serc otworzyły się i kieszenie, ktoś miał 20 tysięcy reńskich złożyć na ręce Kraszewskiego, na rzeczy pożytku publicznego, a w skutek tego daru, jubilat był całkiem zaprzątnięty pomysłami o utworzeniu w Krakowie *Macierzy*, na podobień-

stwo Maticy czeskiéj — przedsięwzięcia dla wydawnictwa dzieł popularnych pożytecznych.

Opowiadanie skończone, — ma ono tę niezaprzeczenie ważną właściwość, że jest opowiadaniem naocznego świadka, lecz obejmuje tylko krótki zarys faz głównych uroczystego aktu, szczęśliwie w Krakowie dokonanego. Sądzimy, że uroczystość osiągnęła zupełnie cel zamierzony: była wielką ucztą umysłową bez żadnego politycznego charakteru, nie dającą najmniejszego powodu do waśni, pomiędzy samemiż Polakami, a tak przykładnie pożyteczną, że warto, aby podobne obchody wszędzie u wszystkich wykształconych ludów powtarzały się i rozpowszechniały.

Włodzimierz Spasowicz.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

OGŁOSZENIE.

W tych dniach opuścił prasę **Tom V Zbioru Praw i Rozporządzeń Rządu,** który jak wiadomo ma zastępować dalszy ciąg dawnego „Dziennika Praw Królestwa Polskiego.“ Wydane poprzednie cztery tomy tego Zbioru, obejmowały wszystkie obowiązujące w Królestwie Polskiem przepisy i rozporządzenia Rządu, ogłoszone we właściwéj drodze prawodawczéj w ciągu lat 1871, 1872, 1873 i w pierwszéj połowie 1874. Ukończony obecnie Tom V-ty zawiera prawodawstwo za drugie półrocze tego ostatniego roku Redakcya „Niwy“ któréj nakładem „Zbiór Praw“ wychodzi, ogłasza na okładce tomu V-go, że tom VI, który obejmie prawa obowiązujące w Królestwie Polskiem, wydane w ciągu pierwszego półrocza 1875, wyjdzie z druku niebawem. Tom ten między innemi obejmie ważne prawodawcze przepisy o zaprowadzeniu reformy sądowej.